BIULETYN IPN

nr 11 (44)/2015

pamięć.pl

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

15 lat archiwów IPN

CYFROWE ARCHIWUM
ARCHIWUM NOWYCH MOŻLIWOŚCI

Cena 6 zł (5%VAT)

ISSN 2084-7319

numer indeksu 284521
nakład 11 500 egz.

Dodatki specjalne:
płyta z okazji piętnastolecia Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN oraz plakat akcji „Zapal Światło Wolności”

BIULETYN IPN
pamięć.pl
nr 11 (44)/2015

SPIS TREŚCI

2 AKTUALNOŚCI IPN
4 KALENDARIUM
6 Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON
8 Krzysztof Gottesman, **Szczerze oddany sprawie...**

Z ARCHIWUM IPN
10 Grzegorz Majchrzak, **Pogrzeb pod nadzorem**

STOP-KLATKA
12 Aneta Nisiobęcka, **Operacja „Uran", cz. 1**

WYWIAD
16 **Archiwa szeroko otwarte** – rozmowa z Joanną Dardzińską, historykiem i archiwistą z wrocławskiego IPN

15 LAT BUIAD
20 Rafał Leśkiewicz, **Archiwum historii narodowej**
23 Rafał Reczek, **Jak budowaliśmy archiwum IPN**
27 Wojciech Krupa, Jarosław Łabowicz, **„Makulatura" z SB**
31 Bożena Cisek, **Ukradzione przedmioty, ukradziona pamięć**
36 Dariusz Gogolewski, **Odkopane dokumenty**
40 Mariusz Żuławnik, **W poszukiwaniu ofiar represji**

PAMIĘTAM JAK DZIŚ...
44 **Wroga pobiliśmy** – relacja Bolesława Kostkiewicza

PRZEMINĘŁO Z PEERELEM
49 Jerzy Kochanowski, **Sklep komercyjny**

Fot. PAP/Stanisław Dąbrowiecki

Fot. Filmoteka Narodowa

Fot. ze zbiorów Krzysztofa Barbarskiego

Fot. ze zbiorów MWP

Fot. AIPN

Fot. Wiesław Piekut

Fot. AIPN

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU
51 Jerzy Eisler, ***Popiół i diament***

ORZEŁ BIAŁY
54 Tomasz Zawistowski, **Z kadeckim półsłońcem na furażerce**

Z BRONIĄ W RĘKU
58 Michał Mackiewicz, **Szable w dłoń!**

EDUKACJA HISTORYCZNA
61 Bartosz Odorowicz, **Planszowa trylogia**
64 Sylwia Krzyżanowska, Wojciech Trębacz, **„Za to, że byli Polakami..."**
66 Anna Brojer, **Zapalmy światło wolności**

NOBEL HISTORYCZNY
67 Konrad Rokicki, **Ludzkie historie w nieludzkich czasach**

69 RECENZJE
73 BIBLIOTEKA IPN

Szanowni Czytelnicy!

W tym roku Instytut Pamięci Narodowej obchodzi swoje piętnastolecie. Jednym z filarów IPN są archiwa. Kilometry akt, przede wszystkim tych przejętych po tajnych służbach PRL, to zapis działalności opresyjnego systemu. Skomplikowane, często niejednoznaczne, nierzadko przemieszane i niekompletne, czasem częściowo zniszczone. Ten numer w znacznej mierze poświęciliśmy zagadnieniom związanym z pracą Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów, czyli archiwum IPN. Po lekturze listopadowej „Pamięci.pl" zupełnie inaczej spojrzą Państwo na pracę archiwistów.

Narodziny nowej instytucji to zawsze problemy organizacyjne, a w przypadku IPN generowały je dodatkowo kwestie związane z przejmowaniem archiwów od innych instytucji. Nie wszystkie chciały pozbywać się zasobów, wszystkie materiały zaś należało powtórnie skatalogować, oznaczyć, uporządkować... Jednocześnie od początku IPN prowadził działalność naukową. Z akt chcieli skorzystać badacze, dziennikarze i osoby pokrzywdzone przez komunizm. Do dziś archiwiści zrealizowali prawie milion wniosków o udostępnienie, przeprowadzili ponad 3,6 mln kwerend! W swoim artykule dyrektor Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów Rafał Leśkiewicz opowiada o pracy BUiAD od początku jego istnienia, a także o tym, co udało się usprawnić w zakresie opracowywania i udostępniania akt (np. Cyfrowe Archiwum). W numerze nie mogło oczywiście zabraknąć rozmowy z archiwistą: Joanna Dardzińska pracuje w BUiAD od chwili jego powstania. W rozmowie z Filipem Gańczakiem i Jakubem Gołębiewskim opowiada m.in. o kulisach pracy archiwistów, procedurach udostępniania i problemach z tym związanych – np. obowiązku ochrony danych osobowych. A także o tym, co się znajduje w zasobach – bo zbiory IPN to nie tylko dokumenty. W magazynach znajduje się także mnóstwo przedmiotów – w większości zarekwirowanych przez SB – należących kiedyś do osób prześladowanych. O tzw. depozytach szeroko pisze Bożena Cisek: prywatne listy, fotografie, przedmioty osobiste, także broń – to nierzadko bezcenne pamiątki po wybitnych postaciach z naszej historii, takich jak np. Karol Popiel, Jan Rodowicz „Anoda" czy Stanisław Kasznica. O niektórych wiemy tylko z opisów, bo okazały się zbyt kuszące dla pracowników bezpieki.

Praca w archiwum to nie tylko porządkowanie i udostępnianie dokumentów, nie tylko badania. Często archiwista staje się także poszukiwaczem i detektywem – Wojciech Krupa i Jarosław Łabowicz opisują jeden z przypadków, kiedy to do IPN trafiły worki z „makulaturą", która okazała się partią dokumentów MSW. Co udało się odzyskać i o ile zwiększyła się nasza wiedza – o tym w artykule *„Makulatura" z SB*. Z kolei Dariusz Gogolewski opisuje inny aspekt pracy archiwistów – rekonstrukcję i konserwację zabytków, które niekiedy, jak opisywany przypadek dokumentów AK, przeleżały kilkadziesiąt lat w ziemi.

Do numeru dołączyliśmy płytę z numerami „Przeglądu Archiwalnego" i wystawą „...a akta zniszczyć" oraz materiały akcji „Zapal Światło Wolności".

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski

■ Instytut Pamięci Narodowej uruchomił nowy portal **www.ppp.ipn.gov.pl**. Można tam znaleźć informacje i materiały dotyczące historii Polskiego Państwa Podziemnego, w tym sylwetki przywódców, relacje świadków, filmy z wypowiedziami historyków oraz zapisy konferencji naukowych. W osobnym dziale „Edukacja" zamieszczono propozycje dla szkół.

■ Do 30 listopada trwa rejestracja zgłoszeń do czwartej edycji ogólnopolskiego **konkursu „Epizody z najnowszej historii Polski w komiksie"**. Zadaniem uczestników jest przygotowanie i nadesłanie do 25 kwietnia 2016 roku komiksu osnutego wokół wydarzeń z okresu 1918–1989, ważnych dla dziejów polskiego społeczeństwa. Prace będą oceniane w trzech grupach wiekowych: uczniowie szkół podstawowych (klasy IV–VI), szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. Tym razem – ze względu na zbliżającą się 60. rocznicę – szczególnie premiowane będą prace poruszające tematykę buntu społecznego w Polsce i powstania na Węgrzech w 1956 roku. Regulamin konkursu i szczegółowe informacje można znaleźć na stronie www.pamiec.pl w zakładce Edukacja/Konkursy.

pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski, dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki, dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski, dr hab. Joanna Wojdon, dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący), dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyżewski, dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman, dr Joanna Hytrek-Hryciuk, Agnieszka Jaczyńska, dr Konrad Rokicki, dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka, Michał Siedziako, Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja: Andrzej Brzozowski (redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98; e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Jakub Gołębiewski, Andrzej Sujka, Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska

e-mail: maria.wisniewska@ipn.gov.pl
tel. 22 581 88 19

Korekta: dr Magdalena Baj

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński, Marcin Koc, Sylwia Szafrańska

Skład i łamanie: Hubert Rabiński

Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b, Warszawa

Adres do korespondencji: ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa

www.ipn.gov.pl

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex" sp. z o.o. ul. gen. Sowińskiego 2/4, 87-100 Toruń

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

Fot. Paweł Oprządek/ Centrum Sportu i Turystyki

■ 20 października w Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie (ul. Wybrzeże Gdyńskie 4) odbyła się **premiera** nowej **gry** edukacyjnej ***ZnajZnak – Sport***. To już dwunasta gra wydana przez IPN i trzecia z serii „ZnajZnak". – Historia sportu w II RP jest soczewką, w której możemy zobaczyć dzieje odrodzonej Polski – tłumaczy dr Andrzej Zawistowski, dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN. *ZnajZnak – Sport* składa się z kilkudziesięciu kart, na których zostały przedstawione symbole polskich klubów sportowych z okresu międzywojennego oraz sylwetki znanych sportowców z tamtego okresu (m.in. Janusza Kusocińskiego i Heleny Marusarzówny). Każda para kart ma jeden wspólny znak. Chodzi o to, by jak najszybciej go znaleźć i poprawnie nazwać. Rozgrywka zajmuje zaledwie ok. 10 minut. Może w niej uczestniczyć od dwóch do ośmiu osób. – Założenie jest takie, że wiedzę zdobywa się w trakcie gry – mówi Karol Madaj, projektant serii „ZnajZnak". – Nie sposób jednak zaprojektować dobrej gry historycznej bez dobrej podstawy merytorycznej – dodaje. Za dobór symboli odpowiadał historyk sportu, dr hab. Artur Pasko. Przygotował on również artykuł *ZnajZnak – Sport. Historia sportu polskiego 1918–1945*. Tekst można pobrać – wraz z całą instrukcją gry – na stronie www.pamiec.pl/sport.

■ ***Toruńskie ścieżki pamięci. Wiek XX*** to z kolei **nowa gra planszowa** Delegatury IPN w Bydgoszczy, przygotowana we współpracy z Urzędem Miasta Torunia i Urzędem Marszałkowskim Województwa Kujawsko-Pomorskiego. Premiera odbyła się 21 października Zespole Szkół nr 9 w Toruniu (ul. Rzepakowa 7/9). *Toruńskie ścieżki pamięci* nie tylko dostarczają rozrywki, lecz także przekazują wiedzę historyczną o dziejach Torunia i Polski w minionym stuleciu. Gra powstała głównie z myślą o uczniach toruńskich szkół, ale mogą po nią sięgnąć również dorośli. Zadaniem graczy jest odsłonięcie dwóch takich samych kart *memory*, znalezienie właściwej karty odpowiedzi oraz zlokalizowanie miejsca pamięci narodowej na planszy – mapie Torunia. Czas rozgrywki to ok. 20–40 minut. Może w niej wziąć udział od dwóch do sześciu osób.

Fot. Krzysztof Osiński

■ Do 2 grudnia w stołecznym Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia" (ul. Marszałkowska 21/25) można oglądać **wystawę „Z archiwum X Departamentu"**, przygotowaną przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Warszawie. Ekspozycja przybliża historię powstania i działalności jednostki organizacyjnej Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, której zadaniem było „oczyszczanie" szeregów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej z agentów, prowokatorów oraz osób winnych tzw. odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego. Realizując te zadania, funkcjonariusze dopuścili się szczególnych – nawet jak na zwyczaje panujące w MBP – okrucieństw. Przez pryzmat spraw, którymi zajmował się X Departament, wystawa ukazuje istotne aspekty dziejów formacji komunistycznej w Polsce: agenturalne powiązania z wywiadem sowieckim, demoralizację i okrucieństwa partyzantów Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, a także zwalczanie podziemia niepodległościowego lat wojny.

Fot. I. Kuna

■ Trwa trzecia edycja ogólnopolskiego **konkursu „Audycja Historyczna Roku"**. **W kategorii „Wydarzenie"** jury nominowało następujące filmy i audycje dokumentalne:
- *Branka* (audycja radiowa Ewy Szkurłat),
- *KL Auschwitz-Birkenau. Anatomia zbrodni* (film dokumentalny Marka Szczepanka i Beaty Kołaczyk),
- *Między prawdą a prawdą* (audycja radiowa Patrycji Gruszyńskiej-Ruman i Waldemara Kasperczaka),
- *Powstanie i medycyna. Chcieliśmy żyć* (film dokumentalny Marka Widawskiego),
- *Rejs śmierci* (audycja radiowa Jolanty Rudnik).

W kategorii „Losy" nominowane są:
- *Byłem w Gestapo* (film dokumentalny Jerzego Oleszkowicza i Leszka Staronia),
- *Jaster – tajemnica Hela* (film dokumentalny Marka Tomasza Pawłowskiego i Małgorzaty Walczak),
- *Krystyny Kuty 25 lat wolności* (film dokumentalny Mirosława Rogalskiego),
- *Nie jestem w stanie zapomnieć* (audycja radiowa Henryka Dedo i Waldemara Kasperczaka),
- *Wyleczyć pamięć* (film dokumentalny Moniki Meleń).

W kategorii „Historia regionalna" o nagrodę walczą:
- *Bierut musi odejść* (audycja radiowa Cezarego Galka),
- *Panie Abrahamson, pańska synagoga płonie* (film dokumentalny Urszuli Dembińskiej-Nowakowskiej),
- *Powrót do światła* (audycja radiowa Agnieszki Czarkowskiej),
- *Rozstrzelany zegarek* (audycja radiowa Agnieszki Czarkowskiej),
- *Wciąż ich widzę* (audycja radiowa Walentyny Łojewskiej).

Laureatów poznamy w trakcie uroczystej gali, która odbędzie się 26 listopada w Białymstoku.

oprac. Filip Gańczak

POSTAĆ MIESIĄCA

10 listopada 1950: W Łodzi został aresztowany przez UB gen. August Emil Fieldorf „Nil". Już w młodości związał się z ruchem niepodległościowym. Należał do Związku Strzeleckiego, założonego przez Józefa Piłsudskiego. W czasie I wojny światowej walczył w Legionach Polskich, a od jesieni 1918 roku służył w odrodzonym Wojsku Polskim. Brał udział w walkach z Ukraińcami i bolszewikami. W opinii służbowej czytamy, że „odznaczał się odwagą, umiejętnością szybkiego podejmowania decyzji, rozwagą w chwilach zagrożenia, absolutnym brakiem cech karierowicza". W okresie międzywojennym był oficerem zawodowym. W trakcie przewrotu majowego walczył po stronie Piłsudskiego. We wrześniu 1939 roku dowodził pułkiem piechoty, toczącym m.in. ciężkie walki pod Iłżą. Przez Węgry dostał się do Francji, następnie do Wielkiej Brytanii. Szybko jednak wrócił do okupowanego kraju jako emisariusz rządu i Naczelnego Wodza. Zajmował wysokie stanowiska w Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. Przez kilkanaście miesięcy stał na czele Kierownictwa Dywersji (Kedywu) AK, odpowiedzialnego za bieżącą czynną walkę z okupantem. W tym czasie Kedyw wsławił się m.in. akcją odbicia więźniów pod warszawskim Arsenałem i likwidacją Franza Kutschery, dowódcy policji i SS dystryktu warszawskiego. W 1944 roku powierzono Fieldorfowi misję stworzenia głęboko zakonspirowanej organizacji „NIE", przeznaczonej do działań pod spodziewaną okupacją sowiecką. 7 marca 1945 roku generał został przypadkiem aresztowany przez NKWD w Milanówku i – nierozpoznany – wywieziony do ZSRR, gdzie pracował przy wyrębie lasu. Do Polski wrócił po dwóch i pół roku. Zamieszkał w Łodzi, nie angażował się w dalszą konspirację i podał władzom swoje prawdziwe nazwisko. W listopadzie 1950 roku został ponownie aresztowany i osadzony w warszawskim więzieniu przy ul. Rakowieckiej. Zarzucano mu fałszywie, że wydawał rozkazy likwidacji działaczy komunistycznych i partyzantów sowieckich. Odmówił współpracy ze śledczymi. 16 kwietnia 1952 roku, po ledwie ośmiogodzinnej parodii procesu, Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy pod przewodnictwem Marii Gurowskiej skazał „Nila" na karę śmierci. W oszczerczym uzasadnieniu wyroku czytamy, że „działalnością swą oskarżony utrudniał szybsze wyzwolenie kraju". Karę śmierci orzekł też Sąd Najwyższy, a Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Wyrok wykonano 24 lutego 1953 roku. Do dziś nie ma pewności, gdzie spoczywają szczątki „Nila". W 2006 roku gen. August Emil Fieldorf został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Orderem Orła Białego.

Fot. AIPN

Generał August Emil Fieldorf „Nil" (1895–1953)

2 listopada 1985: Zmarł student Marcin Antonowicz, najprawdopodobniej wskutek pobicia przez milicjantów. Jesienią 1985 roku rozpoczął studia na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Gdańskiego. Wieczorem 19 października w Olsztynie, w pierwszą rocznicę porwania przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa ks. Jerzego Popiełuszki, został zatrzymany i wylegitymowany przez patrol milicyjny przy ul. Kaliningradzkiej (dziś: Dworcowa). Wkrótce znaleziono go na ulicy w ciężkim stanie, nieprzytomnego, z krwiakiem mózgu. Zmarł po kilkunastu dniach, nie odzyskawszy przytomności. Pogrzeb odbył się 6 listopada i zgromadził tysiące ludzi. Odczytano list Lecha Wałęsy. Przemawiał m.in. prof. Karol Taylor, rektor UG, mówiąc, że milicjanci „co najmniej zaniedbali swe obowiązki" (zapłacił za to utratą stanowiska). W powszechnej opinii Antonowicz został skatowany przez funkcjonariuszy. Śledztwo w sprawie śmierci studenta zostało jednak umorzone. W uzasadnieniu napisano, że uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, wyskakując z przewożącej go milicyjnej ciężarówki. „Śledztwo [...] nie wyjaśniło w sposób przekonywujący okoliczności śmierci, było prowadzone tendencyjnie [...] i koncentrowało się wokół jednej wersji zdarzenia" – czytamy jednak w załączniku do raportu Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej do Zbadania Działalności MSW, tzw. komisji Rokity, która badała tę sprawę na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. W 2007 roku Marcin Antonowicz został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Fot. AIPN

Marcin Antonowicz

5 listopada 1985: Zbigniew Religa dokonał pierwszej w Polsce udanej transplantacji serca.
Za pierwszą udaną transplantację serca na świecie uznaje się tę przeprowadzoną 3 grudnia 1967 roku przez zespół południowoafrykańskiego chirurga Christiaana Barnarda (pacjent zmarł po 18 dniach). Niewiele ponad rok później identyczne wyzwanie podjął w Łodzi zespół Jana Molla, Antoniego Dziatkowiaka i Kazimierza Rybińskiego – bez powodzenia. Udało się to dopiero doc. Zbigniewowi Relidze w Wojewódzkim Ośrodku Kardiologii (dzisiejszym Śląskim Centrum Chorób Serca) w Zabrzu – wbrew sceptycznym opiniom środowiska lekarskiego. Operowany wówczas pacjent przeżył kilka dni; podawano mu dawki leków zgodne z ówczesnymi standardami przyjętymi w Wielkiej Brytanii, ale – jak się okazało – zbyt duże. I tak jednak był to przełom w polskiej medycynie. Z czasem transplantacje serca stały się rutyną. Pierwszy rok po operacji przeżywa obecnie ok. 85 proc. pacjentów. Tadeusz Żytkiewicz, który przeszczep serca przeszedł w klinice w Zabrzu w sierpniu 1987 roku, żyje do dzisiaj.

Fot. PAP/ Stanisław Jakubowski

W nocy z 12 na 13 listopada 1985 doc. Zbigniew Religa z zespołem lekarzy przeprowadził drugą operację przeszczepu serca. Pacjentem był dwudziestopięcioletni Zygmunt Chruszcz; Zabrze, Wojewódzki Ośrodek Kardiologii

10 listopada 1980: Sąd Najwyższy zarejestrował Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność".
Porozumienia sierpniowe 1980 roku oznaczały m.in. zgodę rządzących PRL na rejestrację wolnych związków zawodowych. Broniąc monopolu władzy, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza od początku dążyła jednak do pozbawienia nowego ruchu związkowego niezależnego charakteru. To zaś musiało doprowadzić do konfliktu.
24 września 1980 roku delegacja Solidarności złożyła w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie wniosek o rejestrację związku. Dokładnie miesiąc później NSZZ został zarejestrowany. Zarazem jednak sąd dokonał zmian w jego statucie, dopisując uznanie kierowniczej roli partii komunistycznej i ograniczając prawo do strajku. Kierownictwo Solidarności nie pogodziło się z tym dyktatem. Domagano się rejestracji statutu w pierwotnym kształcie i grożono strajkiem generalnym, gdyby to żądanie nie zostało spełnione. Władze z kolei zastanawiały się nawet nad wprowadzeniem stanu wojennego. Ostatecznie doszło do kompromisu. Sąd Najwyższy przywrócił pierwotne zapisy dotyczące strajków, a sprawę uznania konstytucyjnego porządku PRL, w tym „kierowniczej roli" PZPR w państwie, umieszczono w załączniku do statutu.
Profesor Andrzej Paczkowski podkreśla w książce *Pół wieku dziejów Polski*, że „od czasu likwidacji mikołajczykowskiego PSL

Fot. PAP/Jan Morek

[w latach czterdziestych] po raz pierwszy władze komunistyczne zostały zmuszone do przyznania prawa legalnego działania zorganizowanej opozycji". Z tego prawa Polacy mogli się jednak cieszyć zaledwie kilkanaście miesięcy. Po wprowadzeniu w grudniu 1981 roku stanu wojennego władze PRL najpierw zawiesiły działalność związków zawodowych, a później rozwiązały NSZZ „Solidarność".

16 i 23 listopada 1930: Odbyły się przedterminowe wybory do sejmu i senatu – tzw. wybory brzeskie.
Piłsudczycy, choć w 1926 roku przejęli władzę w wyniku przewrotu majowego, nawet po przeprowadzonych dwa lata później wyborach nie mieli w sejmie większości, która gwarantowałaby stabilne rządzenie. 30 sierpnia 1930 roku prezydent Ignacy Mościcki rozwiązał parlament i rozpisano nowe wybory. Zanim do nich doszło, we wrześniu aresztowano bez nakazu sądowego czołowych polityków opozycyjnego Centrolewu, w tym byłego premiera Wincentego Witosa i byłego wicepremiera Wojciecha Korfantego. Zostali osadzeni w twierdzy w Brześciu nad Bugiem. Byli znieważani, poniżani, kilku ciężko pobito. W sumie tej jesieni aresztowano kilka tysięcy działaczy opozycji (później niektórzy z nich zostali skazani na kary do trzech lat więzienia). W takiej atmosferze odbyły się wybory nazwane brzeskimi. W części okręgów listy opozycyjne nie zostały zarejestrowane. Unieważniono niemal pół miliona głosów – zwłaszcza tam, gdzie wpływy Centrolewu były największe. W wielu miejscowościach zarządzono głosowanie jawne. W tej sytuacji większość mandatów w obu izbach parlamentu zdobył piłsudczykowski Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Był to kolejny krok na drodze ograniczania demokracji w Polsce. „Brześć wprowadza rozkład i zgniliznę w życie polskie" – pisali oburzeni profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Fot. NAC

ŻYCIE WARSZAWY
Wobec „Orędzia" do biskupów niemieckich
W CZYIM IMIENIU?

18 listopada 1965: W liście do biskupów niemieckich biskupi polscy poprosili o wzajemne wybaczenie krzywd. Dokument powstał w Rzymie, przy okazji kończącego się Soboru Watykańskiego II. Do historii przeszły słowa z jednego z ostatnich akapitów: „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie". Chodziło o chrześcijański gest pojednania i wezwanie do ułożenia – dwie dekady po II wojnie światowej – dobrosąsiedzkich stosunków, niezależnie od żelaznej kurtyny, która po 1945 roku podzieliła świat.
Władze PRL, wykorzystując bolesną pamięć o II wojnie światowej i wciąż silne antyniemieckie nastroje społeczeństwa, rozpętały jednak napastliwą kampanię antykościelną, ciągnącą się przez kilka miesięcy. „Nie przebaczymy i nigdy nie zapomnimy!" – krzyczały nagłówki gazet. Zarzucano biskupom uzurpację, brak patriotyzmu, tendencje proniemieckie. W zakładach pracy, w szkołach i na uczelniach organizowano wiece i masówki. Duchowni byli zaś wzywani do powiatowych rad narodowych na rozmowy w sprawie orędzia. Próbowano nakłaniać księży do odcięcia się od prymasa Stefana Wyszyńskiego. „Mimo początkowych sukcesów kampania propagandowa nie doprowadziła do odwrócenia się katolików od prymasa, a tym bardziej od Kościoła" – podsumowuje w książce *Od niepodległości do niepodległości* dr hab. Adam Dziurok. Jego zdaniem, zdecydowały o tym także błędy władz, które mocno akcentowały „antysowieckość" biskupów, co „nie było już tak nośne propagandowo jak hasła o zdradzie narodowej".

oprac. Filip Gańczak

PRZEKRÓJ

Nr. 266. Wtorek, 23 Listopada 1920. Rok 110.

GAZETA LWOWSKA

23 listopada 1920 roku

Naczelnik Państwa Józef Piłsudski 22 listopada 1920 roku odznaczył Lwów Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari za bohaterską obronę miasta w listopadzie 1918 roku przed oddziałami ukraińskiej Armii Halickiej. W skład polskich oddziałów ochotniczych wchodzili urzędnicy, robotnicy, studenci i uczniowie szkół średnich i powszechnych, ponieważ we Lwowie nie było wówczas regularnych oddziałów Wojska Polskiego. Spośród ponad 6 tys. cywilnych obrońców miasta walczących z bronią w ręku oraz w służbach pomocniczych, prawie połowę stanowiły dzieci i młodzież do 25. roku życia. Najmłodszy miał 9 lat. Nazwano ich Orlętami Lwowskimi.

„Gazeta Lwowska” w numerze 266 z 23 listopada 1920 roku informowała: „Gdy Naczelnik Państwa zajechał na plac Marjacki, z piersi wielu tysięcy odezwały się gromkie okrzyki na cześć Marszałka. […] Punktualnie o godzinie 11 rozpoczęło się nabożeństwo. Po skończonem nabożeństwie Naczelnik Państwa […] przemówił krótko, podnosząc zasługi Lwowa, bohaterstwo jego mieszkańców, którzy jak jeden żołnierz stanęli do walki o przynależność kresowego grodu do Rzeczypospolitej, poczem mianował m. Lwów kawalerem orderu »Virtuti Militari«”.

Komentując to niezwykłe wydarzenie (Lwów był wówczas jedynym polskim miastem, które zostało w ten sposób uhonorowane; później tak samo została odznaczona Warszawa za swą obronę w 1939 roku), dziennik stwierdził m.in.: „Przed dwoma laty dzień 22 listopada zabłysnął krzepiącym dowodem, że jednak przeświadczenie o słuszności, wsparte ofiarną obroną praw swych, nawet dziś jeszcze nie da się stłumić podstępem ni terrorem, a z narzuconej walki wychodzi w wawrzynach triumfu. I tem śmielej, z tem pełniejszym uczuciem dumy święcić możemy jasną dnia niezapomnianego rocznicę, że był to z naszej strony nie napad, jeno napadu na nas odparcie.

A myśmy go odparli niemal wyłącznie własnemi siłami, a były one bardzo skromne i tylko zapał, tylko wiara w świętość sprawy, tylko zbiorowe poświecenie mnożyło je niejako w dwójnasób, ba, dziesięciokrotnie, iż stały się młotem potężnym, który zgruchotał nieprzyjaciela. […] Wielkodusznym aktem macierzyńskiej iście dobrotliwości Ojczyzna dzień ów obrała, by miastu, które z wytężeniem sił wszystkich broniło swej przynależności do Polski, wyrazić uznanie w sposób najszczytniejszy […]. Herb miasta przywrócony do pierwotnego kształtu […] przyozdobiła dziś ręka Naczelnika Państwa krzyżem Virtuti Militari. I przejdzie do historii z tym znakiem sława Lwowa, że jak żołnierz, wierny sztandarom ojczystym, nieustraszenie walczył w obronie Polski i – zwyciężył!”.

18–24 listopada 1945 roku

20 listopada 1945 roku przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze ruszył proces głównych oskarżonych o niemieckie zbrodnie wojenne, przeciwko pokojowi i przeciwko ludzkości. Zarzuty usłyszał m.in. Hans Frank, w latach 1939–1945 generalny gubernator okupowanych ziem Polski centralnej.

Z okazji procesu krakowski **„Przekrój”** (nr 32) przeprowadził rozmowę z prokuratorem Jerzym Sawickim, przedstawicielem delegacji polskiej przed MTW. „Rząd polski – zapewniał Sawicki – dysponuje obszernym materiałem dowodowym i stara się, aby został on uwzględniony w toku sprawy. […] Nic nie zostało pominięte. Ani obozy śmierci, ani wywózki do Niemiec, ani wywiezienie profesorów U. J. […] Z tym jedziemy do Norymbergi uzupełnić dane śledztwa i o ile możności wypełnić lukę w tych czy innych miejscach głównego aktu oskarżenia. […] Bardzo obszernie zostały w akcie oskarżenia ujęte sprawy przestępstw niemieckich przeciwko pokojowi i ludzkości […]. Pod tę kategorię podpadają niemieckie metody eksterminacyjne, ujarzmianie narodów i cały szereg innych nieludzkich czynów dokonywanych na ludności cywilnej przed i podczas wojny” – mówił prokurator. Za najciekawsze uznał jednak posłużenie się w akcie oskarżenia nowym terminem „ludobójstwo”– użytym po raz pierwszy przez Polaka Rafała Lemkina: „Dotąd bowiem doktryna Rousseau-Portalis, która znalazła swoją realizację w Konwencji haskiej w r. 1907, opierała się na przesłance, że wojnę prowadzi się nie z ludnością cywilną, lecz z państwem i armią. […] Wojna, jaką prowadzili Niemcy, a która w swych metodach wróciła do czasów Dżingis-Chana lub wypraw przeciwko Albigensom i Waldensom, a więc do metod wyniszczenia miast i ludności cywilnej, nie mieści się już w pojęciu doktryny Portalisa. Wobec powyższego i prawo musi mieć inne koncepcje niż te, które były u kolebki przepisów haskich”.

W osobnym artykule profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Konstanty Grzybowski, wyjaśniał, za co odpowie w Norymberdze Hans Frank: „nie tylko za własne czyny, nie tylko za te akty, na których położył swój podpis. […] I jeśli dziś będzie się bronił, że nie on podpisywał listy zakładników, nie on nakazywał mordowanie ludzi, nie on wysyłał do obozów, nie on wydawał wyroki śmierci – to odpowiedzią są jego własne dekrety, jego własne prawa, jego własne mowy, wywody jego hitlerowskich uczonych. On sam stwierdzał, że wszyscy i wszystko jest mu podległe i przed nim odpowiedzialne. On odpowiada za wszystko i za wszystkich”.

Wyroki w Norymberdze zapadły 1 października 1946 roku. Wobec dwunastu zbrodniarzy, w tym Hansa Franka, trybunał orzekł karę śmierci.

Prokurator Dr JERZY SAWICKI: O procesie w Norymberdze

Pro: Konstanty GRZYBOWSKI: Za co odpowiada Hans Frank

1 listopada 1960 roku

Brygady Gdańskiej Stoczni Remontowej przyspieszają pracę na statkach polskich i radzieckich dla uczczenia 43. rocznicy Rewolucji Październikowej – tak brzmiał tytuł artykułu sprawozdawczego zamieszczonego w **„Dzienniku Bałtyckim”** 1 listopada 1960 roku.

Gazeta prawie w ogóle nie była zainteresowana tym, że właśnie w tym dniu niemal wszyscy Polacy obchodzą święto Wszystkich Świętych, że w całym kraju na cmentarzach modlą się za swoich bliskich zmarłych. Bo musiała zajmować się zupełnie czym innym. Musiała spełniać oczekiwania władz komunistycznych, które usiłowały zmusić Polaków do praktykowania swoistego „świeckiego rytuału”, czyli m.in. do udziału w pochodach pierwszomajowych, do obligatoryjnych „czynów społecznych” w niedzielę, czy wreszcie do corocznego „umacniania przyjaźni polsko-radzieckiej” na przełomie października i listopada. Artykuł z pomorskiego dziennika to przykład tego rodzaju propagandowych inicjatyw. Czytamy w nim: „Pragnąc uczcić zbliżającą się 43. rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, załoga Gdańskiej Stoczni Remontowej zadeklarowała wiele konkretnych i wartościowych czynów produkcyjnych”. W tym przypadku owe „czyny produkcyjne” to rzekome zobowiązania stoczniowców do wykonania określonych prac przed przewidywanym wcześniej terminem. Oczywiście – przede wszystkim na statkach radzieckich. Gazeta nie podała, czy robotnicy zrezygnowali z wynagrodzenia lub z dodatku za godziny nadliczbowe, czy całe to wydarzenie to dzieło przewidującego dyrektora, który wiedząc, że w miesiącu „przyjaźni polsko-radzieckiej” będzie się musiał dostosować do wspomnianego świeckiego rytuału, tak ustalił harmonogram prac, żeby potem mogły zostać wykonane „przed terminem”. „Dziennik Bałtycki” podał natomiast, że najlepiej spisały się brygady wydziału maszynowego, które „zadeklarowały wyremontowanie 4 wind ładunkowych na statku bandery radzieckiej »Primorsk« […] oraz skrócenie czasu trwania remontu agregatu prądotwórczego na trawlerze radzieckim »Wilnius«”. Brygady z wydziału kadłubowego „zobowiązały się przyspieszyć wykonanie pomieszczeń załogowych na wspomnianym statku »Primorsk«. […] Podobnie wartościowe czyny zgłosił wydział konserwacyjny, zobowiązując się wcześniej zakończyć wszystkie prace konserwacyjne na statku »Primorsk«”. Kolejna brygada „zgłosiła szybsze wymurowanie kotła na tej [samej] jednostce”.

Artykuł kończy się zapewnieniem o dalszym umacnianiu „świetlanej przyszłości polsko-radzieckiej przyjaźni”: „Zobowiązania napływają nadal. Czynny udział bierze w nich również 10 brygad młodzieżowych w Gdańskiej Stoczni Remontowej”.

12 listopada 1978 roku

11 Listopada nie był w PRL świętem państwowym. Jednak wraz z upływem czasu przypominanie o odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku traktowano coraz łagodniej. Tygodnik **„Stolica”** w numerze z 12 listopada 1978 roku postanowił podsumować ostatnie sześćdziesiąt lat dziejów Warszawy. „Warszawa 1918 roku bierze na swoje barki zadanie ogromne. Ciężko doświadczona, zdewastowana, z potężnym bagażem problemów społecznych, musi koordynować wysiłki kraju, by zjednoczyć go w jeden organizm. […] W 1923 roku powstał w Warszawie Komitet Rozbudowy Stolicy, który preferował prywatne budownictwo mieszkaniowe. […] Ogółem wybudowano w międzywojennym dwudziestoleciu około 300 000 izb” – redakcja pochwaliła przedwojenną Polskę, by zaraz w beczce miodu znaleźć kilka łyżek dziegciu: „Jest to dużo, ale większość tych izb budowano z myślą o zyskach płynących z wysokich czynszów. Były one nieosiągalne dla wielu zwykłych ludzi pracy. Dlatego rozwijało się także budownictwo prymitywnych domków budowanych dziko głównie na peryferiach miasta. Rozwija się także spółdzielczość mieszkaniowa dzięki inicjatywom działaczy lewicy i choć nie przyniosła ona większego złagodzenia głodu mieszkaniowego […], wskazywała na kierunki działania i wyznaczała pewne nowe standardy”.

Było to preludium do pochwały rządzących po wojnie komunistów: „Jakże gorszy start był w 1945 roku niż wtedy w 1918. Nie było tu dosłownie nic. […] Pod kierownictwem PPR [Polskiej Partii Robotniczej] w szerokim froncie społecznym zaczęły następować przeobrażenia wyzwalające coraz to nowe pokłady inicjatyw, ofiarności, szczerego trudu, samozaparcia, patriotyzmu. Nie bez kontrowersji i oporu odbywał się ten proces tworzenia. […] Ale realizowany jest konsekwentnie cel strategiczny, nowoczesna stolica nowoczesnego państwa, państwa socjalistycznego, którego celem jest dobro ludzi pracy. […] Kiedy w latach najlepszej koniunktury budowano w Warszawie przedwojennej 20 000 izb, to dziś budujemy ich przynajmniej dwukrotnie więcej. […] Wszystkie domy wyposażone są w urządzenia inżynieryjne: gaz, wodę, centralne ogrzewanie. Nie ma domów studni z maleńkimi podwórkami, osiedla otoczone są pasmami zieleni. […] Z miasta, któremu bez przerwy towarzyszyło w dwudziestoleciu bezrobocie, Warszawa jest miastem, gdzie w ogłoszeniach nie ma rubryki poszukiwania pracy, a w wielkich inseratach oferuje się pracę. […] Sprawy Warszawy są szczególną troską Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i jej warszawskiej instancji. Dzięki temu możliwe były tak ogromne rozmiary przeobrażeń i awansów”. Chciałoby się podsumować: gdyby przed wojną rządzili komuniści, Polska już w latach trzydziestych byłaby rajem.

oprac. FG, AS, KW

Szczerze oddany sprawie...

Krzysztof Gottesman

Rys. A. Szafrański

Znowu listopad, za nami dni Wszystkich Świętych i zaduszny. Jedyne takie dni w roku, chyba tylko w Polsce tak masowo obchodzone. Lubimy cmentarze, są dla nas ważne. Na bramie jednego z nich, na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem, widnieje napis: „Ojczyzna to ziemia i groby. Narody, tracąc pamięć, tracą życie”. Napis piękny, tyle że ciągle nie możemy sobie z naszymi grobami poradzić.

Jest w historii PRL kilkanaście, może kilkadziesiąt nazwisk najbardziej symbolicznych dla jej najczarniejszego oblicza. Ludzi, którzy szczególnie sprzeniewierzyli się wolności, suwerenności; w sposób najbardziej służalczy, dla kariery, wyparli się własnej wspólnoty, polskości. Gotowi byli strzelać – osobiście lub wydając rozkazy – do rodaków walczących o wolność i sprawiedliwość, praworządność.

Jednym z takich symboli od grudnia 1970 roku jest Stanisław Kociołek, zmarły niedawno partyjny aparatczyk najwyższego szczebla, pochowany na Powązkach Wojskowych, nie tak daleko od kwatery „Ł", miejsca, w którym zaledwie półtora tygodnia wcześniej uroczyście chowaliśmy zidentyfikowane z wielkim trudem ofiary terroru komunistycznego. Jestem, może bardziej niż inni, przekonany, że PRL jak najbardziej mieści się na drodze polskiej historii. Jest jednym z jej etapów. Nie była tylko, a może nawet w dłuższych okresach była tylko w niewielkim stopniu, okresem buntu i protestu. Za rok będziemy obchodzić sześćdziesiątą rocznicę Polskiego Października, także wiecu na pl. Defilad w Warszawie, gdzie kilkusettysięczny tłum autentycznie i szczerze wiwatował na cześć Gomułki. Na początku lat siedemdziesiątych Gierek u dużej części Polaków – również inteligencji – wzbudzał nadzieje na lepsze życie.

Nikt jednak, ze mną nie tyle łącznie, ile nawet na czele, nie może mieć wątpliwości, że żyliśmy w kraju pozbawionym suwerenności, rządzonym przez ludzi narzuconych metodami nam obcymi. I Kociołek był jednym z tych, którzy w tym rządzeniu byli wyjątkowo gorliwi. Urodzony w 1933 roku, notabene 3 maja, uniwersytecko wykształcony socjolog, w powojennej Polsce robił błyskawiczną karierę. Działał w komunistycznych organizacjach młodzieżowych, szybko wstąpił do PZPR, został w listopadzie 1968 roku – czas wymowny dla partyjnych awansów – najmłodszym w historii członkiem Biura Politycznego KC PZPR Gomułki.

Najważniejszy okres w życiu Kociołka to kilka dni podczas robotniczej rewolty Grudnia '70 na Wybrzeżu. Był tam Kociołek – po linii partyjnej i jako wicepremier – decydentem najwyższym rangą. 15 i 16 grudnia 1970 roku w regionalnej telewizji i radiu namawiał protestujących robotników do powrotu do pracy. Do historii przeszedł szczególnie ten drugi apel. Ci, którzy go posłuchali, poszli prosto pod kule. To był Czarny Czwartek. Rodziny tych, którzy wówczas zginęli, wspominają po latach, że ich bliscy oglądali przemówienie Kociołka, niektórzy nawet z ulgą je przyjęli. Kociołek przekonywał, że o wielu rzeczach nie wiedział, był młody, nie znał zakulisowych rozgrywek, został wmanewrowany. Nie wydają się te tłumaczenia wiarygodne. To, że nie zachowały się dokumenty, wydawane na piśmie rozkazy, nie świadczy o niewinności Kociołka, tylko o tym, że komuniści w takie rzeczy się nie bawili. Dlatego wolna Polska miała kłopot z osądzeniem Kociołka, także innych oprawców. Toczące się latami procesy, buksujące często w niezrozumieniu peerelowskiej rzeczywistości oraz bezpieczniackiego i pezetpeerowskiego sposobu sprawowania władzy, szukające demokratycznych reguł i procedur tam, gdzie ich znaleźć nie sposób, prowadzą do takich właśnie sytuacji.

Żeby dopełnić historię Kociołka. Po Grudniu, jak to w nomenklaturowym zwyczaju, zniknął na kilka lat, „przeszedł do pracy w dyplomacji". Wypłynął raz jeszcze podczas szesnastu miesięcy pierwszej Solidarności. Stanął na czele warszawskiej organizacji PZPR, należał do najtwardszego betonu, jak wówczas nazywano najzacieklejszych przeciwników Solidarności, reform w partii, jej struktur poziomych. Gdy Jaruzelski na początku 1982 roku robił swoje porządki w partii i pozbywał się skrzydeł, Kociołek został usunięty i… wysłany do Moskwy na ambasadora. Rola, którą tam pełnił, do dziś jest owiana tajemnicą.

Kociołek uniknął sprawiedliwości, nie doczekał ponownego procesu po uchyleniu przez Sąd Najwyższy wyroku uniewinniającego.

A co pozostanie po nim? Na pewno znana pieśń, której fragment mówi wprost:

Jeden raniony, drugi zabity,
Krwi się zachciało słupskim bandytom.
To partia strzela do robotników.
Janek Wiśniewski padł.
Krwawy Kociołek to kat Trójmiasta,
Przez niego giną dzieci, niewiasty,
Poczekaj draniu, my cię dostaniem!
Janek Wiśniewski padł...

Ale pozostaną też podpisane przez współtowarzyszy nekrologi w gazetach mówiące o człowieku skromnym, uczciwym, szczerze oddanym sprawie Polski suwerennej i sprawiedliwej społecznie. A przede wszystkim pozostanie na wieki urna z prochami w kolumbarium Cmentarza Wojskowego na Powązkach. Miejscu, które w wolnej Polsce powinno być zarezerwowane dla najgodniejszych z godnych. Tak się nie stało. Za niewiele ponad cztery tysiące złotych przypadło człowiekowi, który na tej liście zajmuje jedno z ostatnich miejsc. Podobnie jak w przypadku procesu, tak tutaj podobno zwyciężyła urzędnicza pragmatyka. Nie było powodów, by miejsca odmówić. To gdzie my żyjemy?

Zakończę jeszcze smutniejszym akcentem, jak to w listopadzie. Przez wiele gazet przewinęły się fragmenty książki, którą wydała żona gen. Kiszczaka. Oprócz różnych erotycznych rewelacji wypisuje tam rzeczy przerażające. O Grzesiu Przemyku, o górnikach z Wujka, którzy sami sobie byli winni, i o mężu, który przecież był tak wielkim patriotą, a dzisiaj niewdzięcznicy ciągają go po sądach. I którego zamierza pochować na Powązkach Wojskowych.

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Samodzielnego Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

CZĘŚĆ 1

Operacja „Uran”

Aneta Nisiobęcka

„Oczekujemy pana: mówię to nie tylko w imieniu tych, którzy mnie tu wysłali. Wszyscy w Polsce, od najmłodszych do najstarszych, pana oczekują” – w ten sposób podczas wizyty we Francji w styczniu 1967 roku zwrócił się do prezydenta tego kraju, gen. Charles’a de Gaulle’a, Adam Rapacki, minister spraw zagranicznych PRL.

Przyjazd Charles’a de Gaulle’a do Polski w 1967 roku miał znaczenie przełomowe dla relacji bilateralnych i zapoczątkował otwarcie na Wschód we francuskiej polityce zagranicznej. Oficjalna wizyta prezydenta Republiki Francuskiej w Polsce była planowana na pierwszą połowę czerwca, ale w związku z wybuchem 5 czerwca III wojny arabsko-izraelskiej (nazywanej wojną czerwcową lub sześciodniową) przełożono podróż de Gaulle’a na wrzesień.

O wizytę Charles’a de Gaulle’a władze PRL zabiegały od 1958 roku. Było to związane z ich długoletnimi staraniami o formalne potwierdzenie przez Paryż zachodniej granicy Polski. Z kolei zwiększające się zagrożenie zepchnięcia Francji na arenie międzynarodowej do roli państwa drugorzędnego zmusiło de Gaulle’a do podjęcia takiego kierunku polityki zagranicznej, który przywróciłby Paryżowi równorzędne miejsce w gronie mocarstw światowych. Temu też miały służyć demonstrowanie zbliżenia z krajami „demokracji ludowej” oraz aprobata zachodniej granicy Polski. Symptomami tej polityki były oficjalne wizyty prezydenta Francji w ZSRR (1966 rok), w Polsce (1967 rok) i w Rumunii (1968 rok).

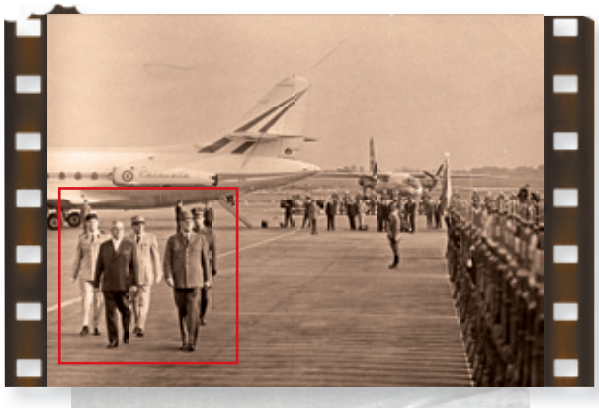

Fot. AIPN

Między 4 a 8 maja przebywali w Polsce francuscy wysłannicy odpowiedzialni za przygotowanie przyjazdu prezydenta. W trakcie ustalania szczegółów programu wizyty strona francuska podkreślała, że zależy jej zwłaszcza na tym, aby podczas przejazdów przez polskie miasta generał miał sposobność bezpośredniego kontaktu z Polakami, których darzył dużą sympatią. Pierwotnie miał on odwiedzić (między 7 a 13 czerwca): Warszawę, Nową Hutę, Oświęcim i Górnośląskie Zagłębie Węglowe oraz Gdańsk i Gdynię. Ostatecznie z powodu zmiany terminu (6–12 września) prezydent Francji wybrał się do Warszawy, Krakowa (w tym Nowej Huty), Oświęcimia, Katowic, Bytomia, Zabrza oraz Gdańska i Gdyni.

Po ustaleniu niezbędnych szczegółów do akcji zabezpieczenia przyjazdu prezydenta Francji przystąpiła Służba Bezpieczeństwa. Operacja nosiła kryptonim „Uran”. Rozpoczęto standardowe w takich wypadkach przygotowania, służące zabezpieczeniu tras przejazdu oraz pomieszczeń, w których miał przebywać gen. de Gaulle. Podjęto również działania wobec osób podejrzanych, m.in. o przygotowania zamachu na prezydenta Francji. Na przykład w czerwcu aresztowano kilku uczniów szkół średnich w wieku 17–18 lat, którzy rzekomo zamierzali dokonać zamachu na gen. de Gaulle’a, ostatecznie jednak sprawę umorzono. Ponadto SB objęła szczególną obserwacją studentów

Przewodniczący Rady Państwa, Edward Ochab, wita Charles’a de Gaulle’a na lotnisku w Warszawie

z państw afrykańskich, obawiając się z ich strony protestów i demonstracji antygaullistowskich. Z uwagi na bezpieczeństwo prezydenta Francji (kilkakrotne już próby zamachu na niego) sprawdzono stan amunicji i broni we wszystkich studiach wojskowych przy polskich uczelniach wyższych (część przekazano do jednostek wojskowych). Ponadto hotele i pokoje, w których zameldowano korespondentów zagranicznych, zostały „zabezpieczone operacyjnie". Dzięki podsłuchom telefonicznym i pokojowym SB dysponowała relacjami dziennikarzy jeszcze przed ich opublikowaniem w prasie zachodniej.

Dzień przed przybyciem de Gaulle'a doszło do incydentu, który mógł doprowadzić do odwołania wizyty. Generał zagroził bowiem, że nie przyleci do Polski, jeśli podczas witania się z korpusem dyplomatycznym na płycie lotniska będzie zmuszony podać rękę ambasadorowi Niemieckiej Republiki Demokratycznej (do 1973 roku Francja nie uznawała istnienia socjalistycznego państwa niemieckiego na arenie międzynarodowej). Ostatecznie Arnaud Wapler, ambasador Francji w PRL, oraz minister Adam Rapacki zaproponowali, aby prezydent przywitał się tylko z dziekanem korpusu dyplomatycznego w Polsce.

1

Fot. AIPN

Samolot z prezydentem Francji i jego żoną Yvonne oraz osobami towarzyszącymi wylądował na lotnisku Warszawa-Okęcie 6 września 1967 roku o 16.30. Tuż przed przylotem samolotu o mały włos doszłoby do skandalu. Na budynku lotniska zawieszono transparent z hasłem powitalnym w języku francuskim (fot. 1). Jednak w napisie nieumyślnie popełniono błąd, co w zasadniczy sposób zmieniało znaczenie jednego słowa i tym samym całego hasła (w słowie *sincère* oznaczającym „szczerze, serdecznie" zamiast litery „c" napisano „g"; *singer* po francusku znaczy „małpować, przedrzeźniać"). Transparent natychmiast zdjęto i poprawiono, jednak dziennikarze zachodni zdążyli go sfotografować w pierwotnym brzmieniu.

W pierwszym dniu wizyty de Gaulle nieprzypadkowo wystąpił w mundurze generalskim – miało to być symbolem polsko-francuskiego braterstwa broni. Wyraźny unik gościa wobec ambasadora NRD nie uszedł uwadze dziennikarzy zachodnich. Na powitanie prezydent Francji powiedział: „Z jakimiż to emocjami witam znowu Polskę, pełną życia, żarliwą i przyjazną, albowiem to spotkanie naszych dwóch narodów jest wyrazem ich wielowiekowej przyjaźni. I solidarności!".

Na trasie przejazdu z lotniska do pałacu w Wilanowie, a potem do Grobu Nieznanego Żołnierza na pl. Zwycięstwa (obecnie: Piłsudskiego) entuzjastycznie witało gen. de Gaulle'a blisko 500 tys. mieszkańców Warszawy, a na pl. Zwycięstwa zgromadziło się ok. 3–4 tys.

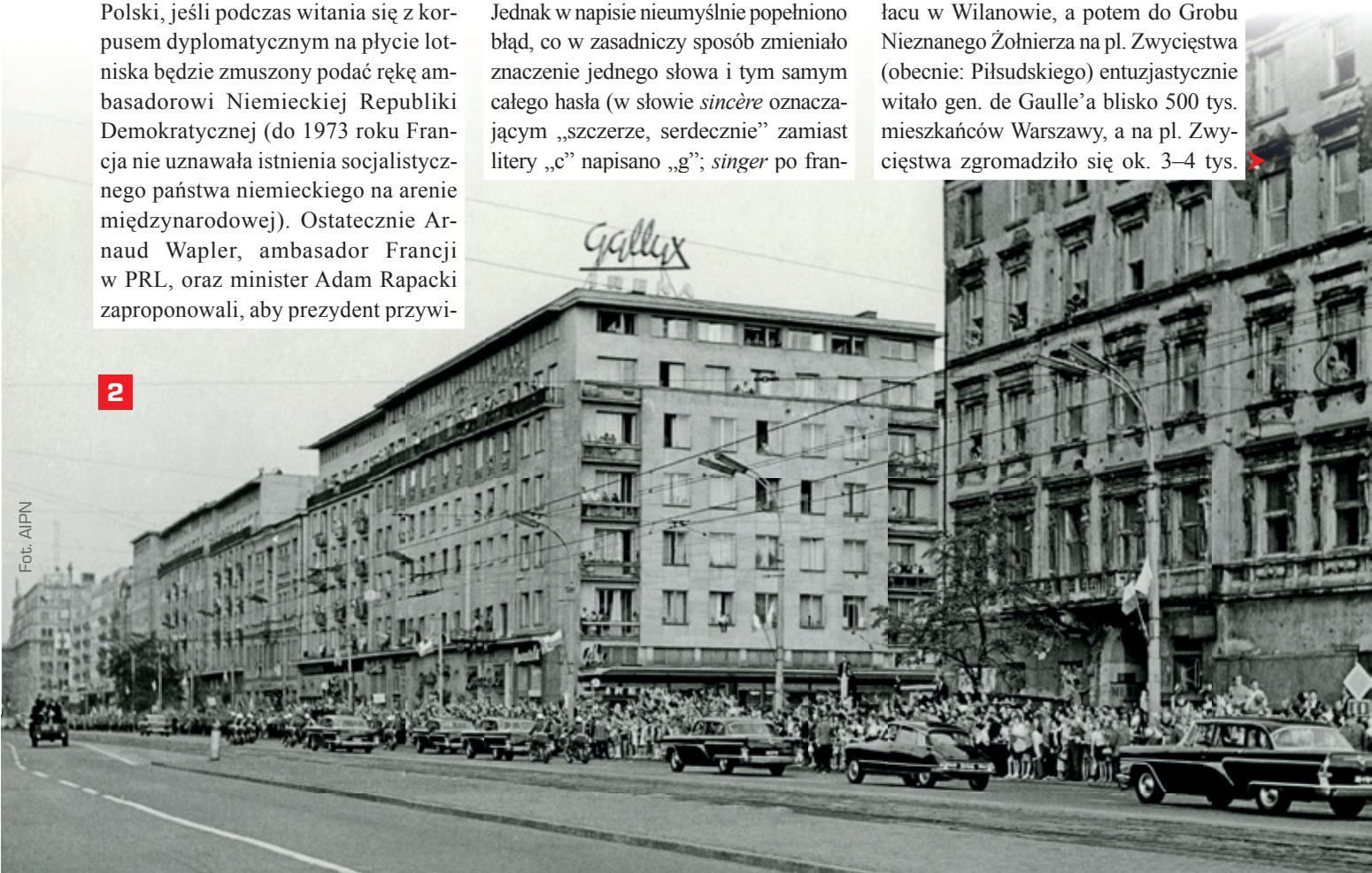

2

Fot. AIPN

Trasy przejazdu udekorowano flagami Polski i Francji (fot. 2), a w witrynach sklepowych można było zobaczyć zdjęcia i portrety de Gaulle'a oraz towarzyszące im napisy, np.: *Vive la France*, „Witamy dostojnego gościa". To przyjazne i żywe powitanie, które Polacy zgotowali de Gaulle'owi, było wyrazem nadziei pokładanych w tej wizycie. Ludzie, zmęczeni komunizmem i znużeni „przyjaźnią" polsko-radziecką, widzieli w zaproszeniu prezydenta Francji początek otwarcia Polski na Zachód. Po złożeniu wieńców przed Grobem Nieznanego Żołnierza delegacja francuska udała się do pałacu w Wilanowie, który na czas podróży stał się rezydencją gościa. Następnie z Wilanowa gen. de Gaulle z osobami towarzyszącymi udał się na przyjęcie do siedziby prezydium Rady Ministrów przy Krakowskim Przedmieściu (obecnie Pałac Prezydencki).

W drugim dniu wizyty przeprowadzono rozmowy polityczne, w których oprócz prezydenta Francji brali udział m.in. minister spraw zagranicznych Maurice Couve de Murville, a po stronie polskiej m.in. przewodniczący Rady Państwa Edward Ochab i premier Józef Cyrankiewicz. Wymiana zdań dotycząca m.in. bezpieczeństwa Europy i kwestii podzielonych Niemiec wskazywała na wyraźne rozbieżności w polskiej i francuskiej polityce zagranicznej. W tym czasie został przygotowany oddzielny program dla Yvonne de Gaulle, która w towarzystwie Rozalii Ochab odwiedziła Klinikę Rehabilitacyjną Akademii Medycznej w Konstancinie. Po polsko-francuskich rozmowach gen. de Gaulle wraz z delegacją spędził wieczór w Teatrze Wielkim, gdzie wystawiono fragmenty *Fausta* i *Strasznego Dworu*.

8 września prezydent Francji odwiedził Kraków. Witało go entuzjastycznie blisko 300 tys. osób. Na rezydencję dla dostojnego gościa wybrano Zamek Królewski na Wawelu. Generał de Gaulle zwiedził Nową Hutę (fot. 3) (w tym czasie małżonki polskich i francuskich polityków były oprowadzane po kopalni soli w Wieliczce), a następnie, już z żoną, Zamek Królewski (fot. 4) i katedrę na Wawelu (fot. 5), kościół Mariacki, Rynek Główny, Sukiennice i Collegium Maius, gdzie rozmawiał z rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz profesorami tej najstarszej w Polsce uczelni.

Kolejnego dnia delegacja francuska zwiedziła muzeum obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau (fot. 6). Według relacji francuskiego korespondenta, żona de Gaulle'a podczas wizyty na terenie dawnego obozu płakała. Prezydent obejrzał m.in. tzw. barak francuski, baraki, w których znajdowały się ubra-

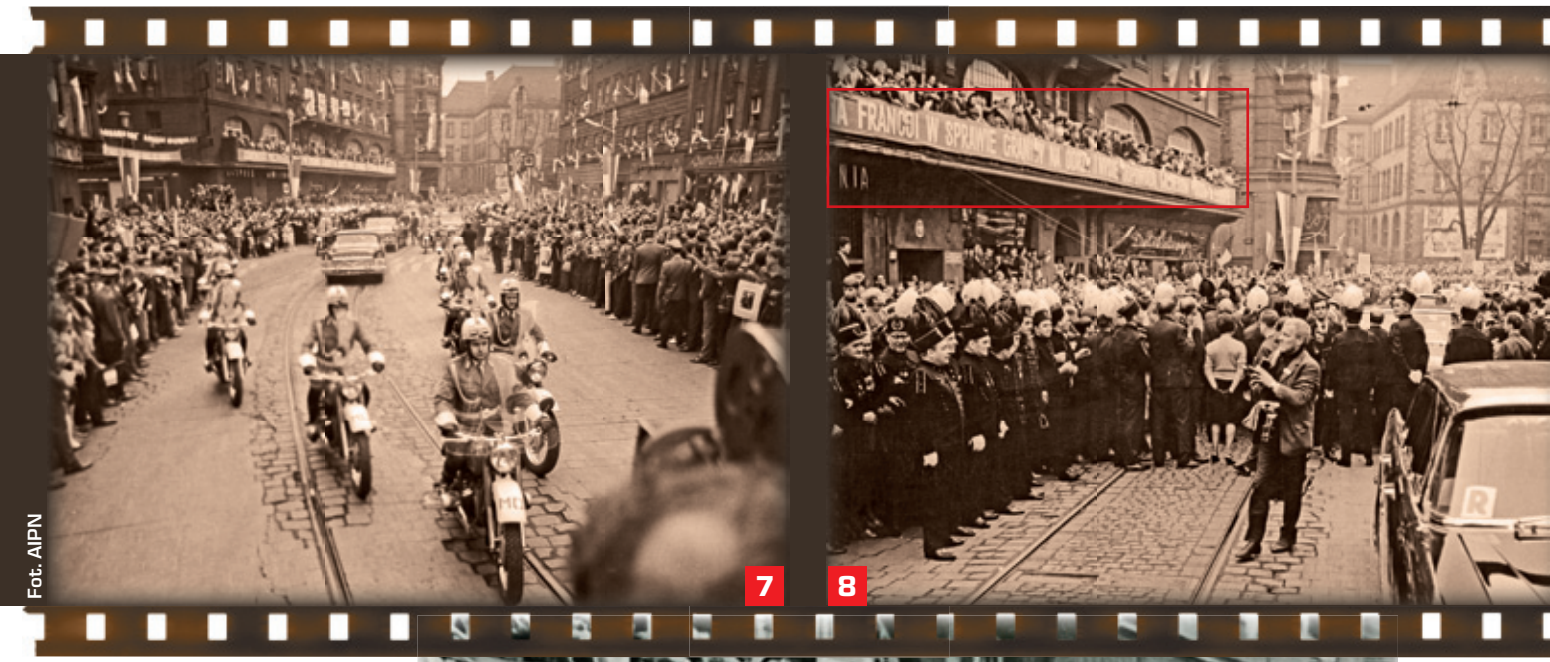

nia, walizy i zabawki dzieci, oraz blok eksperymentów medycznych.

Następnie delegacja francuska udała się w stronę Katowic, gdzie na trasie przejazdu witały de Gaulle'a tysiące mieszkańców (fot. 7). Przed pomnikiem Powstańców Śląskich prezydent złożył wieńce, a następnie witał się ze zgromadzonymi tam Polakami. Później udał się na przyjęcie wydane przez Edwarda Gierka, I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach. Tam de Gaulle powiedział: „Jestem szczęśliwy, że znajduję się tutaj, na polskim Śląsku", co zachodni korespondenci zinterpretowali jako potwierdzenie stanowiska Francji wobec granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Należy podkreślić, że ujęcie w programie wizyty miast górniczego Śląska było celowym zabiegiem władz PRL, które oczekiwały od de Gaulle'a deklaracji w sprawie uznania granicy zachodniej. Świadczyły o tym chociażby transparenty rozwieszane na budynkach Katowic (fot. 8), Bytomia i Zabrza, zawierające wymowne hasła o potwierdzeniu granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Z Katowic de Gaulle udał się do Bytomia i Zabrza. W tym ostatnim mieście w Hali Ludowej podczas występu Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk" wypowiedział słynne słowa, szybko zresztą wykorzystane przez propagandę peerelowską: „Niech żyje Zabrze, najbardziej śląskie miasto ze wszystkich śląskich miast, to znaczy najbardziej polskie miasto ze wszystkim polskich miast". Następnie prezydent Francji skierował się na północ Polski.

Aneta Nisiobęcka – pracownik Wydziału Udostępniania BUiAD IPN

Pogrzeb pod nadzorem

W PRL Służba Bezpieczeństwa czuwała nad wszystkimi aspektami życia Polaków. Niekiedy także po ich śmierci. Nic zatem dziwnego, że nie uchodziły jej uwadze takie wydarzenia jak chrzty, pierwsze komunie, a nawet pogrzeby.

Pogrzeby w Polsce Ludowej nierzadko odbywały się pod nadzorem Służby Bezpieczeństwa, a niekiedy nawet były przez nią współorganizowane, jak np. po Grudniu '70. W przypadku ofiar władzy „ludowej" bywały to pochówki pod osłoną nocy. SB czuwała również podczas pogrzebów wielu innych osób uznanych za zagrażające ustrojowi, np. działaczy opozycji. Nie inaczej było, kiedy chowano dygnitarzy partyjnych i państwowych, które dodatkowo zabezpieczano.

Pochówki przywódców PRL miały oczywiście świecki charakter, bez udziału księdza. Były to niekiedy kilkudniowe uroczystości, jak np. po śmierci Aleksandra Zawadzkiego, przewodniczącego Rady Państwa i członka Biura Politycznego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (8–11 sierpnia 1964 roku). Poprzedzało je zazwyczaj publiczne wystawienie zwłok, by „wdzięczni rodacy" mogli oddać ostatni hołd zmarłemu. Na koniec dygnitarzy grzebano na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach, w Alei Zasłużonych, z udziałem przywódców partii (na czele z I sekretarzem) i państwa, starannie wyselekcjonowanych osób oraz ewentualnie gości zagranicznych. Dopiero kiedy te osoby opuściły cmentarz, ostatni hołd zmarłemu mogli oddać ludzie zgromadzeni przed cmentarzem.

Cała operacja ochrony rozpoczynała się od zabezpieczenia przewozu trumny do gmachu sejmu lub Rady Państwa. Kończyła się wraz z zakończeniem uroczystości pogrzebowych. Chodziło o uniknięcie jakichkolwiek incydentów, zwłaszcza „aktów o charakterze antypaństwowym i chuligańskim". Do tych pierwszych zaliczono manifestacje, wznoszenie „wrogich" haseł i okrzyków, rozrzucanie ulotek itd. Obawiano się również zamachu podczas samego pogrzebu lub przejazdu (przemarszu) konduktu pogrzebowego. Stałą praktyką była więc lustracja cmentarza przed rozpoczęciem uroczystości. Tak było np. na początku września 1982 roku przed pogrzebem Władysława Gomułki, kiedy to wykonano „sprawdzenia pirotechniczno-dozymetryczne w rejonach, gdzie miały przebywać osoby chronione". O ile zrozumiała wydaje się obawa przed podłożeniem ładunku wybuchowego (pochówek byłego I sekretarza KC PZPR odbywał się kilka dni po wielkich, brutalnie spacyfikowanych przez milicję manifestacjach, zorganizowanych przez podziemną Solidarność z okazji drugiej rocznicy podpisania porozumień sierpniowych), o tyle zabezpieczanie uczestników pogrzebu przed ewentualnym napromieniowaniem wydaje się już grubą przesadą.

Oczywiście, nie ograniczano się do zabezpieczenia przebiegu uroczystości pogrzebowych i zapewnienia bezpieczeństwa ich uczestnikom. Nie zapominano również (szczególnie w latach osiemdziesiątych) o „rozpoznaniu środkami pracy operacyjnej nastrojów w poszczególnych środowiskach co do możliwości zakłócenia uroczystości przez wrogie struktury opozycji". Tak było np. w przypadku pochówków Edwarda Ochaba czy Józefa Cyrankiewicza w 1989 roku.

Funkcjonariusze i żołnierze obstawiali trasę konduktu i cmentarz. Niekiedy angażowano do tego kilka tysięcy osób, np. podczas pogrzebu Gomułki ponad 2,5 tys. Nic dziwnego, po śmierci Zawadzkiego zdecydowano się nawet na wystawienie na wyższych budynkach na trasie konduktu stałych, dwuosobowych patroli, które miały obserwować, czy na pobliskich dachach lub tarasach nie pokazały się osoby postronne.

Czy tego rodzaju środki ostrożności miały uzasadnienie? Wydają się one przesadne, ale władza „ludowa" po prostu obawiała się społeczeństwa, którym rządziła bez mandatu demokratycznego. Dość zresztą przypomnieć dwukrotny zamach na Gomułkę. Jednak same uroczystości pogrzebowe przebiegały dość spokojnie. Oczywiście, zdarzały się w ich trakcie drobne incydenty, jak np. obecność na cmentarzu pojedynczych osób bez stosownych zaproszeń czy próba wejścia do Sali Kolumnowej sejmu, gdzie znajdowała się trumna ze zwłokami Gomułki, osoby „będącej pod wpływem alkoholu". Nie odnotowano natomiast ani wrogich manifestacji, ani tym bardziej prób zamachów.

Obok plan zabezpieczenia pogrzebu Wincentego Kraśki z 13 sierpnia 1976 roku. Ten wieloletni członek partii był w momencie śmierci (10 sierpnia) sekretarzem KC PZPR oraz członkiem Rady Państwa. Z tej racji był chowany z wszelkimi honorami na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Podobnie jak w czasie pogrzebów innych dygnitarzy partyjnych i państwowych w Polsce Ludowej, uroczystość ta miała być starannie zabezpieczona przez funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa oraz żołnierzy (w tym przypadku z Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW), przy współpracy Biura Ochrony Rządu.

Co ciekawe, akurat w związku z jego pogrzebem zaangażowano (mimo że odbywał się on kilka tygodni po brutalnym spacyfikowaniu protestów robotniczych w czerwcu 1976 roku), przynajmniej jeśli chodzi o SB, stosunkowo skromne siły – kilkudziesięciu funkcjonariuszy. Niestety, nie dysponujemy pełnymi danymi o osobach wykorzystanych w tym dniu (np. milicjantach zabezpieczających trasę konduktu pogrzebowego) do działań ochronnych.

Pamiętano natomiast, z niejasnych zresztą przyczyn, o obserwacji grobu przedwojennego marszałka Polski Edwarda Rydza-Śmigłego.

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

Edward Kasperski (ur. 1931) – funkcjonariusz resortu spraw wewnętrznych (1958–1990), m.in. zastępca komendanta ds. Służby Bezpieczeństwa Komendy Stołecznej MO (1975–1979)

Plan zabezpieczenia – dokument, w którym opisywano założenia, organizację, a także siły i środki, których planowano użyć do zabezpieczenia jakiegoś wydarzenia czy imprezy

Cmentarz Wojskowy na Powązkach, założony w 1912 roku jako cmentarz żołnierzy carskich z garnizonu warszawskiego; w 1964 roku przejęty przez miasto i przemianowany na Cmentarz Komunalny

Wincenty Kraśko (1916–1976) – wieloletni członek Polskiej Partii Robotniczej/Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, m.in. członek Komitetu Centralnego PZPR (1959–1976), sekretarz KC PZPR (1974–1976); wiceprezes Rady Ministrów (1971–1972), członek Rady Państwa (1972–1976)

Ta kolejność nie jest przypadkowa; w Polsce Ludowej ważniejsza była przynależność do kierownictwa PPR/PZPR niż pełnienie funkcji rządowych

Edward Gierek (1913–2001) – wieloletni członek partii komunistycznych, I sekretarz KC PZPR (1970–1980)

Od 1975 roku na szczeblu Komendy Stołecznej MO jednostka zajmująca się przypadkami sabotażu, naruszania tajemnicy państwowej oraz konfliktami społecznymi w zakładach pracy

Na szczeblu komend wojewódzkich (w tym Komendy Stołecznej) jednostka milicji odpowiedzialna za kontrwywiad

Na szczeblu komend wojewódzkich jednostka odpowiedzialna za zwalczanie przestępczości kryminalnej

Od 1975 roku na szczeblu Komendy Stołecznej MO jednostka odpowiedzialna za działania wobec środowisk naukowych, twórczych, dziennikarskich, młodzieży akademickiej i szkół ponadpodstawowych

Na szczeblu komend wojewódzkich jednostka odpowiedzialna za obserwację zewnętrzną

W tym przypadku chodziło o wykonanie zdjęć w sposób tajny

Chodziło przede wszystkim o hasła, napisy czy transparenty o treściach skierowanych nie tylko przeciwko zmarłemu, lecz także przeciwko władzom PRL, a w mniejszym stopniu o ewentualne demonstracje

Utworzona w 1965 roku, początkowo, do 1974 roku, pod nazwą Nadwiślańska Brygada MSW im. Czwartaków AL

Na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach są trzy aleje zasłużonych, pierwszą z nich utworzono w 1925 roku, a kolejne dwie w latach sześćdziesiątych

Biuro Ochrony Rządu

Wydział Śledczy – na szczeblu komend wojewódzkich milicji jednostka, która prowadziła postępowania karne w zakresie przestępstw należących do kompetencji SB

Przy zabezpieczaniu różnego rodzaju imprez (w tym pogrzebów) stosowano specjalne hasło porozumiewawcze dla funkcjonariuszy (w tym nieumundurowanych) i żołnierzy w nim uczestniczących

Wojewódzkie stanowisko dowodzenia

Edward Śmigły-Rydz (1886–1941) – wojskowy, od 1936 roku marszałek Polski, we wrześniu 1939 roku Naczelny Wódz Armii Polskiej, następnie internowany w Rumunii; w 1941 roku powrócił potajemnie do okupowanego kraju; pochowany na Powązkach pod nazwiskiem Adam Zawisza, dopiero w 1994 roku na jego grobie zamieszczono prawdziwe dane osobowe

Ryszard Tymiński (ur. 1928) – funkcjonariusz resortu bezpieczeństwa publicznego/resortu spraw wewnętrznych (1952–1990), od 1975 roku starszy inspektor Wydziału Inspekcji KS MO

Fot. AIPN

Archiwa szeroko otwarte

Z materiałów przechowywanych w IPN korzystają dziś m.in. naukowcy, dziennikarze i osoby chcące dowiedzieć się czegoś o swoich przodkach. Opowiadam się za jak najszerszym dostępem do tego zasobu – mówi Joanna Dardzińska, historyk i archiwista z wrocławskiego IPN, w rozmowie z Filipem Gańczakiem i Jakubem Gołębiewskim

Fot. Bożena Kondratowicz

Joanna Dardzińska (ur. 1975) – historyk i archiwista, pracownik Oddziałowego Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN we Wrocławiu. Społecznie pełni funkcję sekretarza oddziału wrocławskiego Stowarzyszenia Archiwistów Polskich. Od piętnastu lat porządkuje, bada i popularyzuje wiedzę o archiwaliach służb bezpieczeństwa PRL. Interesuje się działaniami aparatu represji wobec twórców kultury i środowisk młodzieżowych w latach 1980–1989. Jest współredaktorem tomu dokumentów *Wszyscy proletariusze bądźcie piękni! Pomarańczowa Alternatywa w dokumentach aparatu represji PRL (1987–1989)* (2011) i autorką albumu *Ulotki, hasła, anonimy. Formy indywidualnego sprzeciwu wobec systemu komunistycznego w Polsce w okresie 1945–1989* (2015).

Archiwum IPN powstawało w bólach. Jak Pani wspomina te pionierskie czasy?

Gdy w 2001 roku zaczynałam pracę we wrocławskim oddziale IPN, nie miał on jeszcze nawet siedziby z prawdziwego zdarzenia. Instytucja dopiero się organizowała. Biura dyrektora, edukacji publicznej, pionu archiwalnego i Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu były usytuowane w różnych częściach miasta. Pracownicy archiwum zajmowali cztery niewielkie pomieszczenia dzierżawione od istniejących jeszcze wówczas kolegiów do spraw wykroczeń. Wiele kwestii nie było uregulowanych: organizacja pracy administracyjnej, obieg dokumentacji czy zasady udostępniania archiwaliów. Tych ostatnich w ogóle jeszcze nie było, a już przyjmowaliśmy m.in. wnioski od osób ubiegających się o status pokrzywdzonych przez system terroru PRL. Nie byliśmy w stanie podać naszym petentom nawet orientacyjnego terminu realizacji ich wniosków, czyli daty ewentualnego wglądu do dokumentacji ich dotyczącej.

Jak przebiegał proces przekazywania zbiorów archiwalnych do IPN z instytucji, które były do tego zobowiązane?

Przede wszystkim czekaliśmy na uzyskanie poświadczeń bezpieczeństwa osobowego, wydawanych wówczas przez Urząd Ochrony Państwa. Była to procedura, której podlegał każdy pracownik IPN, który miał zostać dopuszczony do materiałów tajnych służb. Później zostaliśmy podzieleni na grupy i ruszyliśmy w teren, czyli do archiwów wojskowych, UOP, policji, sądów, prokuratur, jednostek więziennictwa, gdzie – z wyjątkiem UOP, którego pracownicy sami wyselekcjonowali akta – rozpoczęliśmy proces typowania, a następnie spisywania i pakowania dokumentacji, która później została włączona do zasobu archiwum wrocławskiego IPN. Czynności te trwały do końca 2004 roku. Wielu z nas nie sądziło, że ich praca w IPN będzie przebiegać w tak trudnych warunkach, często w zawilgoconych pomieszczeniach, w kurzu i pod presją czasu. Z przebiegu tych prac pozostały dziś jedynie bogata dokumentacja fotograficzna, filmowa oraz wspomnienia pracowników – moich koleżanek i kolegów.

Czy do IPN nadal trafiają archiwalia z innych instytucji państwowych?
Sporadycznie z archiwów policyjnych napływają do archiwum Oddziału IPN we Wrocławiu akta administracyjne dotyczące działalności Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa w ważnych momentach dziejowych. Te materiały – odnajdywane przez policję przy okazji przeglądu dokumentacji – stanowią uzupełnienie przejętych dotychczas archiwaliów. Cyklicznie napływają też do nas materiały SB wyłączane ze zbioru zastrzeżonego IPN, w związku z toczącym się procesem odtajniania tego zasobu. Z kolei sądy przekazują akta zakończonych procesów lustracyjnych.

Niekiedy pojawia się zarzut, że materiały zgromadzone w IPN, zwłaszcza udostępniane dziennikarzom, są wykorzystywane w walce politycznej. Dla niektórych to nawet argument na rzecz tezy, że dostęp do nich powinno się ograniczyć.
Udostępnianie materiałów przechowywanych w IPN dziennikarzom, tak samo jak naukowcom czy osobom fizycznym, odbywa się na podstawie określonej procedury. W przypadku dziennikarzy zakłada ona m.in. przedstawienie rekomendacji redaktora naczelnego danego medium. Jest to potwierdzenie, że konkretna osoba opracowuje określony temat. Ma to zapobiec tzw. dzikiej lustracji. Od momentu uzyskania dostępu do materiałów odpowiedzialność za upublicznienie zawartych w nich informacji przejmują dziennikarz i redakcja. Bardzo dużo zależy od ich rzetelności. Jeśli chodzi o moją opinię, to opowiadam się za jak najszerszym dostępem do materiałów archiwalnych zgromadzonych w IPN.

Materiały z zasobu IPN są dziś udostępniane bez zaczernień. Niektórzy chcieliby anonimizowania danych wrażliwych, nazwisk osób trzecich itp. Czy szeroka dostępność materiałów nie stoi w sprzeczności z prawem do prywatności?
Jest to realny dylemat. Jednak osoby mające dostęp do akt, w tym pracownicy IPN, mają świadomość odpowiedzialności prawnej, która wiąże się z upublicznieniem materiałów. Dużo zależy od rodzaju danych oraz wrażliwości osoby, która się z nimi zapoznała. Często wiedza na temat stanu zdrowia czy życia seksualnego pozwala zrozumieć motywy działań osób, których te informacje dotyczą. Osoby opisujące takie sprawy nie zawsze muszą podawać dane osobowe tych ludzi. Każdy przypadek należy traktować indywidualnie. Dodajmy jeszcze, że osoby, których dotyczą dane wrażliwe, mogą je zastrzec bądź dołączyć sprostowanie lub uzupełnienie do materiałów archiwalnych na swój temat.

Jak szybko postępuje digitalizacja zbiorów, czyli proces skanowania papierowych teczek?
Jest to jedno z priorytetowych zadań archiwum. Najpierw skanuje się dokumentację o najwyższej wartości historycznej,

Fot. AIPN

cieszącą się największym zainteresowaniem użytkowników, oraz tę, która jest najbardziej zniszczona. Do dziś postać cyfrową zyskało ok. 4 proc. zasobu archiwum Oddziału IPN we Wrocławiu. Proces ten z pewnością potrwa jeszcze kilkadziesiąt lat.

Czy w archiwum IPN znajdują się nadal dokumenty nieopracowane, tzn. takie, których nikt jeszcze nie czytał?

Oczywiście, że tak. Duża część zasobu przejętego od wcześniejszych dysponentów akt – np. UOP – nie miała profesjonalnego opisu archiwalnego. Nie było więc wiadomo, co dokładnie zawiera ta dokumentacja. Od lat trwają jednak systematyczne prace w ramach projektu Cyfrowe Archiwum. Archiwiści codziennie przeglądają materiały i uzupełniają brakujące dane. Wszystko po to, aby ułatwić i usprawnić dostęp do poszukiwanych informacji przy użyciu nowoczesnych narzędzi informatycznych. Jednocześnie staramy się w różny sposób popularyzować wiedzę o naszym zasobie, m.in. przygotowując monografie źródłowe, czyli publikacje najistotniejszej dokumentacji dotyczącej określonego tematu, bądź takiej, która jest niezwykle ciekawa pod względem treściowym i graficznym. Oprócz tego prezentujemy nasz zasób w formie wystaw tematycznych, przygotowywanych chociażby w związku z coroczną akcją kulturalną „Noc Muzeów", a także bierzemy udział w konferencjach naukowych i lekcjach archiwalnych z młodzieżą szkolną i studentami.

Z materiałami z archiwów IPN można się zapoznać nie tylko w Warszawie. Gdzie jeszcze?

Również we wszystkich oddziałach i delegaturach IPN. Osoba wnioskująca o udostępnienie materiałów sama wskazuje, w którym oddziale bądź w której delegaturze chciałaby się z nimi zapoznać. Natomiast wnioski o udostępnienie akt można składać też w polskich placówkach dyplomatycznych za granicą. Jednak zapoznać się z dokumentami można tylko w placówkach IPN.

Fot. AIPN

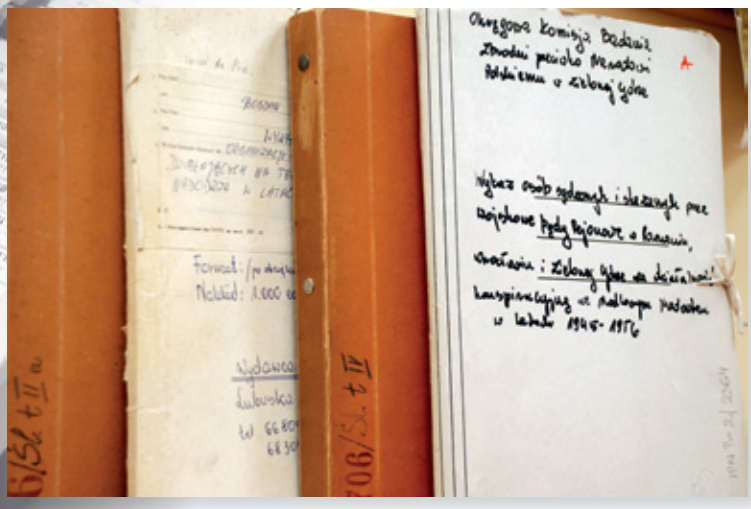

Fot. AIPN

Czym archiwalia z oddziałów IPN różnią się od tych z centrali w Warszawie?
Z pewnością specyfiką regionu, którego dotyczą. Na przykład zasób wrocławskiego IPN dotyczy Dolnego Śląska i Opolszczyzny, czyli ziem, które przed II wojną światową w większości należały do państwa niemieckiego, i których ludność, przesiedlona tam po zakończeniu działań wojennych, pochodziła głównie z utraconych Kresów Wschodnich. Po wojnie na tym terenie rozlokowano wojska radzieckie. Przesunięcie granic, kontakty Polaków z Niemcami, obecność Armii Czerwonej i wiele innych czynników znajdują odzwierciedlenie w zachowanym zasobie – niepowtarzalnym i bardzo różnorodnym.

W archiwach IPN są przechowywane nie tylko teczki.
Tak. Mamy fotografie, filmy, mapy, plakaty, ulotki, dokumentację techniczną, a nawet różnego rodzaju pamiątki. Jednak stanowią one marginalną część zasobu. Bardzo często są to załączniki do dokumentacji aktowej.

Na czym polega kwerenda archiwalna? Czy można ją przeprowadzić samodzielnie?
Kwerenda archiwalna to poszukiwanie w zasobie archiwalnym informacji dotyczących danego zagadnienia lub osoby. W IPN prowadzimy różnego rodzaju kwerendy, m.in. urzędowe – na zlecenie innych jednostek IPN, służb specjalnych, instytucji naukowych, muzealnych, stowarzyszeń, sądów czy urzędów wojewódzkich. Takie kwerendy prowadzą archiwiści. W przypadku kwerend naukowych i dziennikarskich zachęcamy do wykonania samodzielnych poszukiwań w czytelni przy użyciu aplikacji komputerowej Cyfrowe Archiwum. Jednak w razie trudności zawsze można się zwrócić o pomoc do dyżurującego pracownika.

Czy wprowadzenie aplikacji takich jak Cyfrowe Archiwum wpłynęło na jakość i czas kwerendy?
Znacząco. Na początku dysponowaliśmy w większości papierowymi spisami przekazanej nam dokumentacji. Miały one bardzo ograniczoną wartość informacyjną. Przeglądanie spisów papierowych było niezwykle czasochłonne. Dość szybko podjęto prace nad wykorzystaniem narzędzi informatycznych w zarządzaniu zasobem IPN. Jednak w każdym oddziale prace w tym zakresie przebiegały w odmienny sposób. W 2009 roku powstał ogólnopolski elektroniczny system informacji archiwalnej „Nexus", który uporządkował i scalił kilkaset baz danych, umożliwiał też przeprowadzanie kwerend rzeczowych, przedmiotowych i osobowych. Z czasem zastąpiono go aplikacją Cyfrowe Archiwum, stanowiącą elektroniczną bazę danych z informacjami o zasobie archiwalnym IPN, umożliwiającą połączenie skanów dokumentacji z odpowiadającymi im opisami archiwalnymi. Dostęp do określonych danych stał się szybszy i znacznie łatwiejszy.

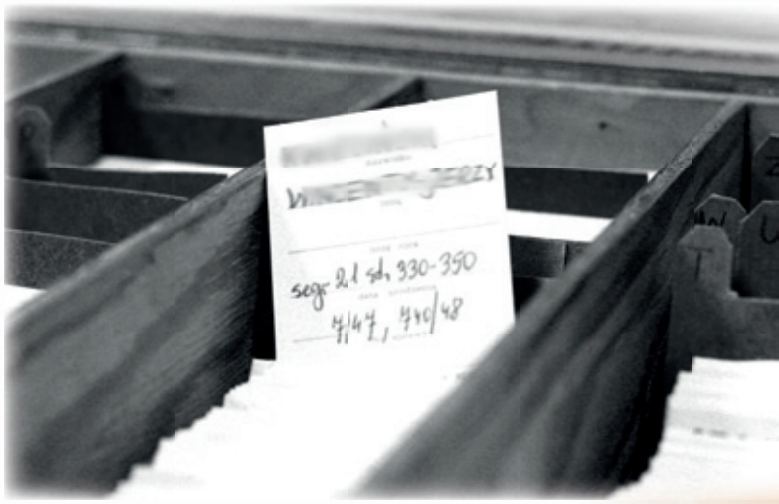
Fot. AIPN

Archiwa IPN to nie tylko materiały z okresu PRL, lecz także z czasów II wojny światowej. To chyba słabiej zbadana część zbiorów?
Rzeczywiście, jednak tego rodzaju dokumentacji nie ma zbyt wiele. Są to głównie materiały zgromadzone przez byłe okręgowe komisje badania zbrodni hitlerowskich w Polsce. Po utworzeniu IPN archiwalia te zostały włączone do zasobu instytutu. Warto zaznaczyć, że IPN nadal gromadzi wszelkie informacje na temat losów polskich obywateli z okresu II wojny światowej. W Warszawie utworzono specjalną komórkę – Centrum Udzielania Informacji o Ofiarach II Wojny Światowej – która udziela informacji o ofiarach represji niemieckich i sowieckich z czasów wojny i po jej zakończeniu.

Czy materiały zgromadzone w IPN mogą być pomocne w sprawach życia codziennego – spadkowych, odszkodowawczych itp.?
Oczywiście. Na przykład instytucje, od których przejęliśmy akta, w tym akta osobowe – jak w przypadku służby więziennej – zwracają się do nas z prośbą o potwierdzenie okresu zatrudnienia byłych funkcjonariuszy więziennictwa do celów emerytalnych. Sądy wypożyczają od nas dokumentację na potrzeby trwających procesów odszkodowawczych, a urzędy wojewódzkie proszą o potwierdzenie informacji o zrzeczeniu się obywatelstwa polskiego bądź o poświadczenie własności, szczególnie w odniesieniu do ludności pochodzenia żydowskiego. Archiwa IPN, szczególnie akta paszportowe, to również niewykorzystana skarbnica wiedzy do badań genealogicznych.

Czy ma Pani w archiwum IPN własną teczkę?
Nie. W chwili upadku systemu komunistycznego miałam 14 lat. Młodzież w tym wieku raczej nie zajmowała się prowadzeniem działalności opozycyjnej i formalnie nie mogła być nakłaniana do współpracy przez funkcjonariuszy SB. Nikt też z mojej rodziny nie ubiegał się w tym czasie o wydanie paszportu.

Archiwum historii narodowej

Rafał Leśkiewicz

Przed piętnastoma laty, w czerwcu 2000 roku, wybrano pierwszego prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, prof. Leona Kieresa. Od tego momentu datuje się faktyczne rozpoczęcie działalności tej instytucji.

Niewątpliwym, choć niestety mocno spóźnionym, sukcesem koalicji Akcja Wyborcza Solidarność–Unia Wolności było powołanie – na mocy ustawy z 18 grudnia 1998 roku – Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Rola tej instytucji miała polegać na ściganiu zbrodni nazistowskich i komunistycznych oraz innych zbrodni przeciwko pokojowi, ludzkości lub wojennych; prowadzeniu działalności naukowej i edukacyjnej oraz – co miało bez wątpienia największe znaczenie – na zgromadzeniu w jednym miejscu, a następnie udostępnianiu archiwaliów komunistycznego aparatu represji. Piętnasta rocznica powołania IPN skłania do refleksji i podsumowań. Postaram się więc ocenić, jak się zmienił krajobraz życia publicznego wolnej Polski po otwarciu archiwów bezpieki.

Klęska przeciwników jawności

Pamiętam, jak na początku czerwca 1992 roku jako piętnastoletni chłopiec oglądałem z zapartym tchem relacje telewizyjne z ul. Wiejskiej w Warszawie, kiedy na wniosek ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsy parlament odwołał premiera Jana Olszewskiego za to, że jego rząd wykonał uchwałę tegoż parlamentu, zobowiązującą ministra spraw wewnętrznych do ujawnienia informacji o zasobach Służby Bezpieczeństwa, dotyczących najważniejszych osób w państwie. Kulisy tej politycznej operacji pokazali Piotr Semka i Jacek Kurski w wyjątkowo porażającym i odsłaniającym mechanizmy władzy filmie *Nocna zmiana*. Rząd Jana Olszewskiego został odwołany, bo spełniając nałożony na niego obowiązek, zebrał w zasobach ówczesnego MSW informacje o posłach, senatorach i politykach z kancelarii prezydenta, którzy zostali zarejestrowani jako tajni współpracownicy SB. Tamte wydarzenia pokazały, jak trudne jest mierzenie się z niewygodną przeszłością i jak wiele można zrobić, by o niej zapomnieć.

Na szczęście przeciwnicy jawności akt komunistycznych służb specjalnych ponieśli klęskę. Dzisiaj akta zgromadzone w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej są dostępne dla każdego, a przepisy regulujące dostęp do informacji i dokumentów przechowywanych w IPN są bez wątpienia najbardziej liberalne w całej postkomunistycznej Europie Środkowo-Wschodniej. Z naszych doświadczeń w zakresie zarządzania spuścizną totalitarnej policji politycznej korzystają m.in. Ukraińcy i Tunezyjczycy.

Trudne początki

Początki archiwum IPN były niezwykle trudne. Zakreślony w ustawie termin sześćdziesięciu dni na przekazanie archiwaliów przez instytucje do tego zobowiązane (w tym ówczesne służby specjalne: Urząd Ochrony Państwa i Wojskowe Służby Informacyjne) był absolutnie nierealny. Ustawa weszła w życie w styczniu 1999 roku, a prezesa IPN parlament wybrał dopiero półtora roku później. Oznacza to, że rozpoczynając urzędowanie, prezes Kieres już był po ustawowym terminie.

W rzeczywistości prace związane z gromadzeniem archiwaliów rozpoczęły się na początku 2001 roku. Wówczas to pierwsi

Magazyn archiwum Instytutu Pamięci Narodowej przy ul. Kłobuckiej w Warszawie

archiwiści z IPN zostali wpuszczeni do archiwów UOP, żeby wytypować właściwe dokumenty. Okazało się bowiem, że służby specjalne nie były w stanie samodzielnie dokonać podziału posiadanych przez siebie dokumentów i przekazać do IPN tych wytworzonych przez UB/SB przed 10 maja 1990 roku. Podobnie rzecz się miała z WSI, które podlegały ministrowi obrony narodowej. Wszystko to przedłużało proces przekazywania akt. W przypadku WSI dopiero po ich likwidacji w 2006 roku okazało się, że w archiwach wojskowych służb specjalnych nadal są przechowywane akta wojskowej bezpieki z okresu PRL. Równocześnie z procesem przejmowania akt cywilnych i wojskowych organów bezpieczeństwa IPN upomniał się o dokumentację spraw politycznych, która była przechowywana w sądach i prokuraturach. Dzięki temu zostały ocalone niezwykle cenne archiwalia wytworzone przez wojskowe sądy rejonowe, działające w latach 1946–1955, będące świadectwem wyjątkowo okrutnych represji stalinowskich. Pracownicy archiwum IPN odwiedzali sądy, prokuratury, areszty śledcze i zakłady karne, skrupulatnie wyszukując akt penitencjarnych osób osadzonych za przestępstwa polityczne. Co ciekawe, do dzisiaj w wielu archiwach sądowych i więziennych są znajdowane wartościowe dokumenty, o których istnieniu podobno nikt nie miał pojęcia. Na przykład w Areszcie Śledczym w Warszawie przy ul. Rakowieckiej – którego kierownictwo kilkukrotnie twierdziło, że przekazało do IPN wszystkie akta – archiwiści z instytutu niedawno odnaleźli wartościowe dokumenty osób represjonowanych w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku.

Dzisiaj archiwalia IPN liczą ponad 90 km akt. To tyle co droga z Warszawy do Radomia. Wśród archiwaliów okresu komunistycznego największe znaczenie mają materiały operacyjne wojskowej i cywilnej bezpieki. Szczególną wartość ma kartoteka ogólnoinformacyjna SB, w której rejestrowano wszelkie zainteresowania operacyjne komunistycznej policji politycznej. Informatycznym odpowiednikiem tej kartoteki jest Zintegrowany System Kartotek Operacyjnych (ZSKO) – baza danych utworzona w latach osiemdziesiątych, w IPN wykorzystywana do dziś.

List pisany krwią

Do niezwykłych świadectw oporu wobec władzy należą obszerna kolekcja fotografii dokumentujących poznańskie wydarzenia z czerwca 1956 roku, liczne zdjęcia i filmy operacyjne SB rejestrujące wypadki marcowe w 1968 roku oraz grudniową rewoltę na Wybrzeżu w 1970 roku. To tylko przykłady wyjątkowych świadectw okresu PRL znajdujących się w zbiorach IPN.

Niewielu zdaje sobie sprawę z tego, że w archiwum IPN są przechowywane dokumenty i informacje o ofiarach II wojny światowej, zaliczane do największych na świecie zbiorów tego typu. To tutaj znajdują się zachowane prawie w komplecie kartoteki operacyjne gestapo z Zichenau (Ciechanowa), Litzmannstadt (Łodzi) i Radomia. Ogromną wartość historyczną mają oryginalne listy i akta osobowe więźniów z Dachau, wśród nich przejmujące zdjęcia dokumentujące dramat życia obozowego. W warszawskim archiwum znajdują się również listy transportowe do KL Mauthausen. Zupełnie wyjątkowym dowodem zbrodniczych działań Niemców w KL Auschwitz jest pisany ręcznie dziennik obozowego lekarza, Johanna Paula Kremera. Świadectwem eksterminacyjnej polityki Niemców wobec Żydów są m.in. dwa raporty: Jürgena Stroopa, podsumowujący wykonanie rozkazu likwidacji getta warszawskiego, oraz Fritza Katzmanna – o tzw. rozwiązaniu kwestii żydowskiej w dystrykcie radomskim. Przykładów można wymienić wiele. Na mnie jednak największe wrażenie robi list datowany na 3 lutego 1942 roku. Jego autorem jest Kazimierz Leski, osadzony w więzieniu w Poznaniu, który pisząc na skrawku papieru własną krwią, poinformował bliskich o zbliżającej się śmierci.

Wśród blisko czterech kilometrów dokumentów z okresu II wojny światowej niewiele jest niestety tych pochodzących z archiwów rosyjskich (nie licząc doku-

Fot. AIPN

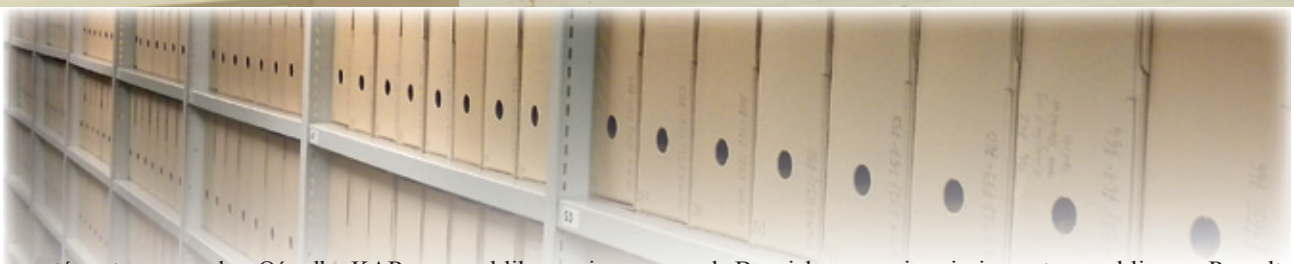

mentów otrzymanych z Ośrodka KARTA, który wcześniej pozyskał je m.in. od Memoriału). Sytuacja polityczna oraz niechęć władz Federacji Rosyjskiej uniemożliwiają podjęcie bardziej zdecydowanych kroków. Dobrze natomiast układa się współpraca z partnerami ukraińskimi, którzy sukcesywnie, chociaż z przerwami, przekazują nam ważne dla historii Polski dokumenty, w tym te dotyczące Zbrodni Katyńskiej, jak to miało miejsce w maju tego roku.

W ramach współpracy międzynarodowej nasi partnerzy z Czech, Estonii, Francji, Gruzji, Izraela, Litwy, Rosji, Rumunii, Stanów Zjednoczonych, Szwajcarii, Ukrainy i Wielkiej Brytanii przekazali nam blisko 665 tys. kopii dokumentów dotyczących spraw polskich.

Od reglamentacji do powszechnego dostępu

W ciągu ostatnich piętnastu lat nastąpiły fundamentalne zmiany w zakresie dostępu do dokumentów przechowywanych w archiwum IPN. Ten proces można scharakteryzować stwierdzeniem: od reglamentacji do powszechnego dostępu. Zapewne nawet najwięksi optymiści nie przypuszczali przed kilkunastu laty, że w 2015 roku dostęp do dokumentów komunistycznej bezpieki będzie tak prosty. Początki były jednak niezwykle trudne. Akta – poza naukowcami i dziennikarzami – mogły oglądać jedynie osoby pokrzywdzone, czyli ofiary działań komunistycznej bezpieki. W udostępnianych wówczas kopiach anonimizowano dane osobowe osób trzecich. Badaczom i przedstawicielom mediów dokumenty udostępniano w ramach procedury administracyjnej, co znacznie wydłużało oczekiwanie na akta. Nie istniały w zasadzie jakiekolwiek narzędzia informatyczne ułatwiające wyszukiwanie danych. Pamiętamy, jakie zamieszanie wywołało opublikowanie przez red. Bronisława Wildsteina wycinkowej osobowej listy katalogowej w Internecie na początku 2005 roku. O sprawie dyskutowali najwyżsi urzędnicy państwowi i politycy, a sam epizod stał się przyczyną błyskawicznej nowelizacji ustawy o IPN.

Obecnie każdy ma prawo dostępu do akt osobowych funkcjonariuszy i pracowników aparatu bezpieczeństwa oraz osób pełniących funkcje publiczne. Wreszcie każdy może bez żadnych ograniczeń zapoznawać się z aktami zakończonych postępowań lustracyjnych. Akta bezpieki są przytaczane zarówno w publikacjach dziennikarskich, jak i w poważnych rozprawach naukowych. Dziś już nikt, kto poważnie się zajmuje historią PRL, nie może ignorować zasobów archiwum IPN.

Udostępniona we wszystkich czytelniach akt IPN aplikacja informatyczna Cyfrowe Archiwum zawiera ponad 35 mln opisów, w Internecie zaś funkcjonuje inwentarz publiczny. Ponadto Biuro Lustracyjne, powołane na mocy nowelizacji ustawy o IPN w 2007 roku, publikuje na stronie internetowej katalogi tematyczne funkcjonariuszy, osób publicznych, osób rozpracowywanych i członków nomenklatury partyjnej, przygotowane przede wszystkim na podstawie archiwaliów SB. Zawierają one obecnie kilkadziesiąt tysięcy rekordów.

Fot. Piotr Życieński

Nieistniejący dziś budynek przy ul. Towarowej 28 w Warszawie – pierwsza siedziba IPN

Podsumowując mijające piętnastolecie, warto przywołać liczby obrazujące ogrom dotychczas wykonanej pracy. W ciągu tych lat archiwum zrealizowało ponad 956 tys. wniosków o udostępnienie dokumentów, 3,6 mln różnorodnych kwerend i sprawdzeń. Udostępniono blisko 2,5 mln teczek i zeskanowano ponad 27 mln stron dokumentów.

Archiwalia przechowywane w IPN na trwałe wpisały się życie naukowe i społeczno-polityczne naszego kraju. Coraz rzadziej budzą emocje, coraz częściej ciekawią. Opisują bowiem niezwykle trudny fragment naszej historii: tragizm i okrucieństwo wojny oraz terror komunistyczny, który z biegiem lat przeobraził się w system totalnej inwigilacji. Z akt bezpieki wyłaniają się sylwetki ludzi wielkich – bohaterów narodowych, czasem jednak także zdrajców i niegodziwców.

Archiwa to urzędy zaufania publicznego, pełniące w społeczeństwach demokratycznych przede wszystkim rolę strażnika pamięci o czasach minionych. W przypadku archiwum IPN ich rola jest jeszcze ważniejsza. Jak zauważył podczas tegorocznej gali nagrody Kustosz Pamięci Narodowej prowadzący ją red. Marek Zając, o ileż ubożsi bylibyśmy bez dostępu do akt, które – gdyby nie IPN – nadal tkwiłyby zakurzone na półkach w archiwach służb specjalnych, stając się od czasu do czasu przedmiotem gry politycznej.

dr Rafał Leśkiewicz – dyrektor Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

Fot. AIPN

Jak budowaliśmy archiwum IPN

Rafał Reczek

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w ciągu piętnastu lat zgromadziło blisko 90 km akt. Gdyby ułożyć je jak książki na półce, ciągnęłyby się na całej trasie z Warszawy do Skierniewic i jeszcze kilka kilometrów zostałoby w magazynach.

Łacińską sentencję *Habent sua fata libelli* – i książki mają swoje losy – można zastosować również do opisania procesu gromadzenia zasobu archiwalnego przez Instytut Pamięci Narodowej. Przypomnijmy, w jaki sposób trafiły do nas te dokumenty.

Terminy przepisowe, terminy realne

W roku 1998 parlament uchwalił ustawę o Instytucie Pamięci Narodowej. Jednym z zadań nowo powołanego urzędu miały być archiwizacja i udostępnianie dokumentów organów bezpieczeństwa państwa, wytworzonych między 22 lipca 1944 roku (powstanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego) a 31 lipca 1990 roku (likwidacja Służby Bezpieczeństwa). IPN zgodnie z ustawą gromadzi też m.in. dokumenty organów bezpieczeństwa III Rzeszy Niemieckiej i ZSRR, dotyczące zbrodni na obywatelach polskich.

Ustawa przewidywała, że dokumenty zostaną przekazane instytutowi w ciągu 60 dni od jego utworzenia. Zobowiązano do tego stosowne organy, m.in. ministrów spraw wewnętrznych

i administracji, obrony narodowej oraz sprawiedliwości, a także szefa Urzędu Ochrony Państwa, prezesów sądów, prokuratorów i dyrektorów archiwów, m.in. Archiwum Akt Nowych.

Niestety, przepisy to jedna sprawa, a realia – całkiem inna. Choćby owe 60 dni od dnia utworzenia instytutu to kwestia sporna. Nie było wiadomo, czy termin miał być liczony od powołania urzędu, czy jego faktycznego fizycznego powstania, do którego doszło w roku 2000, kiedy w czerwcu sejm wybrał prof. Leona Kieresa na prezesa.

Instytut Pamięci Narodowej, działając zgodnie z właściwością sądownictwa powszechnego, tworzył swoje siedziby w miastach, w których działały sądy apelacyjne. Początkowo istniało dziesięć oddziałów i centrala w Warszawie, w roku 2005 utworzono sąd apelacyjny w Szczecinie i również w tym mieście powstał oddział IPN. Taka struktura nie pokrywa się z podziałem administracyjnym kraju, co budzi niekiedy zadziwienie osób odwiedzających IPN, ponieważ np. Jarocin lub Ostrów Wielkopolski należą do łódzkiego, a nie – jak mogłoby się wydawać – poznańskiego oddziału IPN.

Kiedy już powstały struktury instytutu i wskazano siedziby poszczególnych oddziałów, zatrudniono młodych, obiecujących i pełnych zapału archiwistów. Szybko się okazało, że większość przekazywanych do IPN materiałów to dokumenty niejawne, zatem pracować z nimi mogą tylko archiwiści legitymujący się poświadczeniem bezpieczeństwa, które uprawnia do dostępu do tajemnicy państwowej. By uczynić zadość temu wymogowi, archiwiści pracujący w IPN musieli przejść, i tak jest do dziś, specjalną procedurę sprawdzającą, która trwa z reguły kilka miesięcy. Dlatego przez ten czas były możliwe tylko prace związane z przejmowaniem dokumentów jawnych. Pierwszym krokiem do uzyskania poświadczenia bezpieczeństwa było i jest złożenie, zgodnie z ustawą o ochronie informacji niejawnych, kilkunastostronicowej ankiety, dotyczącej m.in. rodziny, zdrowia, kwestii majątkowych, odbytych podróży zagranicznych. Chodzi o wykluczenie przesłanek uniemożliwiających otrzymanie stosownego poświadczenia, np. konfliktów z prawem. To skomplikowane postępowanie wobec pracowników Instytutu Pamięci Narodowej prowadził Urząd Ochrony Państwa, dziś Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Postępowanie miało i nadal ma za zadanie ustalić, czy pracownik nim objęty daje rękojmię zachowania tajemnicy.

Niestety, organa państwa, na które nałożono obowiązek przekazania akt do IPN, nie były do tego gotowe, prace ciągle trwały. Ponieważ materiałów było bardzo dużo, okazało się, że przewidziany w ustawie termin 60 dni jest niemożliwy do dotrzymania.

Po kilku miesiącach archiwiści IPN, wśród nich również ja, wyposażeni w stosowne uprawnienia byli wysyłani do jednostek przygotowujących dokumenty dla instytutu. Pamiętam, jak w Poznaniu razem z kilkoma koleżankami i kolegami zostaliśmy wydelegowani do miejscowej Delegatury UOP. Tam sporządzaliśmy spisy zdawczo-odbiorcze, pakowaliśmy materiały do kartonów i organizowaliśmy transporty do oddziału. Mogłoby się wydawać, że pakowanie akt to prosta czynność. O nie! Materiały niejawne wkładano do specjalnych kartonów, następnie mozolnie je wiązano z wykorzystaniem wszystkich dostępnych w nich otworów, aby na końcu jeszcze zaplombować. Mieliśmy przeświadczenie, że to odpowiedzialna praca, ale o jej randze możemy mówić dopiero dzisiaj, z perspektywy czasu. Dla nas, młodych ludzi, w wielu przypadkach świeżo upieczonych absolwentów studiów humanistycznych, były to prawdziwa przygoda z historią i wielkie wyzwanie, któremu staraliśmy się sprostać. Z własnego doświadczenia pamiętam, że po oddelegowaniu do przejmowania materiałów archiwalnych, najpierw z UOP w Poznaniu i Szczecinie, później z policji, do oddziału wróciłem po prawie półtora roku. Bywałem w tym czasie w oddziale jedynie sporadycznie,

Pomieszczenia Archiwum Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Poznaniu

Fot. AIPN

głównie zresztą po to, żeby załatwić formalności związane z kolejną delegacją. Takie to były czasy.

Ten okres miał dla archiwistów olbrzymie znaczenie poznawcze. Uczyliśmy się wtedy, że cyframi rzymskimi w resorcie bezpieczeństwa opisywano odpowiednio: I – akta osobowych źródeł informacji, II – akta operacyjne, III – akta śledcze, IV – akta obiektowe, V – akta osobowe funkcjonariuszy UB/SB. Każdy rodzaj akt miał inny układ wewnętrzny teczki. Pytaliśmy archiwistów w Urzędzie Ochrony Państwa o to, gdzie przechowywano większość akt po organach bezpieczeństwa PRL, a także o metodykę pracy UB/SB. Wykorzystywaliśmy ten czas na naukę, ponieważ wchodziliśmy w zupełnie nowe realia, o których nie mieliśmy pojęcia. Na IPN nałożono zadania, których nie wykonywały wcześniej podmioty dotychczas przechowujące akta. Wszystko było dla nas nowe, nawet archiwiści z doświadczeniem z sieci archiwów państwowych mierzyli się z nieznaną materią.

Milicyjna szkoła archiwalna

Chociaż metodyka archiwalna jest jedna, to praca milicji i Służby Bezpieczeństwa była owiana aurą tajemnicy. W tych instytucjach archiwizowanie dokumentacji było podyktowane własnym interesem i potrzebami, nie wynikało z prawa archiwalnego. Na czym to polegało? Władza komunistyczna gromadziła informacje przydatne z punktu widzenia bieżących interesów politycznych, m.in. o działaczach PSL, kiedy po zakończeniu zmagań wojennych od 1944 roku utrwalała swoją pozycję i zwalczała przeciwników. Podobne informacje gromadzono na temat funkcjonowania Kościoła katolickiego czy – od lat siedemdziesiątych – opozycji, potem głównie Solidarności. Kiedy zgromadzone informacje traciły na aktualności, były niszczone, co jest czymś innym niż ustawowe brakowanie dokumentacji archiwalnej, stosowane w archiwach w przypadku określonych grup materiałów archiwalnych. Wówczas były to często działania pozaprawne.

Spakowane akta po przekazaniu do IPN były przyjmowane do archiwum i wówczas rozpoczynał się mozolny proces ich rozpoznawania, opracowywania i jednoczesnego wykonywania zadań nałożonych na IPN, co jest wyjątkiem w metodyce pracy archiwalnej. W sieci archiwów państwowych lub archiwów diecezjalnych nowe zespoły archiwalne są podczas przyjmowania rozpoznawane, opisywane, indeksowane i dopiero wtedy udostępnianie. W instytucie przyjmowaliśmy materiały i od razu, z marszu, po wstępnym rozpoznaniu były one udostępniane. Dlatego realizacja pierwszych wniosków naukowych czy dziennikarskich trwała o wiele dłużej niż dziś. Archiwiści musieli przeglądać spisy zdawczo-odbiorcze, robić kwerendy w magazynach i szukać za wnioskodawcę materiałów odpowiadających kryterium zamówienia. Po piętnastu latach funkcjonowania naszych archiwów mamy olbrzymi postęp. Zasób jest właściwie już rozpoznany i opisany w Cyfrowym Archiwum, wnioskodawca, korzystając z komputera w czytelni, wyszukuje zgodnie z indeksem haseł lub nazwisk interesujące go materiały i je zamawia. Ale do tego, by było normalnie, potrzebowaliśmy wielu lat naszej wytężonej pracy, prowadzonej równolegle z realizacją wielu zadań, m.in. tzw. ustawy deubekizacyjnej.

Pamiętam, że w Poznaniu pierwsze wnioski o dostęp do materiałów przez osoby, które chciały się czegoś dowiedzieć o swojej przeszłości, były składane w lutym 2001 roku, a do końca tego roku ich liczba w całym kraju była liczona już w tysiącach spraw do realizacji. Pierwsze transporty akt trafiały do poznańskiego oddziału we wrześniu tegoż roku. Podobna sytuacja była w całym instytucie, zatem już na wstępie niemożliwe było dotrzymanie terminów realizacji wniosków, bo wciąż brakowało materiałów archiwalnych. Instytut borykał się z trudnościami finansowymi, nie było środków na zatrudnienie nowych pracowników, a ci, którzy pracowali w archiwum IPN, nie byli w stanie szybciej wykonywać

powierzonych zadań, których z dnia na dzień przybywało. Realizowano wnioski o dostęp do dokumentów na potrzeby naukowców i dziennikarzy. Indeksowano przejmowany zasób, prowadzano działania naukowe i edukacyjne instytutu, w których nieodzowna była pomoc archiwistów, a wszystko to było łączone z codziennością archiwum.

Na przykład w Poznaniu przejmowano dokumenty z dużego obszaru. Z rozległego terenu Wielkopolski, ale również z części województw lubuskiego i zachodniopomorskiego. Pracownicy musieli zatem wyjeżdżać na całe tygodnie w delegacje do Zielonej Góry, Gorzowa Wielkopolskiego i Szczecina, by tam przygotowywać akta do transportu i następnie przyjmować je w Poznaniu.

Przejmowanie akt do archiwum instytutu trwało kilka lat. Warto zilustrować ogrom prac wówczas podejmowanych. Na podstawie sprawozdania z działalności IPN za rok 2003 wiemy, że w czerwcu tegoż roku w archiwach centrali i oddziałów pracowało 496 archiwistów. Od stycznia 2001 roku do czerwca 2002 zgromadzono 46722,08 metrów bieżących akt. Rezultat pracy archiwistów od czerwca 2002 roku do czerwca 2003 roku to przejęcie kolejnych 31136,86 m.b., co dało razem 77 858,94 m.b., z czego 36 proc. zgromadziła centrala BUiAD, a resztę oddziały. Warto pamiętać, że był to również czas od roku 2001, kiedy powoli był budowany stan etatowy archiwum.

W Poznaniu np. ostatnie większe transporty akt były przyjmowane na przełomie lat 2004 i 2005, czyli zdecydowanie później niż wskazywane w ustawie 60 dni. Kiedy zakończyliśmy te czynności i z mozołem opracowywaliśmy zasoby, powołano nowy sąd apelacyjny w Szczecinie. Powstał zatem, jak już wcześniej wspomniałem, szczeciński oddział IPN. Do jego archiwum należało przekazać kilka kilometrów akt z zasobów zgromadzonych wcześniej w oddziałach IPN w Gdańsku i Poznaniu. Nie było to jednak łatwe zadanie, należało bowiem w odpowiedni sposób podzielić materiał archiwalny zgromadzony w poznańskim lub gdańskim oddziale. Stosując zasady archiwalne, zastanawiano się, jak to zrobić najwłaściwiej. W największym skrócie: uznano, że punktem wyjścia będzie miejsce archiwizowania dokumentów. I tak akta wytworzone przez organa bezpieczeństwa państwa i zarchiwizowane następnie w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Gorzowie Wlkp. i przechowywane w Delegaturze ABW w Szczecinie, trafiły do nowego oddziału. Materiały archiwizowane w UOP w Poznaniu i Zielonej Górze pozostawiono w Poznaniu. Po wydzieleniu i zapakowaniu akt w 2006 roku dokumenty zostały przewiezione do Szczecina. Był to ostatni akord masowego przejmowania do instytutu dokumentów z jednostek wskazanych w ustawie.

Nie zakończył on jednak samego przejmowania materiałów archiwalnych. Proces ten wciąż trwa, do naszych archiwów ciągle trafiają dokumenty, są to m.in. darowizny od osób prywatnych, które chcą pozostawić swoją spuściznę związaną np. z aktywnością w opozycji lub przekazują materiały swoich bliskich, np. oficerów zamordowanych w Katyniu, czy dokumenty, ulotki albo fotografie komisji zakładowych solidarności z lat 1980–1981, nieistniejących zakładów pracy itp. O tym, jak ważne i potrzebne w badaniu historii najnowszej są materiały archiwalne przejęte przez IPN, najlepiej świadczą dziesiątki tysięcy udostępnionych jednostek archiwalnych do badań naukowych, publikacji dziennikarskich, dla instytucji i organów państwa, które zwracają się o materiały, osobom, które występują o wydanie kopii dokumentów ich dotyczących.

Od narzędzia bezprawia do narzędzia badania

Wracając raz jeszcze do sentencji *Habent sua fata libelli*, widzimy, jak długą drogę przeszły dokumenty zgromadzone w archiwum IPN. Pierwotnie, w systemie komunistycznego bezprawia, były narzędziami zniewolenia i łamania człowieka. Dziś są materiałami archiwalnymi, pozwalającymi odkrywać naszą trudną historię. Z perspektywy czasu widzimy, że dzięki tym dokumentom jest możliwe zadośćuczynienie osobom, które za obronę ideałów wolności doznały krzywd od reżimu komunistycznego. Między innymi na podstawie dokumentów okresu bezprawia honorujemy bohaterów tamtych czasów, wnioskując do prezydenta RP o ich odznaczenie Krzyżem Wolności i Solidarności, są też one podstawą do nadania statusu działacza opozycji demokratycznej i osoby represjonowanej w PRL, co jest realizowane na podstawie ustawy z 20 marca 2015 roku.

Dokumenty z lat 1939–1945 zgromadzone w archiwach instytutu, ilustrujące zmagania Polaków z okupantem niemieckim i sowieckim, ukazują heroizm społeczeństwa i pozwalają na prowadzenie rzetelnych badań. Bardzo dużą wartość mają materiały dotyczące okupacji niemieckiej. Przygotowując informator o zasobie archiwalnym instytutu, opisano m.in. akta zgromadzone po organach represji i administracji III Rzeszy Niemieckiej. Na tej podstawie i przy wykorzystaniu innych dostępnych archiwów udało się już historykom pracującym w IPN i innym badaczom przygotować liczne publikacje książkowe i zorganizować konferencje naukowe rzucające w wielu sytuacjach nowe światło na dotychczasowe ustalenia.

W ciągu piętnastu lat archiwum Instytutu Pamięci Narodowej stało się ważnym elementem sieci archiwów w Polsce i przyczyniło się do podniesienia jakości badań historycznych oraz zapełniania białych plam naszej najnowszej historii. Najlepszym tego przykładem jest przywrócenie do społecznej świadomości i zasłużone podniesienie do rangi bohaterstwa postawy Żołnierzy Niezłomnych – Wyklętych. To w największym zakresie dzięki materiałom z archiwum instytutu powstają prace naukowe opisujące ich bohaterstwo i piętnujące postawy państwa komunistycznego.

dr Rafał Reczek – dyrektor Oddziału IPN w Poznaniu

„Makulatura” z SB

Wojciech Krupa, Jarosław Łabowicz

Teczki księży, dokumenty z rozpracowania Solidarności i powojennego podziemia niepodległościowego – to materiały, które udało się ocalić od zniszczenia na przełomie 1989 i 1990 roku. Dla współczesnych badaczy najnowszej historii Polski jest to materiał bezcenny.

Duże było zaskoczenie pracowników Oddziału IPN w Katowicach, gdy jesienią 2001 roku otrzymali z Delegatury Urzędu Ochrony Państwa 267 worków zabezpieczonych pieczęcią lakową. Z relacji funkcjonariuszy UOP wynikało, że w środku kryje się dokumentacja Służby Bezpieczeństwa, przeznaczona swego czasu do zniszczenia. Były to materiały niejawne o nieznanym charakterze, pozbawione szczegółowej ewidencji.

Operacja: niszczenie akt

Akcja brakowania materiałów – czyli wydzielania tych niepodlegających wieczystemu przechowywaniu i przekazania ich na makulaturę – była prowadzona na przełomie lat 1989–1990 i wiązała się ze zmianą sytuacji politycznej w kraju. Wtedy właśnie, po klęsce komunistów w wyborach kontraktowych, w resorcie spraw wewnętrznych podjęto decyzję o zniszczeniu materiałów, które dla stworzenia pozorów legalności tego procederu określono jako pozbawione wartości operacyjnej, historycznej i szkoleniowej. Zgromadzone w workach akta miały oczekiwać na transport do papierni, gdzie miały zostać zniszczone.

Chociaż niektóre materiały odnalezione w workach przeznaczono do brakowania zgodnie z obowiązującymi w tamtym okresie przepisami, wydanymi przez ➤

Fragment zniszczonego dokumentu Służby Bezpieczeństwa

Fot. AIPN

ministra spraw wewnętrznych i kierownictwo Biura „C" MSW (czyli resortowego archiwum), to analiza zachowanej dokumentacji i dotyczących jej zapisów ewidencyjnych pozwala stwierdzić, że duża część zgromadzonych w workach materiałów została wybrakowana z naruszeniem obowiązujących zarządzeń i wytycznych. Nieprawidłowości dotyczą głównie nieprzestrzegania przepisów dotyczących okresu przechowywania w archiwum danych kategorii akt oraz umożliwienia jednostkom organizacyjnym wojewódzkich urzędów spraw wewnętrznych przeprowadzenia brakowania materiałów czynnych zainteresowań, czyli aktualnie prowadzonych spraw operacyjnych, „we własnym zakresie" z pominięciem procedury związanej z wyrejestrowaniem i przekazaniem do archiwum Wydziału „C" akt danej sprawy.

Znaczące jest to, że niektóre polecenia, nakazujące przyspieszenie akcji brakowania oraz rozszerzenie zakresu dokumentacji zakwalifikowanej do zniszczenia, były wydawane przez przedstawicieli kierownictwa Biura „C" MSW wyłącznie w formie ustnej i przekazywane podczas rozmów telefonicznych prowadzonych z funkcjonariuszami Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Katowicach.

Zapisy ewidencyjne i notatki służbowe dowodzą, że akcja brakowania rozpoczęta w połowie 1989 roku – jeszcze za rządów Mieczysława Rakowskiego – była kontynuowana w kolejnych miesiącach, także w 1990 roku, gdy premierem był już Tadeusz Mazowiecki. Oficjalnie jednak proces fizycznego niszczenia dokumentów został wstrzymany 31 stycznia 1990 roku na rozkaz ministra spraw wewnętrznych, gen. Czesława Kiszczaka. Decyzja ta, wymuszona przez ujawnienie opinii publicznej masowego niszczenia dokumentacji SB (artykuł na ten temat ukazał się w „Gazecie Wyborczej" w styczniu 1990 roku), uratowała od zniszczenia ok. 400 worków z aktami, które następnie zostały przejęte przez Delegaturę UOP w Katowicach wraz z budynkami i dokumentacją zlikwidowanego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Co ciekawe, zapisy ewidencyjne i notatki służbowe świadczą o tym, że akcja brakowania dokumentacji i umieszczania jej w workach nie została wstrzymana w momencie likwidacji WUSW i była kontynuowana w pierwszych miesiącach funkcjonowania katowickiej Delegatury UOP.

Do przeglądu zawartości worków przystąpiono w Urzędzie Ochrony Państwa na początku lat dziewięćdziesiątych. Wypełnione były one materiałami w bardzo różnym stanie: zawierały zarówno kompletne i zachowane w całości akta spraw operacyjnych, jak i przemieszane luźne karty pochodzące z segregatorów z dokumentacją administracyjną i z teczek spraw operacyjnych oraz karty ewidencyjne. Część zachowanej dokumentacji zachowała się w formie podartych w większym lub mniejszym stopniu kart oraz ścinków materiałów zniszczonych w niszczarkach. Ze względu na zainteresowanie dokumentacją wytworzoną przez Służbę Bezpieczeństwa ze strony wymiaru sprawiedliwości, m.in. w związku z wszczęciem przez Prokuraturę Wojewódzką w Katowicach śledztwa w sprawie pacyfikacji kopalni „Wujek" w grudniu 1981 roku, podjęto decyzję o włączeniu materiałów z worków do zasobu Delegatury UOP w Katowicach. Skala przedsięwzięcia spowodowała, że proces ten przeprowadzono tylko częściowo. Zajęto się przede wszystkim aktami zachowanymi w dobrym stanie i nie podejmowano prób odtwarzania dokumentów podartych ręcznie czy pociętych przez niszczarkę. Te, wraz z dużą ilością niewypełnionych formularzy i druków również wydobytych z worków, zostały częściowo przeznaczone na makulaturę. Prace prowadzone w UOP przerwano z chwilą utworzenia Oddziału IPN w Katowicach – i właśnie tam trafiły ocalałe worki.

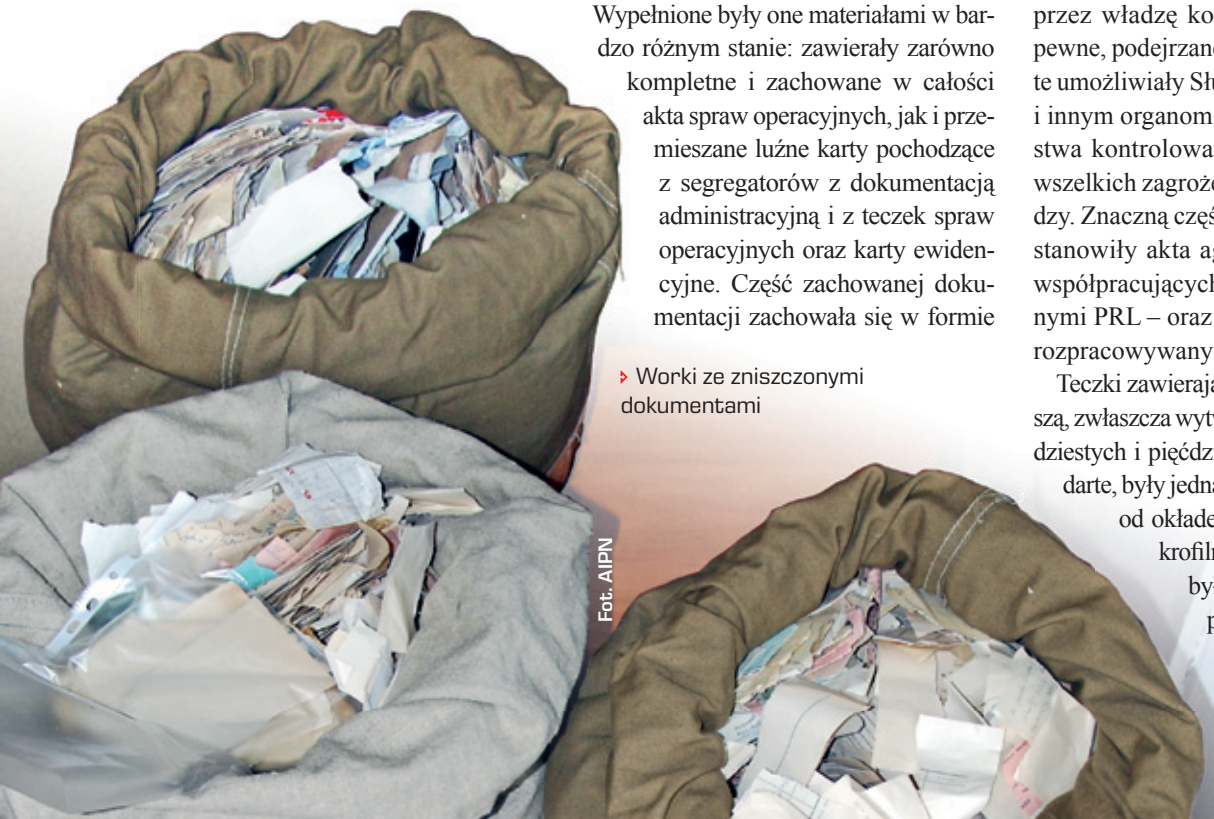

Worki ze zniszczonymi dokumentami

Fot. AIPN

Z odzysku

Zachowały się m.in. materiały operacyjne, administracyjne, ewidencyjne oraz druki i formularze. Zgromadzona dokumentacja miała dostarczyć wiedzy o osobach i instytucjach uznanych przez władzę komunistyczną za niepewne, podejrzane i wrogie. Informacje te umożliwiały Służbie Bezpieczeństwa i innym organom bezpieczeństwa państwa kontrolowanie lub neutralizację wszelkich zagrożeń dla ówczesnej władzy. Znaczną część zawartości worków stanowiły akta agentury – czyli osób współpracujących ze służbami specjalnymi PRL – oraz akta osób i instytucji rozpracowywanych przez te służby.

Teczki zawierające dokumentację starszą, zwłaszcza wytworzoną w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, nie były podarte, były jednak rozszyte i odłączone od okładek (m.in. na etapie mikrofilmowania). Można więc było stosunkowo szybko przywrócić im właściwą formę. W ten sposób od 2006 roku,

kiedy to przystąpiono do porządkowania materiałów z worów ewakuacyjnych, odzyskano i zewidencjonowano ponad 15,6 tys. tomów teczek akt operacyjnych.

W zdecydowanie gorszym stanie zachowały się materiały z ostatniej dekady działalności organów bezpieczeństwa państwa, a więc najistotniejsze i aktualne w kontekście likwidacji służb PRL i zmian ustrojowych na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Podarte najczęściej na kilka lub kilkanaście fragmentów karty ewidencyjne i dokumenty z teczek operacyjnych są obecnie przywracane do stanu sprzed zniszczeń. Prace rekonstrukcyjne polegają na dopasowywaniu podartych fragmentów dokumentów, prasowaniu specjalnym żelazkiem, tzw. kauterem, oraz sklejaniu taśmą samoprzylepną (filmoplast P). W identyfikacji i dopasowaniu podartych fragmentów dokumentów są brane pod uwagę charakterystyczne cechy zewnętrzne, np. rodzaj papieru, forma i charakter pisma, barwa atramentu, a także temat dokumentów, zawarte w nich informacje, m.in. nazwiska osób, zamieszczone pseudonimy i kryptonimy spraw operacyjnych, chronologia i dane dotyczące miejsca wytworzenia. Jest to praca żmudna i czasochłonna, ale przynosząca efekty. Rezultatem wysiłku archiwistów katowickiego IPN jest odtworzenie kilkudziesięciu tomów akt tajnych współpracowników oraz ok. 700 kwestionariuszy i innej dokumentacji stanowiącej niegdyś zawartość Teczek Ewidencji Operacyjnej na Księży – tzw. TEOK. Najczęściej odzyskane teczki TW stanowią uzupełnienie materiałów przekazanych z DUOP w Katowicach zgodnie z zasadami archiwalnymi; zdarzają się jednak i takie świadectwa, po których nie pozostałby żaden ślad, gdyby uległy zniszczeniu. Tak duża liczba zachowanych materiałów z inwigilacji księży (również zakonników i kleryków) daje obraz skali działań wymierzonych przeciwko Kościołowi katolickiemu przez komunistyczne państwo i jego służby.

Kopalnia wiedzy

Odzyskana dokumentacja z worków ewakuacyjnych pokazuje, jakimi gru-

Fot. AIPN

Dokumenty SB w czasie segregowania

pami społecznymi i zagadnieniami interesowały się służby komunistyczne w ciągu ponad czterdziestu lat ich działalności. Bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej działania ówczesnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i jego jednostek terenowych były wymierzone przeciwko członkom podziemia niepodległościowego, m.in. z wielu organizacji poakowskich, Zrzeszenia WiN, Narodowych Sił Zbrojnych, a także przeciwko niezależnym działaczom społecznym i politycznym, zwłaszcza z Polskiego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Narodowego. Działania operacyjne tajnych służb dotyczyły również przedwojennych oficerów Wojska Polskiego, funkcjonariuszy policji, policji Województwa Śląskiego, osób wpisanych na niemiecką listę narodowościową (folksdojczów), byłych żołnierzy Wehrmachtu, internowanych w ZSRR oraz członków organizacji nazistowskich i osób podejrzanych o współpracę z okupantem niemieckim. Szczególną grupą inwigilowaną przez służby było duchowieństwo Kościoła katolickiego. Nie zachowały się niestety teczki zakładane dla każdej parafii. Duży zbiór materiałów z worków ewakuacyjnych odzwierciedla działania przeciwko osobom zaangażowanym w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w działalność opozycji demokratycznej, w tym działaczy Wolnych Związków Zawodowych, Komitetu

Fot. AIPN

Samoobrony Społecznej KOR, Niezależnego Zrzeszenia Studentów, a także NSZZ „Solidarność", zarówno z okresu działalności legalnej, jak i po wprowadzeniu stanu wojennego oraz z 1989 roku, kiedy to rozpoczęto proces odtwarzania legalnych struktur związku w instytucjach i zakładach pracy. Ocalono przed zniszczeniem m.in. akta z okresu internowania znanego działacza Solidarności, Andrzeja Rozpłochowskiego. Materiały te, a także ich główny bohater pojawili się razem w 2012 roku w filmie dokumentalnym *Pocięty życiorys*. Intencją jego autorów było połączenie wątków dotyczących „materiałów z worów", pracy archiwistów i historii działalności śląsko-dąbrowskiej Solidarności.

Zawartość worków nie ograniczała się tylko do materiałów operacyjnych. Wiele z zachowanych w całości i częściowo zniszczonych materiałów dotyczy bieżącej pracy wydziałów i komórek organizacyjnych z pionu Służby Bezpieczeństwa WUSW w Katowicach. W przypadku Wydziału V są to m.in. akta dotyczące zabezpieczenia działających na terenie województwa katowickiego central handlu zagranicznego, a także przedsiębiorstw z branży budowlanej oraz transportu drogowego czy kolejowego. Prowadzone stale przez wiele lat tzw. sprawy obiektowe (m.in. sprawy o kryptonimie „Centrala" i „Węgiel", dotyczące CHZ „Centrostal" i „Węglokoks" w Katowicach) miały na celu ścisłą kontrolę działalności przedsiębiorstw, zwłaszcza ich pracowników, którzy wykonując swoje obowiązki służbowe, często kontaktowali się z cudzoziemcami. Przykładem zainteresowań Wydziału V-2 WUSW w Katowicach są notatki na temat przebiegu strajków w kopalniach jastrzębskich w 1988 roku. Relacje były szczegółowe co do minuty, np. „18.15 siły porządkowe podjechały [na teren kopalni „1 Maja", przyp. autorów], 18.30 zebrało się ok. 1000–1200 gapiów, w grupie tej przeważają kobiety. Strajkujący śpiewają *Jeszcze Polska nie zginęła*…". W workach znalazła się dokumentacja z Wydziału „B", którego zadaniem było prowadzenie obserwacji osób. Zachowały się m.in. akta tzw. punktów zakrytych, czyli różnego typu pomieszczeń, również wynajętych od osób prywatnych, wykorzystywanych do prowadzenia obserwacji osób będących w zainteresowaniu Służby Bezpieczeństwa, oraz akta tzw. garaży konspiracyjnych, w których przechowywano pojazdy wykorzystywane w pracy operacyjnej. Interesującym odkryciem było odnalezienie sześćdziesięciu rolek mikrofilmów akt operacyjnych zawierających ankiety personalne i kwestionariusze ewidencyjne osób będących w zainteresowaniu SB oraz fotografie z prowadzonych czynności operacyjnych związanych z zabezpieczeniem przebiegu uroczystości pogrzebowych górników poległych podczas pacyfikacji KWK „Wujek" w Katowicach. Odzyskano również ok. 2 tys. negatywów fotografii wykonanych przez funkcjonariuszy Wydziału „B", z których sporządzono odbitki zdjęć operacyjnych, przedstawiające osoby i wydarzenia pozostające w zainteresowaniu SB.

Fot. AIPN

Innym i z pewnością wyjątkowym dla zasobu IPN znaleziskiem są uratowane przed zniszczeniem akta Wydziału Operacyjno-Ochronnego, działającego w strukturach WUSW w Katowicach od 1977 roku. Wydział Operacyjno-Ochronny był odpowiednikiem działającego na szczeblu centralnym Biura Ochrony Rządu i jego głównym zadaniem – o czym informują nas zachowane materiały – była ochrona miejsc zamieszkania i pracy członków rządu i Biura Politycznego KC PZPR. Objęci ochroną wydziału byli m.in. Zbigniew Messner i Zbigniew Szałajda.

Warto wspomnieć o uporządkowanym dużym zbiorze materiałów ewidencyjnych pochodzących z kartotek: ogólnoinformacyjnej, paszportowej, zagadnieniowej, spraw mobilizacyjno-obronnych, tematycznych – pseudonimów, tajnych współpracowników i kryptonimów spraw operacyjnych. Służba Bezpieczeństwa pozbyła się również (wrzucając do worków) niewykorzystanych druków i formularzy kart ewidencyjnych i teczek operacyjnych.

Zarówno dokumenty wydobyte z worków w całości, jak i te ułożone z fragmentów, zawierają olbrzymią ilość informacji o osobach, zdarzeniach, instytucjach tworzących historię Polski ostatnich kilkudziesięciu lat. Na uwagę zasługują zwłaszcza trzy grupy akt odzyskane z worków. Pierwsza to tysiące teczek osób poddanych represjom w związku z walką i działalnością niepodległościową podczas wojny i w pierwszych latach po jej zakończeniu. Druga grupa materiałów to szczególnie licznie zachowana (jeśli porównać zasób katowickiego IPN z pozostałymi oddziałami instytutu) dokumentacja ewidencyjna dotycząca inwigilacji duchowieństwa Kościoła katolickiego. Trzecia grupa akt o dużym znaczeniu to akta spraw operacyjnych prowadzonych tuż przed likwidacją Służby Bezpieczeństwa, które trafiły do worków bezpośrednio z szaf i biurek funkcjonariuszy SB. Ta ostatnia grupa materiałów z powodu rozproszenia i dokonanych zniszczeń nie została jeszcze do końca uporządkowana.

Wojciech Krupa, Jarosław Łabowicz – pracownicy Oddziałowego Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Katowicach

Ukradzione przedmioty, ukradziona pamięć

Bożena Cisek

Źródła historyczne, choć wiele wnoszą w nasze rozumienie przeszłości, najczęściej kojarzą się z suchymi dokumentami, jak np. akta sądowe. Do tej kategorii należą też jednak przedmioty wręcz intymne, jak np. prywatne listy, zdjęcia, pamiątki rodzinne. Wyrywane z ognisk domowych, trafiały w brutalny świat komunistycznej, pseudosądowej manipulacji ludzkim życiem. Dostawały też wtedy nową, beznamiętną nazwę: depozyt.

Instytut Pamięci Narodowej, na mocy powołującej go ustawy, stał się depozytariuszem dużej liczby rzeczy pozostałych po ludziach uznanych kiedyś za wrogów komunizmu. Wśród nich – wielu polskich bohaterów, których większość komuniści bestialsko zamordowali. Zagrabione im pamiątki miały zostać na zawsze zamknięte w ubeckich kazamatach i, jak ukryta przed potomnymi pamięć o bohaterstwie prawowitych właścicieli tych rodzinnych skarbów, nigdy niezwrócone.

Choć wartość opisywanych pamiątek jest bez wątpienia niezwykła, okoliczności ich włączenia do zasobu IPN były prozaiczne. Depozyty, formalnie, zostały przekazane przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji (jako – w tym przypadku – sukcesora komunistycznego MSW) w roku 2001 oraz, w mniejszej liczbie, przez Urząd Ochrony Państwa (działający tu w charakterze spadkobiercy peerelowskiej Służby Bezpieczeństwa) w roku następnym. Należy przy tym podkreślić, że zarówno MSWiA, jak i UOP, oddając je do IPN, nie wyodrębniały ich oficjalnie jako spersonalizowanych depozytów. Szczęśliwie jednak zachowały się dokumenty, które – w przybliżeniu – można traktować jako ich ewidencję archiwalną. Są to m.in. książka ewidencji depozytów, zawierająca imienny wykaz 1128 depozytów różnych osób zarejestrowanych w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego (w formie zdigitalizowanej jest ona obecnie dostępna w systemie zwanym Cyfrowe Archiwum, umożliwiającym wyszukiwanie informacji o materiałach archiwalnych znajdujących się w zasobie IPN); książki kontroli depozytów, ➤

› Skorowidz kwitów depozytowych

Fot. Katarzyna Adamów

pochodzące z lat 1946–1958 i rejestrujące wszystkie przedmioty przyjęte na tzw. przechowanie; wykazy dokumentów dotyczące depozytów różnych osób i organizacji z lat 1946–1957. Te i inne dokumenty zostały przekazane do IPN przez Biuro Ewidencji i Archiwum UOP. Na marginesie warto dodać, że – same w sobie – stanowią ciekawy zabytek represyjnej biurokracji komunistycznych struktur bezpieczeństwa.

Odkrycie depozytów

Przez kilka lat po przekazaniu, mimo istnienia wspomnianych dokumentów ewidencyjnych, depozyty nie były w odpowiedni sposób prezentowane w pomocach archiwalnych. Stanowiły jedynie element innych zespołów archiwalnych. Właściwie przez przypadek, np. na podstawie pojawiających się w dokumentach nazw organizacji czy partii politycznych, włączono takie akta do materiałów dotyczących tych formacji. Można więc mówić o swoistym odkryciu depozytów. Przełomowym dla ich dalszego losu momentem okazał się rok 2008. Wtedy to bowiem na polecenie Andrzeja Pieczunki, ówczesnego naczelnika Wydziału Gromadzenia, Opracowywania i Obsługi Magazynów Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN, ustalono, gdzie dokładnie w aktach MBP, Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego oraz MSW, dotyczących Armii Krajowej, Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość", Stronnictwa Narodowego i wielu innych organizacji, znajdują się dokumenty i czasami drobne przedmioty zagrabione w toku aresztowań i kolejnych działań represyjnych. Stopniowo lokalizowano i opracowywano depozyty. Ich opisy można znaleźć w Cyfrowym Archiwum i na stronie internetowej inwentarza publicznego IPN. Dodatkowo, dla łatwiejszej orientacji, gdzie mogą się znajdować poszukiwane depozyty, sporządzono ich wykaz, który w listopadzie 2008 roku został przesłany do wszystkich wydziałów BUiAD IPN i może być wykorzystywany w bieżącej pracy.

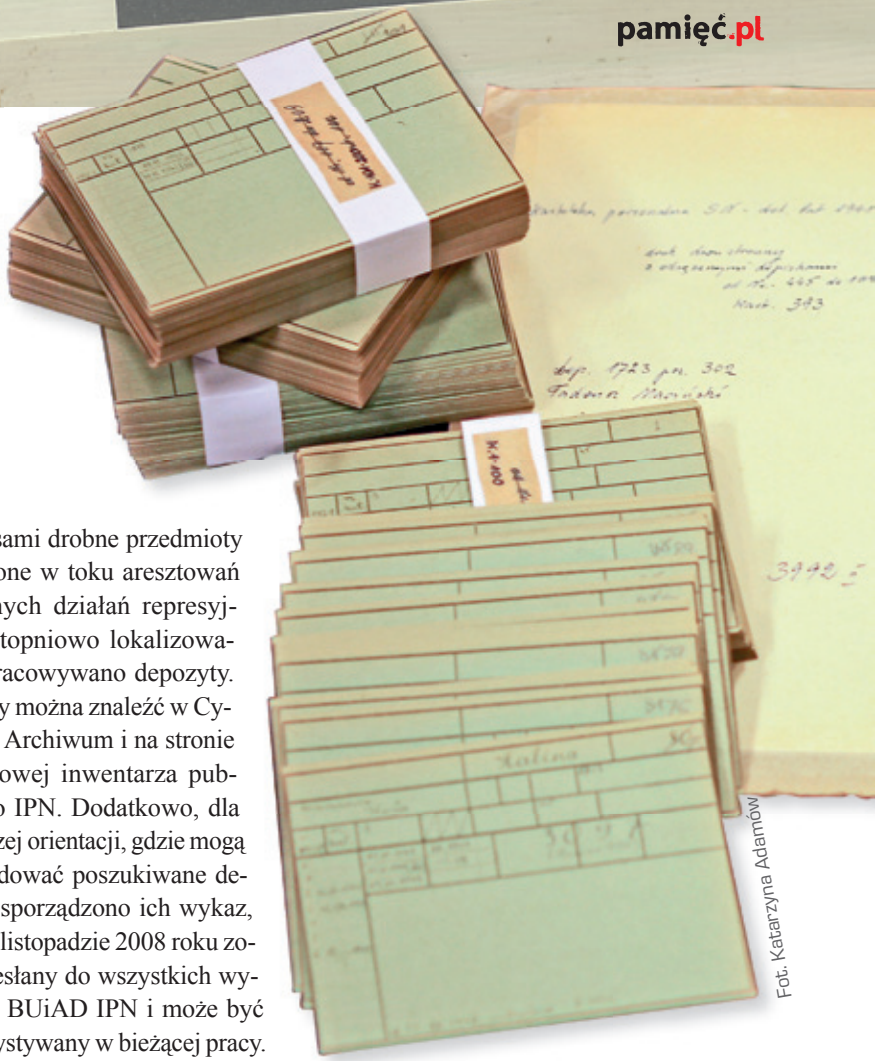

Fot. Katarzyna Adamów

Depozyty zawierały przedmioty zarekwirowane przez MBP i podległe mu jednostki terenowe osobom uznawanym za wrogów komunizmu, przeciwko którym prowadzono postępowania karne, a także osobom, które mogły dysponować przedmiotami obciążającymi innych, takimi jak np.: broń, elementy uzbrojenia, amunicja, aparaty radiowe, sfałszowane papiery wartościowe, a także artefakty o znaczeniu muzealnym i historycznym. Bardzo często te rzeczy wykorzystywano w procesach jako dowody przeciwko oskarżonym, oczywiście jeśli ci dożywali rozprawy.

Przedmioty były przechowywane przez Wydział Depozytów Departamentu II MBP i jego odpowiedniki w wojewódzkich urzędach bezpieczeństwa publicznego (działy depozytów) lub w referatach powiatowych urzędów bezpieczeństwa publicznego (działy przechowywania przedmiotów). Depozyty, oprócz dokumentacji aktowej, zawierały także elementy bardzo wartościowe, m.in. pieniądze, złoto, platynę, srebro itp., które na mocy bezprawnych wyroków sądowych bądź postanowień prokuratora przechodziły w większości na własność państwa. Zgodnie z ówczesnymi procedurami powinny były być przekazywane, za pośrednictwem Biura Finansowo-Budżetowego MBP lub Wydziału Finansowego WUBP, do najbliższego oddziału Narodowego Banku Polskiego, co też się wielokrotnie odbywało. Zarekwirowaną amunicję lub materiały wybuchowe przekazywano bezpośrednio do Służby Uzbrojenia. W przypadku wielu osób, zwłaszcza skazanych na kary śmierci, zwykle kilka miesięcy po wykonaniu wyroków dochodziło do kradzieży wartościowych przedmiotów z ich de-

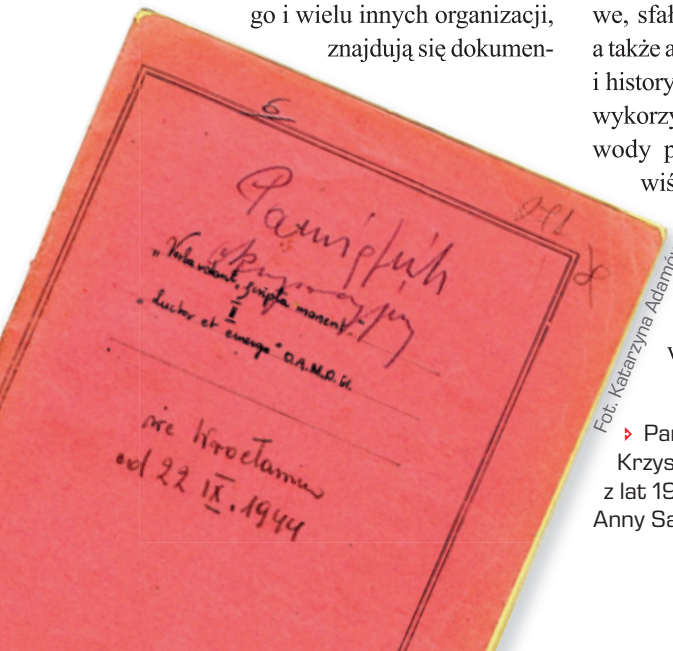

Fot. Katarzyna Adamów

Pamiętnik Krzysztofa Przecławskiego z lat 1944–1947; depozyt Anny Sadkowskiej-Przecławskiej

Depozyt Tadeusza Macińskiego: kartoteka personalna członków Stronnictwa Narodowego

pozytów, co tuszowano, fałszując wpisy w książkach kontroli depozytów. Przykładem takiej kradzieży jest m.in. los depozytu członków Narodowych Sił Zbrojnych – Stanisława Kasznicy i Lecha Neymana. Pracownicy Naczelnej Prokuratury Wojskowej (w tym główny oskarżyciel w ich procesie, prokurator Czesław Szpądrowski) po czterech miesiącach od egzekucji podjęli z ich depozytu zegarek kieszonkowy Cyma, zegarek na rękę Tissot, obrączkę oraz pieniądze. Nigdy nie wyciągnięto wobec nich żadnych konsekwencji prawnych.

Historia czytana z pamiątek

Wśród trzystu rozpoznanych dotychczas depozytów znajdują się materiały pozostałe po żołnierzach różnych organizacji niepodległościowych i konspiracyjnych, w tym antykomunistycznych, a także po działaczach partii politycznych.

Depozyty znajdujące się w zasobie IPN zawierają głównie dokumentację aktową, obejmują (sięgające początku XX wieku) także pamiątki osobiste w postaci fotografii rodzinnych, listów, dokumentów tożsamości, wspomnień, pamiętników. Bardzo bogata dokumentacja dotyczy działalności polskich organizacji niepodległościowych i przedstawia funkcjonowanie państwa polskiego przed II wojną światową, w jej trakcie oraz po niej. Są to głównie rozkazy, meldunki, instrukcje, ulotki i broszury, a także kwity czy rachunki. Wśród depozytów, oprócz akt, sporadycznie pojawiają się różne przedmioty, np. portfele, srebrne monety, opaski na rękę, naboje, portrety, klucze. Do najciekawszych należą obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej z datą 1897 (pochodzący z depozytu Adama Grabowskiego), płócienna opaska biało-czerwona z pieczęcią „Wojsko Polskie" (z depozytu kierowniczki kancelarii Okręgu Lublin AK Eugenii Wachowskiej pseudonim „Emilia"), portret Lidii Ciołkosz wykonany przez Michaela Huttera w grudniu 1929 roku (z depozytu rodziny Ciołkoszów), a także srebrne monety (z depozytu Mirosława Grabowskiego).

Wśród materiałów dotyczących Armii Krajowej uwagę zwraca depozyt por. Jana Rodowicza „Anody", należący do Archiwum Baonu „Zośka", zawierający m.in. wspomnienia, relacje, fragmenty pamiętników oraz wiersze autorstwa żołnierzy „Zośki", a także notatnik z rejestrem członków batalionu, sporządzony według pseudonimów, z podaniem stopnia, funkcji, miejsca przeniesienia oraz wykaz liczebny i ewidencję według awansów.

Godny wspomnienia jest największy spośród wszystkich depozytów znajdujących się w zasobie IPN, pozostały po Tadeuszu Macińskim, wiceprezesie, a następnie prezesie Okręgu Stołecznego Stronnictwa Narodowego. Zawiera meldunki, korespondencję oraz rozkazy tego okręgu. Maciński w czasie wojny i po jej zakończeniu prowadził bardzo ożywioną działalność propagandową i wydawniczą, był autorem dużej liczby artykułów, referatów i wielu materiałów ideologiczno-programowych, których spora część znajduje się w tym depozycie. Ponadto jest w nim także kartoteka personalna

Fot. AIPN

List do Karola Popiela mieszkającego w Hotelu Polonia w Warszawie, przysłany przez żonę Irenę z Los Angeles, październik 1946 roku

Fot. Katarzyna Adamów

Depozyt rodziny Ciołkoszów: zdjęcie przedstawiające konstruktorów i pracowników Podlaskiej Wytwórni Samolotowej w Białej Podlaskiej (wśród nich Zbysław Ciołkosz), na tle samolotu myśliwskiego PWS-1; ok. 1928 roku

członków SN oraz lista przedstawicieli SN poległych podczas Powstania Warszawskiego.

Najciekawszy, i jednocześnie jeden z większych objętościowo, jest depozyt Karola Popiela, zasłużonego działacza Stronnictwa Pracy. Materiały w nim występujące pochodzą z lat 1938–1947 (w roku 1947 Popiel legalnie opuścił Polskę, prawdopodobnie dlatego skonfiskowane mu dokumenty nie zostały zarejestrowane pod żadnym numerem). Depozyt zawiera listy Karola Popiela i jego żony Ireny, kartki świąteczne, zaproszenia, wizytówki, kalendarzyki i dokumenty tożsamości. Oprócz dokumentacji prywatnej w depozycie są materiały z działalności Popiela w latach 1942–1945 jako podsekretarza stanu, a następnie ministra różnych tek w rządzie RP na uchodźstwie oraz z lat 1945–1946, kiedy piastował stanowisko prezesa Stronnictwa Pracy. Są to m.in. deklaracje Stronnictwa Pracy z 1945 roku, pismo z 21 sierpnia 1946 roku, skierowane do prezydenta Krajowej Rady Narodowej Bolesława Bieruta w związku z decyzją o zawieszeniu działalności stronnictwa, a także *Memoriał grupy Popiela* do rządu, wysłany na ręce Józefa Cyrankiewicza w sprawie uznania Stronnictwa Chrześcijańsko-Społecznego za reprezentację polityczną katolików.

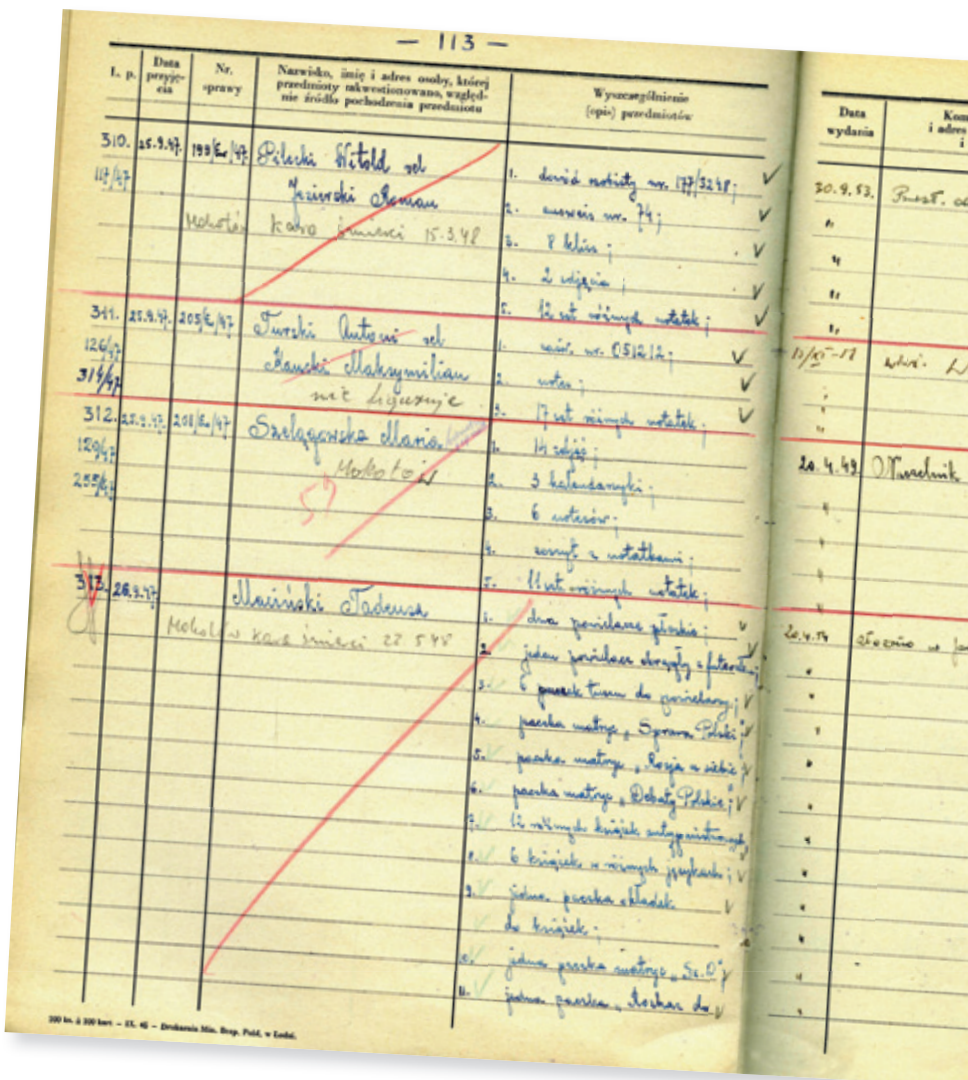

Książka kontroli depozytów; widoczne m.in. zapisy dotyczące depozytów Witolda Pileckiego i Tadeusza Macińskiego

Ciekawie się prezentuje ściśle prywatny depozyt rodziny Ciołkoszów, zawierający osobiste listy Marii Ciołkosz skierowane do synów Adama i Zbysława. Są także korespondencja prof. Kacpra Ciołkosza z lat 1912–1939, związana z jego działalnością społeczną, oraz zdjęcia z manifestacji i pochodów odbywających się w latach 1920–1939 w Tarnowie. To zresztą bardzo interesujący materiał dotyczący historii tego miasta, z którym rodzina Ciołkoszów była związana. Depozyt ten, podobnie jak Karola Popiela, nie ma żadnego numeru, nieznane są okoliczności zarekwirowania go przez MBP, bo Kacper Ciołkosz zmarł w 1942 roku w obozie Groß-Rosen, a Zbysław i Adam Ciołkoszowie wraz z żoną Adama, Lidią, i ich synem Andrzejem na początku wojny udali się do Wielkiej Brytanii, po jej zakończeniu nie wrócili zaś do Polski.

Tragiczną historię Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość" możemy poznać dzięki depozytowi Archiwum Zarzą-

du Głównego WiN oraz jego aresztowanych członków, spośród których większość została zgładzona. Wśród zachowanych dokumentów znajdują się m.in.: regulamin Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, schematy organizacyjne, informacje i sprawozdania pochodzące z poszczególnych okręgów WiN (Białystok, Kielce, Kraków, Lublin, Lwów, Poznań, Rzeszów, Śląsk), meldunki sytuacyjne i wywiadowcze odnośnie do rozpracowywania obiektów przemysłowych, okólniki dotyczące sytuacji w Polsce, zdjęcia członków WiN oraz korespondencja.

Zachowane w depozytach pamiątki, nie tylko zresztą dokumentacja papierowa, są bez wątpienia bardzo cennym źródłem wiedzy historycznej, nierzadko o odkrywczym charakterze. Ich zupełnie wyjątkowy walor tkwi jednak w czymś innym. Jak mało która materia stanowią świadectwo wielkości i niezłomności ducha ich właścicieli. Patriotyzmu, wierności ideałom, bohaterstwa, a przy tym bezprecedensowego w historii Polski etosu inteligenta i obywatela. Cech, do których dzisiejsze pokolenia mogą jedynie dążyć.

Fot. Katarzyna Adamów

Manifestacja pierwszomajowa w Tarnowie, 1935 rok; zdjęcie z depozytu rodziny Ciołkoszów

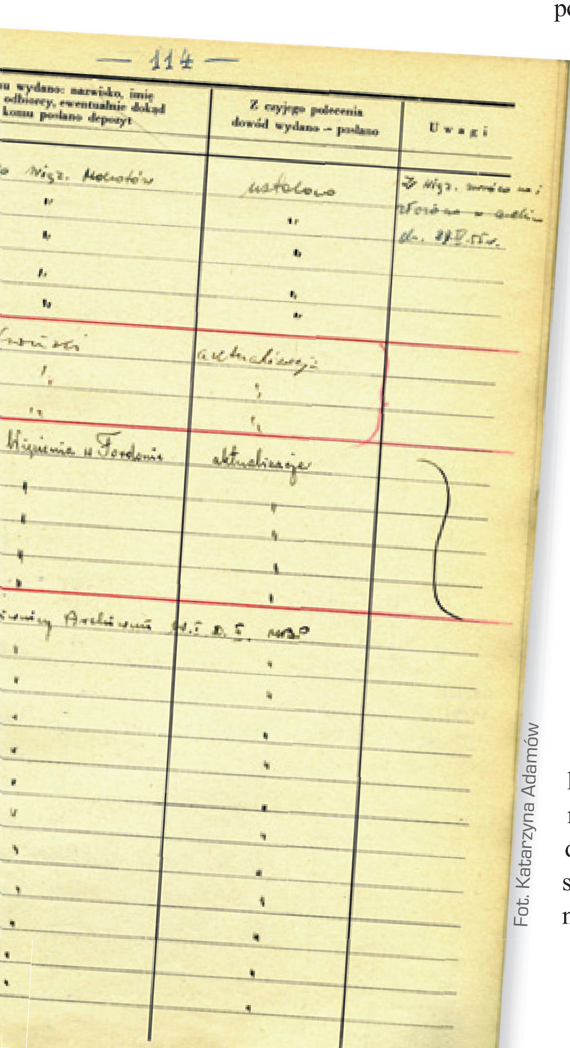
— 114 —
Z czyjego polecenia dowód wydano – posłano
Uwagi
Fot. Katarzyna Adamów

Oddajmy własność spadkobiercom!

Dramaty, które łączą się z każdym z omawianych depozytów, mają często wymiar ostateczny, a dla Polaków symboliczny. Unicestwiono bowiem nie tylko rodzinne pamiątki, lecz także – przede wszystkim! – ich właścicieli. Ustalone już zostało z całą pewnością, że czterdzieści osób, których ślady życia w ten sposób zagrabili komuniści, zostało straconych w wyniku mordów sądowych (z wyroków wojskowych sądów rejonowych) lub zabitych w niewyjaśnionych okolicznościach, głównie w centralnych więzieniach: w Warszawie-Mokotowie, Rawiczu i we Wronkach. Do tej pory na powązkowskiej „Łączce” zostały odnalezione szczątki dwóch bohaterów, których niewielkie depozyty, zawierające dokumentację aktową z lat ich działalności w szeregach AK, znajdują się w zasobie IPN. Są to zamordowani w 1949 roku oficerowie Komendy Okręgu Wileńskiego AK: kpt. Aleksander Tomaszewski (odnaleziony w maju 2013 roku) i por. Wacław Walicki (odnaleziony latem 2012 roku). Mimo trwających, intensywnych prac zespołu pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka szczątki pozostałych osób, których tego rodzaju ślady życia są przechowywane w IPN, dotychczas nie zostały odnalezione.

Przed Instytutem Pamięci Narodowej, jako depozytariuszem części materiałów skradzionych przez komunistów, stoi ważne zadanie polegające na dotarciu do wszystkich żyjących właścicieli oraz spadkobierców i zwrócenie im tych przedmiotów. To obowiązek równy temu, który spoczywa na polskich sędziach orzekających w sprawach o uznanie za bezprawne wyroków komunistycznych. Należałoby też apelować do innych instytucji centralnych, do których również MBP przekazywało zarekwirowane depozyty, o solidne sprawdzenie, czy w ich sejfach lub archiwach nie zachowały się przedmioty, które powinny zostać zwrócone osobom prywatnym.

Bożena Cisek – zastępca naczelnika Wydziału Zasobów Cyfrowych w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

Odkopane dokumenty

Dariusz Gogolewski

Wśród dokumentów zgromadzonych w zasobie archiwalnym białostockiego IPN znajdują się dwa zbiory, które łączy bardzo specyficzna historia – przez blisko siedemdziesiąt lat były ukryte pod ziemią.

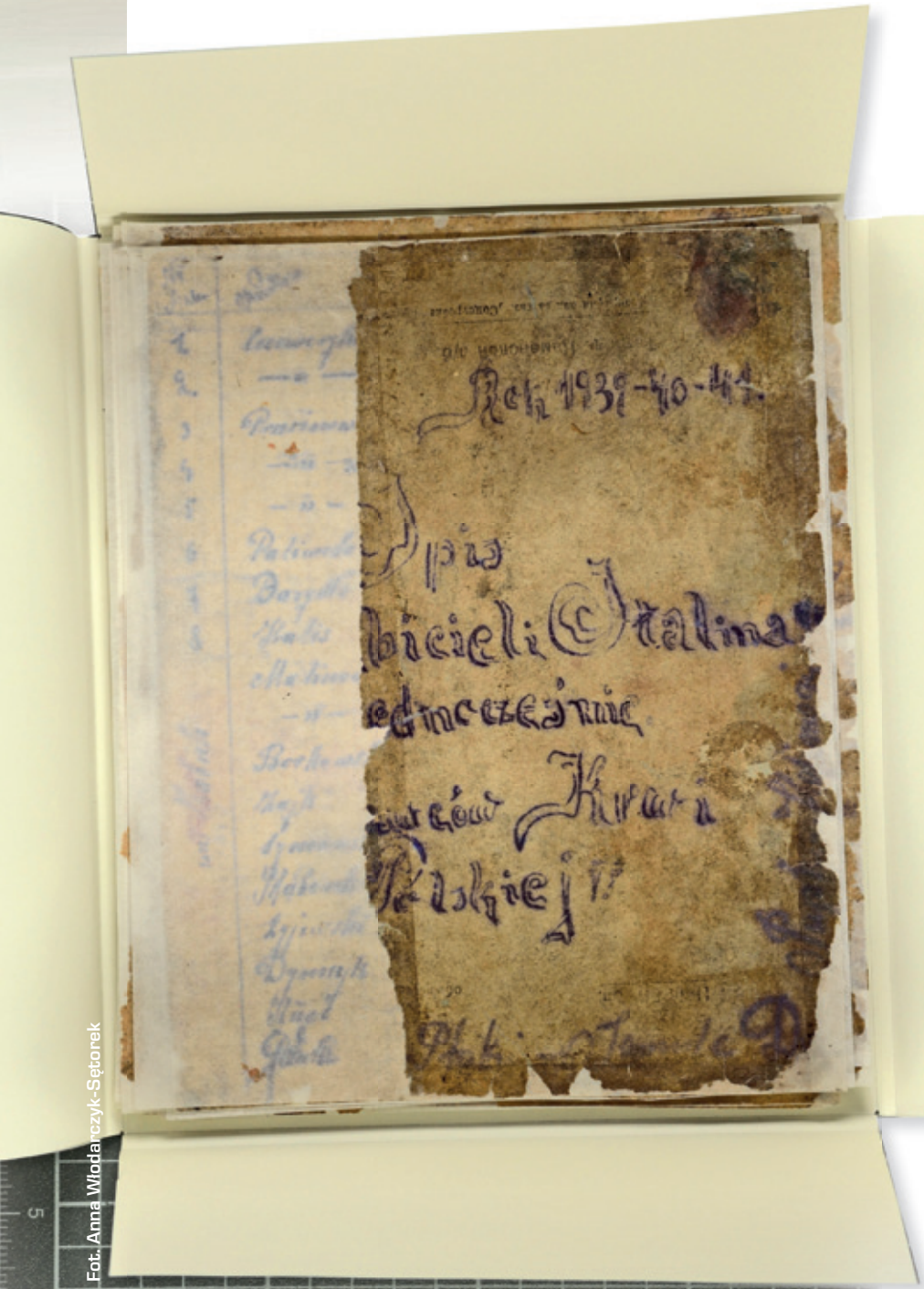

Fot. Anna Włodarczyk-Sętorek

Był rok 2012. Przemysław Tereszczak, nowy właściciel gospodarstwa we wsi Korzeniste koło Łomży, należącego dawniej do Stanisława Kulikowskiego „Kruka", żołnierza AK i WiN, porządkował teren po wyburzeniach. W pewnym momencie ząb rekultywatora zahaczył o skrzynkę amunicyjną, w której znajdowały się zapisane zeszyty, luźne kartki oraz elementy lornetki. Znalezisko było bardzo zniszczone, bo w pojemniku, zresztą uszkodzonym, brakowało pokrywy. Korzystanie z dokumentów bez przeprowadzenia prac konserwatorskich groziło całkowitą destrukcją i utratą wszystkich zapisanych informacji.

Na ratunek znalezisku

Znalazca usiłował zainteresować swoim odkryciem różne instytucje. Ostatecznie skrzynka z dokumentami – za pośrednictwem proboszcza parafii w Porytem, ks. Jana Domińskiego – trafiła do Oddziału IPN w Białymstoku. Tu podjęto decyzję o niezwłocznym przekazaniu jej do Sekcji Konserwacji Dokumentów BUiAD w celu przeprowadzenia gruntownej renowacji. Prace konserwatorskie, wykonane pod kierownictwem Anny Włodarczyk-Sętorek z Sekcji Konserwacji Dokumentów BUiAD między grudniem 2012 a majem 2013 roku, w znacznej mierze skupiły się na powstrzymaniu procesu dalszego rozkładu wydobytych materiałów. Akta poddano fumigacji (czyli zabiegowi wytępienia drobnoustrojów przez zastosowanie substancji chemicznej w postaci gazowej), dokonano rozdzielenia pojedynczych kart, usunięcia zanieczyszczeń oraz wzmocnienia pod-

łoża w sposób umożliwiający podjęcie prób odczytania treści zawartych w dokumentach. Niestety stopień zniszczenia – pomimo ogromu wysiłków włożonych w odratowanie znaleziska – w dalszym ciągu ogranicza możliwości odtworzenia zapisów.

W trakcie konserwacji zbiór liczący ogółem 257 kart ułożono w szesnastu obwolutach z papieru bezkwasowego (specjalistycznego papieru archiwalnego, wolnego od substancji chemicznych powodujących autodestrukcję papieru), starając się zachować układ, w jakim zostały odnalezione. Dokumenty pochodzą z okresu od drugiej połowy 1942 do lutego 1944 roku i najprawdopodobniej zostały wytworzone przez struktury podziemnego wymiaru sprawiedliwości. Zostały sporządzone pismem odręcznym w języku polskim, na papierze różnego formatu. Znaczna część użytego papieru pochodziła z zeszytów produkcji sowieckiej. Zachowały się jedynie skrawki karteczek z treścią pisaną na maszynie.

Kanalie i konfidenci

Najlepiej zachowany jest zbiór doniesień karnych z lat 1943–1944. Został on wykonany na arkuszach o wymiarach 9,5 × 12 cm i zachował się w liczbie 39 kart. Doniesienia zawierają nazwiska osób, opis zarzutów, które im stawiano, pseudonim protokolanta (najczęściej występują „Kruk", „Świerk", „Grom" i „Grabie") oraz datę i miejsce sporządzenia, tj. miejscowości Budy Czarnockie, Drozdowo, Jeziorki lub Krzewo. W kilku przypadkach widnieją również podpisy świadków. Zarzuty dotyczą współpracy z okupantami sowieckim i niemieckim, w tym pełnienia funkcji w strukturach administracyjnych. Na odwrocie sześciu protokołów umieszczono adnotacje o likwidacji oskarżonego, w czterech przypadkach z datą i miejscem wykonania wyroku.

Zbiór zawiera także tabelę z zestawieniem osób aresztowanych od 25 września 1942 do 7 czerwca 1943 roku. W poszczególnych kolumnach widnieją dane osobowe aresztowanego oraz data, miejsce i powód aresztowania. Zeszyt, w którym prowadzono tabele, rozpadł się na pojedyncze kartki, toteż problemem jest dopasowanie do siebie odpowiednich stron. Prawdopodobnie część z nich uległa zniszczeniu. Prace konserwatorskie uratowały od całkowitego zniszczenia dziesięć kart.

Fot. Jerzy Sieradzki

Fot. Jerzy Sieradzki

W dość dobrym stanie zachował się za to zeszyt liczący dwanaście kart, w którym aresztowanych podzielono na następujące kategorie: przestępcy, kanalie; policjanci Polacy; kartoteka Niemcy; Polacy, konfidenci gestapo; konfidenci NKWD, przestępcy, powiernicy. Zawiera on również tabelę, w której ujęto osoby oskarżone o donoszenie. Opis poszczególnych osób obejmuje ich dane personalne oraz dowody winy.

Zachowały się liczące pięć kart szczątki zeszytu zawierającego akty oskarżenia. Zapisy są czytelne, mają jednak liczne ubytki wokół krawędzi kart. Z dwóch innych zeszytów pozostały górne lub dolne części kart. Pierwszy z wymienionych zawiera protokoły – akty oskarżenia zapisane pięknym, czytelnym charakterem pisma. Można odczytać dane personalne i miejsce zamieszkania oskarżonych. Dolna część kart z opisem popełnionych czynów, będących przedmiotem oskarżenia, i informacjami o osobie sporządzającej akt, uległa zniszczeniu. Odwrotna sytuacja wystąpiła w drugim przypadku. Zachowały się w miarę czytelne opisy zarzutów, nazwiska świadków oraz pseudonimy protokolantów, ale brakuje nazwisk oskarżonych.

W przypadku pozostałych dokumentów można jedynie domniemywać, jaki był ich charakter, ze względu na znaczne ubytki, zanieczyszczenia i przebarwienia podłoża papierowego. Znajdują się tu dalsze protokoły oskarżenia, fragmenty okładek zeszytów, kawałki personalausweisów (dokumentów tożsamości wydawanych przez niemieckie władze okupacyjne). Na 95 kartach wykonanych z filmoplastu R (specjalistycznej taśmy do renowacji papieru) zalaminowano różnej wielkości skraweczki. Dotychcza- ➤

Fot. Jerzy Sieradzki

sowe próby łączenia czy dopasowywania do innych kawałków nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Szczególnie interesujący jest jeden z ocalałych skrawków, prawdopodobnie fragment odpisu wyroku śmierci wydanego przez Wojskowy Sąd Specjalny Białostockiego Okręgu AK, sygnowany pseudonimem przewodniczącego WSS „Groblicz", którym posługiwał się mjr Władysław Olszewski. Dokumentacja wojskowych sądów specjalnych Armii Krajowej jest niezmiernie rzadka, informacje o zapadłych wyrokach najczęściej pochodzą z prasy podziemnej. Zachowany skrawek dokumentu jest jedynym śladem działalności WSS w naszym zasobie.

Spis wielbicieli Stalina

Drugi zbiór dokumentów został odnaleziony podczas wywózki ziemi w trakcie prac na jednej z posesji we wsi Stary Gromadzyn, wykonywanych w 2012 roku. Tutaj również dokumenty były zakopane w metalowej skrzynce po amunicji. Pojemnik został rozpruty przez łyżkę koparki. Znalezisko trafiło w ręce nauczyciela ze szkoły podstawowej w Czerwonem, Jacka Bagińskiego, który w maju 2013 roku przekazał je pracownikowi Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku. Do miejscowego archiwum instytutu dokumenty trafiły dopiero pięć miesięcy później. Ponieważ były bardzo zniszczone, przekazano je do Sekcji Konserwacji Dokumentów BUiAD, gdzie zespół Anny Włodarczyk-Sętorek wykonał prace konserwatorskie w taki sam sposób, jak w przypadku archiwaliów odnalezionych w Korzenistem.

Liczący łącznie 125 kart zbiór stanowią dokumenty z lat 1940–1942, wytworzone przez bliżej nieokreślone struktury Rejonu 2 (Kolno) Inspektoratu AK Łomża, być może komórkę wywiadowczą. W zbiorze zachował się rozkaz komendanta Rejonu 2 „Śmiałego" z 25 kwietnia 1942 roku, polecający byłemu kierownikowi wywiadu o pseudonimie „Kropidło" przekazanie dokumentacji związanej z prowadzoną działalnością przejmującemu to stanowisko „Kalinie". Charakter zachowanych materiałów odpowiada opisowi pracy wywiadowczej „Kropidły", zawartemu w sprawozdaniu z 7 lutego 1941 roku. Podstawowym materiałem, na którym sporządzano akta, były zeszyty produkcji sowieckiej. Oprócz nich występują papierowe kartki różnego formatu i pochodzenia. Zapisy w większości są sporządzone ręcznie i w języku polskim. Znikomą część zbioru stanowią maszynopisy. Nieliczne dokumenty zawierają treści w języku niemieckim.

Najlepiej zachowanym i największym objętościowo jest liczący 32 karty zeszyt zatytułowany „Spis [wiel] bicieli Stalina [j]ednocześnie [brak tekstu]wców Krwi Polskiej. Rok 1939–40–41". Został on wykonany między 18 a 27 lipca 1941 roku w miejscowości Zabiele przez lokalną placówkę AK, a dotyczy osób współpracujących z władzami sowieckimi. Czyny przypisane poszczególnym osobom zostały ujęte w numerowane akty, które miały „świadczyć po wieki o aktywnej pracy na rzecz bolszewizmu i komunizmu przeciw Polakom". Poszczególne akty nie są podpisane, jedynie na ostatniej stronie opracowania widnieją pseudonimy – „Wróbel" oraz drugi, którego z powodu ubytku papieru nie udało się odczytać.

Fot. Piotr Życieński

Lista zaprzedanych

Pozostałe archiwalia z tego zbioru to różnego rodzaju niewielkie opracowania. Jednym z nich jest spis funkcjonariuszy niemieckich, zawierający dane personalne, opis pełnionej funkcji i miejsce zamieszkania w Rzeszy. Ze sporymi ubytkami zachowała się „lista tych, którzy zaprzedali swe sumienia i polskość odwiecznym wrogom", sporządzona w formie tabeli z typowym zakresem infor-

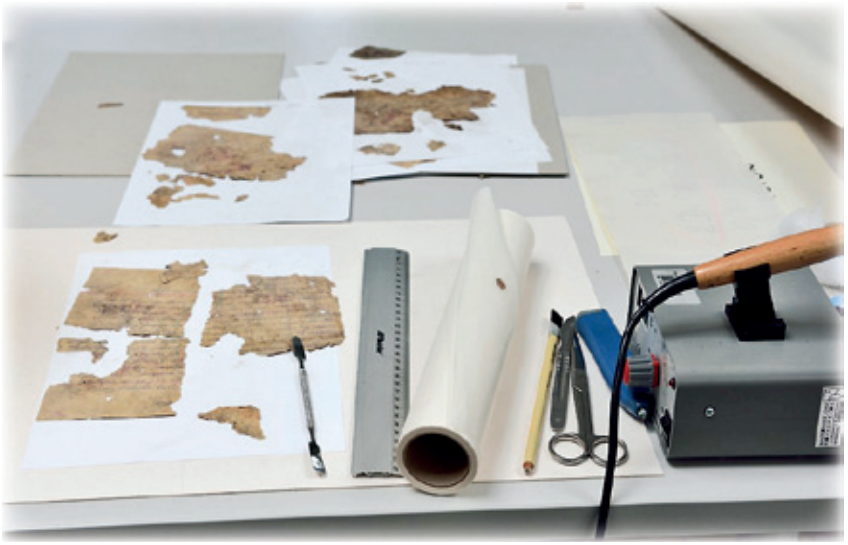

Fot. Anna Włodarczyk-Sętorek

Odtwarzanie dokumentów to mozolny proces, wymagający użycia wielu specjalistycznych narzędzi i materiałów

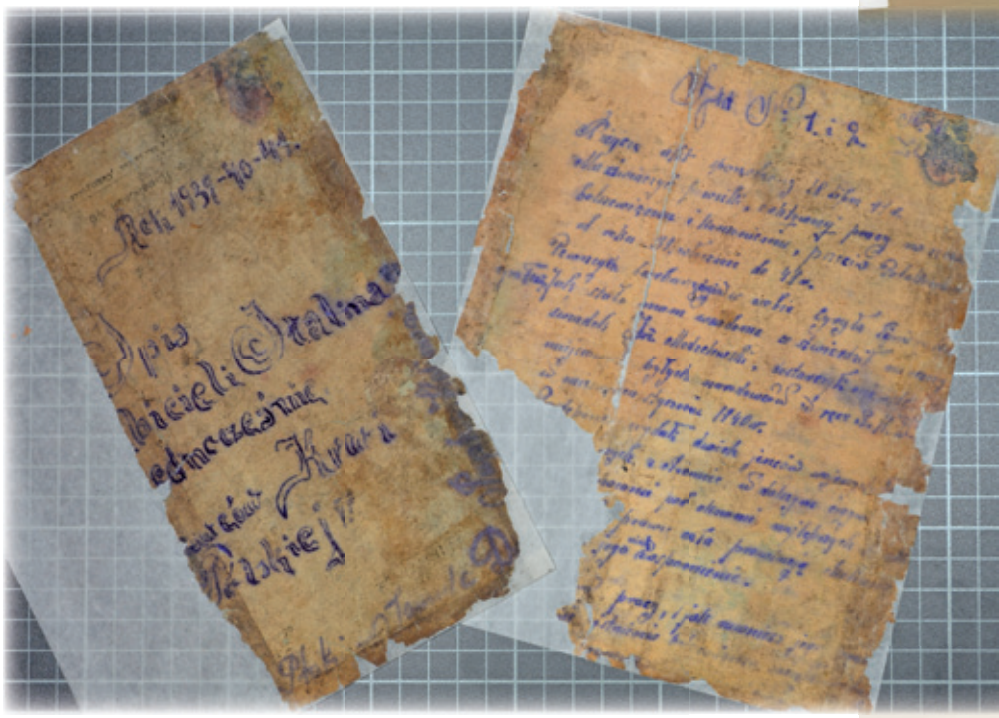

Fot. Wiesław Płecha

macyjnym obejmującym personalia i krótki opis czynów. Niestety dokument ma ubytki właśnie w części opisującej powód umieszczenia na liście, a zachowane opisy są częściowo nieczytelne. Odczytane zapisy to: „bije Polaków", „złe traktowanie Polaków", „tłumacz [dalej nieczyt.]", „volksdeutsch". Przy jednej z osób można odczytać słowo „rozstrzelano", ale o tym, jaki był udział tej osoby w rozstrzelaniu, z zachowanych urywków słów nie sposób rozstrzygnąć. Osoby wymienione na listach są nam – jak dotąd – zupełnie nieznane. Inna, nieopatrzona tytułem lista zawiera informacje o osobach pełniących funkcje deputowanych ludowych, komsomolców i milicjantów w okresie władzy sowieckiej.

W niezbyt dobrym stanie, ze sporym ubytkiem, zachował się meldunek sytuacyjny Komendy Rejonu 2 z 28 kwietnia 1942 roku. Znajdujemy w nim informacje o aresztowaniach i stratach osobowych, a także o innych organizacjach działających na terenie rejonu. Opisano również posterunki żandarmerii niemieckiej, podając ich liczebność i wyposażenie w broń, a niektórych przypadkach wskazano także miejsce jej przechowywania. Ciekawym dokumentem jest wspomniane już wcześniej sprawozdanie kierownika wywiadu Rejonu 2. „Kropidły" z 7 lutego 1941 roku. Nieduże objętościowo, bo liczące zaledwie dwie strony maszynopisu, zawiera wiele informacji dotyczących kierunków i metod pracy wywiadowczej w okresie okupacji sowieckiej oraz po wkroczeniu wojsk niemieckich. Pozostałą część materiałów stanowią różnego rodzaju raporty dotyczące wydarzeń lokalnych, protokoły karne, zeznania i informacje o funkcjonariuszach niemieckich.

Spora część znaleziska wciąż jest nieczytelna ze względu na degradację i ubytki materiału oraz rozmycie tekstu spowodowane długim przebywaniem w niekorzystnych warunkach.

Fot. Piotr Życieński

Zachowane okładki zeszytów noszą tytuły, z których wynika, że prowadzono ewidencje folksdojczów zamieszkałych na terenie rejonu, a także załóg posterunków żandarmerii i funkcjonariuszy administracji niemieckiej. Skrawki papieru, których nie dało się połączyć z innymi dokumentami, zalaminowano na siedmiu kartach z filmoplastu R.

Dokumenty wydobyte z ziemi z powodu złego stanu zachowania są udostępniane wyłącznie w formie kopii cyfrowych. Ten cenny element białostockiego archiwum IPN nie odsłania, co prawda, kulis wielkich, przełomowych wydarzeń, lecz opowiada o codzienności oraz postawach zwykłych ludzi i prostych żołnierzy w okresie, kiedy jeden okupant zastąpił drugiego, a widoków na wyzwolenie nie było. Szczególna wartość tych dokumentów wynika stąd, że nie zachowało się zbyt wiele źródeł pochodzących z tego okresu i dotyczących tej problematyki.

Dariusz Gogolewski – kierownik Referatu Gromadzenia, Opracowywania i Obsługi Magazynów w Oddziałowym Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Białymstoku

Fot. AIPN

Polacy deportowani do miejscowości Bieriezowka w Kazachstanie; 1940 rok

W poszukiwaniu ofiar represji

Mariusz Żuławnik

Powołując Centrum Udzielania Informacji o Ofiarach II Wojny Światowej, IPN wyszedł naprzeciw tym, którzy – mimo upływu siedemdziesięciu lat od zakończenia ostatniej wojny – wciąż poszukują wiadomości o losach ofiar obu systemów totalitarnych, nazistowskiego i komunistycznego.

Centrum, działające w ramach Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Warszawie, rozpoczęło prace 8 maja 2014 roku, w 69. rocznicę podpisania kapitulacji przez III Rzeszę Niemiecką (o zadaniach centrum oraz zasobie archiwalnym i elektronicznych bazach danych wykorzystywanych przez jego pracowników pisaliśmy w numerze 6/2014 „Pamięci.pl"). Podczas zorganizowanego z tej okazji briefingu dla dziennikarzy prezes IPN, dr Łukasz Kamiński, wyjaśnił, że nowa komórka powstała w odpowiedzi na rosnące zainteresowanie losami ofiar represji pod okupacjami niemiecką i sowiecką.

Detektywistyczne zacięcie

Wydaje się, że to zainteresowanie losami bliskich wzrasta także dzięki inicjatywie IPN. Tylko w ciągu pierwszego roku działalności centrum skierowano do niego ok. 10 tys. zapytań, co przekroczyło najśmielsze oczekiwania jego twórców. Wśród osób poszukujących wiadomości o przodkach są nie tylko Polacy, lecz także coraz częściej obywatele innych państw, mający polskie korzenie, m.in. Stanów Zjednoczonych, Rosji, Ukrainy czy Izraela. Do IPN zwracają się także osoby represjonowane, naukowcy prowadzący badania nad historią II wojny światowej i różnego rodzaju organizacje społeczne oraz instytucje chcące upamiętnić tragiczne wydarzenia sprzed siedemdziesięciu lat. Wnioskodawców jest zatem wielu. Tak jak i wielorakie są motywy poszukiwań. Większość osób jest zainteresowana poznaniem wojennych i powojennych losów swoich bliskich. Inni chcieliby odszukać ich groby. „Marzy mi się, żebym mógł zapalić świeczkę przynajmniej w pobliżu miejsca jego zgonu i stworzyć symboliczny grób" – argumentował jeden z wnioskodawców poszukujący miejsca spoczynku swego ojca.

Alex Storożyński, amerykański dziennikarz polskiego pochodzenia, laureat

nagrody Pulitzera i były prezes Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku, określił pracę archiwistów Centrum Udzielania Informacji o Ofiarach II Wojny Światowej mianem detektywistycznej. I nie ma w tej wypowiedzi zbytniej przesady. To dzięki unikatowemu zasobowi archiwalnemu, na który składają się m.in. dokumenty pozyskane i wytworzone przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce i Ośrodek KARTA, a także dostępowi do jedynych w swoim rodzaju elektronicznych baz danych, tj. Międzynarodowego Biura Poszukiwań w Bad Arolsen (zawierającego dokumenty dotyczące represji niemieckich) oraz Indeksu Represjonowanych (wiadomości o represjach sowieckich), pracownicy centrum – dość często dysponując jedynie szczątkowymi informacjami – są w stanie dotrzeć do materiałów, w których występuje poszukiwana osoba.

Wiedza wnioskodawców na temat poszukiwanych przez nich osób jest różna. Jedni podają pełne dane osobowe (imię i nazwisko, miejsce i datę urodzenia) oraz okoliczności represji (czas i ich miejsce). Inni znają tylko imię i nazwisko oraz wiedzą, że poszukiwany członek rodziny wyszedł z domu, np. w 1940 roku, i ślad po nim zaginął. Czy przy tak skąpych danych jest sens i przede wszystkim możliwość odszukania jakichkolwiek informacji? Nawet wtedy, gdy dotychczasowe wieloletnie poszukiwania w przeróżnych archiwach nie przynosiły rezultatów? Odpowiedź brzmi: tak. Bo poza podaniem wyników kwerend prowadzonych w zasobie archiwalnym IPN, pracownicy centrum wskazują także krajowe i zagraniczne archiwa oraz instytucje, w których wnioskodawcy mogą kontynuować poszukiwania.

Ostatnia deska ratunku

Kilka miesięcy temu do Centrum Udzielania Informacji o Ofiarach II Wojny Światowej zwróciła się wnioskodawczyni z Łodzi, która poszukiwała informacji na temat swojego krewnego – żołnierza Wojska Polskiego, który po kampanii wrześniowej 1939 roku nie powrócił do domu. W wyniku kwerendy przeprowadzonej w zasobie archiwalnym IPN archiwistom Centrum udało się odnaleźć dokumenty potwierdzające jego losy do stycznia 1942 roku, kiedy to został rozstrzelany w obozie koncentracyjnym Neuengamme w Hamburgu z rozkazu komendanta Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa w Berlinie. Udało się także precyzyjnie wskazać jego grób na terenie dzisiejszych Niemiec.

Podobnie centrum przyszło z pomocą młodej wnioskodawczyni z Warszawy, która poszukiwała informacji o swoim pradziadku zamordowanym w KL Dachau. „Jest to dla mnie bardzo ważne, ze względu [na to], że jestem warszawianką z krwi i kości, czwartym pokoleniem, które urodziło się Warszawie – argumentowała. – Jestem bardzo związana z rodziną, niestety nikt z mojej rodziny

Apel dzieci w obozie przy ul. Przemysłowej w Łodzi; grudzień 1942 roku

Fot. AIPN

nie poruszał tematu mojego pradziadka. W dodatku prababcia, która przeżyła obóz, zmarła w 2007 roku. Więc tym bardziej chciałabym się dowiedzieć jakichkolwiek informacji o moim pradziadku”. Kwerenda zakończyła się odszukaniem stosownych dokumentów, tj. kart z kartoteki osobowej więźniów obozu, list transportowych oraz wykazów więźniów zmarłych w Dachau.

Takie przypadki można by mnożyć. Nawet najbardziej szczątkowa wiadomość jest dla osób zwracających się do centrum niezwykle ważna. „Jest to pierwsza i jedyna informacja (potwierdzona) o losie mojego stryja od jego aresztowania pod koniec II wojny” – napisał jeden z wnioskodawców w odpowiedzi na wyniki poszukiwań. Pokazuje to archiwistom, że ich praca przynosi oczekiwane rezultaty, i to mobilizuje ich do dalszego wysiłku.

Nie zawsze jednak kwerendy kończą się sukcesem. Wynika to z niekompletności dokumentów, zwłaszcza tych dotyczących represji sowieckich. O ich ofiarach oficjalnie można było mówić dopiero po upadku systemu komunistycznego. Mimo upływu ćwierćwiecza od wydarzeń przełomowych w dziejach Polski, zasób archiwalny ilustrujący zbrodnie sowieckie jest stosunkowo mały. Kopie dokumentów, którymi dysponuje IPN, mają charakter wycinkowy, niekompletny. Te najwartościowsze poznawczo materiały wciąż kryją archiwa postsowieckie. Dostęp do nich jest w obecnej sytuacji politycznej bardzo ograniczony. Niemniej kopie dokumentów – pozyskanych m.in. z Ośrodka KARTA bądź archiwów rosyjskich, ukraińskich, litewskich, gruzińskich czy kazachskich – stanowią nieocenione źródło do poznania losów ofiar represji stalinowskich. Instytut nie ustaje w poszukiwaniu nowych materiałów.

Beschreibung.
(Die zutreffenden Angaben sind zu unterstreichen)
1. Größe: 1 m 60 cm
2. Gestalt: (stark, untersetzt, schlank, schwächlich).
3. Schulterneigung: (schräg, waagerecht).
4. Gesicht: (Farbe, Form, Fülle).
5. Stirn: (sehr hoch, sehr niedrig, zurückweichend, senkrecht, vorspringend).
6. Haar: (Farbe: hell-, mittel-, dunkelblond, -braun, schwarz, rot, grau, graugemischt, weiß).
7. Bart: (Farbe: hell-, mittel-, dunkelblond, -braun, schwarz, rot, grau graugemischt, weiß).
Form: Schnurr-, Spitz-, Vollbart.
8. Auge: (blau, grau, gelb, hell-, dunkelbraun, schwarzbraun).
9. Augenbrauen: (wenn vom Kopfhaar abweichend, gefärbt):
Form:
Fülle:
10. Nase: Rücken (eingebogen, gradlinig, ausgebogen, winkliggebogen, wellig). Besonderheiten (Vorsprung, sehr groß, sehr klein, sehr dick, sehr spitz, aufgestülpt, schief [nach rechts links], stark sichtbare oder verdeckte Nasenscheidewand, Adler-, Trinkernase).
11. Ohren: (sehr groß, sehr klein, sehr schmal, drei-, viereckig, rund, oval, abstehend, sehr anliegend). Ohrläppchen, (zwickelförmig, rechtwinklig, bogenförmig, freihängend, durchlocht, durchrissen).
12. Mund: (sehr klein, sehr groß, dünne Lippen, aufgeworfene Lippen).
13. Zähne: (vollständig, lückenhaft, auffallend groß oder klein, schräg gestellt, falsches Gebiß oben oder unten, Füllungen).

Fot. AIPN

Karta osoby aresztowanej przez gestapo; Gdańsk, 1942 roku

Niesłabnący głód wiedzy

Poza dostarczaniem wnioskodawcom informacji o wojennych i powojennych losach ich bliskich, Centrum Udzielania Informacji o Ofiarach II Wojny Światowej prowadzi także intensywną akcję popularyzującą zasoby archiwalne IPN z lat 1939–1956. Świadomość społeczna na temat zgromadzonych w IPN dokumentów poświęconych polskim obywatelom – Polakom, Ży-

Fragment listu zesłańca syberyjskiego; luty 1941 roku

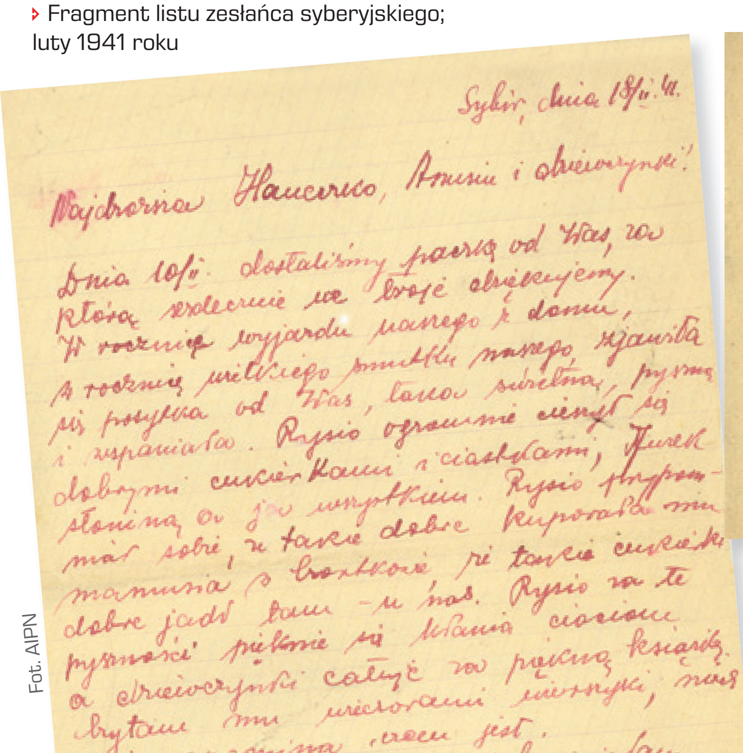
Sybir, dnia 18/ii. 41.
Najdroższa Hanusiu, Amusiu i dzieciaczki!
Dnia 10/ii. dostaliśmy paczkę od Was, za
którą serdecznie za troje dziękujemy.
W rocznicę wyjazdu naszego z domu,

Fot. AIPN

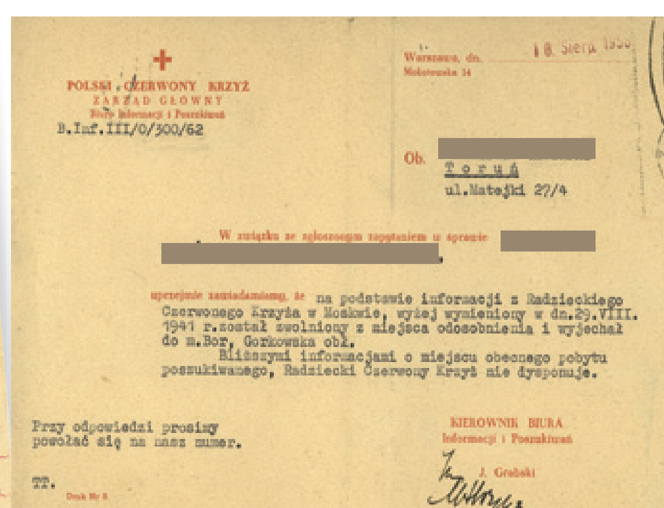
POLSKI CZERWONY KRZYŻ
ZARZĄD GŁÓWNY
Biuro Informacji i Poszukiwań
B.Inf.III/0/300/62

Warszawa, dn. 18 Sierp. 1950
Mokotowska 14

Ob. [redacted]
Toruń
ul.Matejki 27/4

W związku ze zgłoszonym zapytaniem w sprawie [redacted]

uprzejmie zawiadamiamy, że na podstawie informacji z Radzieckiego Czerwonego Krzyża w Moskwie, wyżej wymieniony w dn.29.VIII. 1941 r.został zwolniony z miejsca odosobnienia i wyjechał do m.Bor, Gorkowska obl.
Bliższymi informacjami o miejscu obecnego pobytu poszukiwanego, Radziecki Czerwony Krzyż nie dysponuje.

Przy odpowiedzi prosimy powołać się na nasz numer.

TT.

KIEROWNIK BIURA
Informacji i Poszukiwań
J. Grabski

Fot. AIPN

Pismo Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie w sprawie ustalenia losu osoby deportowanej do ZSRR; dane osobowe zanonimizowane przez redakcję

dom, Ukraińcom, Białorusinom – represjonowanym przez Niemców i Sowietów jest znikoma. Instytut wciąż jest kojarzony głównie z materiałami wytworzonymi i zgromadzonymi przez cywilne i wojskowe organa bezpieczeństwa Polski Ludowej z lat 1944–1990. Można się o tym przekonać chociażby podczas kolejnych odsłon Nocy Muzeów, w których od lat bierze udział pion archiwalny IPN. Dokumenty z okresu II wojny światowej prezentowane podczas tej jedynej w swoim rodzaju nocy cieszą się olbrzymim zainteresowaniem odwiedzających mury archiwum. I prowokują do zadawania pytań o ich pochodzenie.

Działalność promocyjna jest prowadzona zarówno w kraju, m.in. podczas międzynarodowych i ogólnopolskich konferencji naukowych, warsztatów organizowanych wspólnie z Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN oraz spotkań ze społecznością lokalną, jak i daleko poza jego granicami. Pół roku temu pracownicy centrum pojechali do Nowego Jorku, by zaprezentować swoją pracę i zasób archiwalny w Fundacji Kościuszkowskiej, Instytucie Józefa Piłsudskiego, Polskim Instytucie Naukowym i Stowarzyszeniu Weteranów Armii Polskiej w Ameryce oraz podczas bezpośrednich rozmów z Polonią. Spotkali się także z Ritą Cosby, znaną amerykańską dziennikarką telewizyjną, laureatką wielu prestiżowych nagród (m.in. Emmy), której książka o Ryszardzie Kossobudzkim, bohaterze Powstania Warszawskiego, a prywatnie jej ojcu, stała się za oceanem bestsellerem. Wizyta ta utwierdziła ich w przekonaniu, jak ważna i przede wszystkim konieczna jest promocja archiwaliów z okresu II wojny światowej i powojennych represji sowieckich.

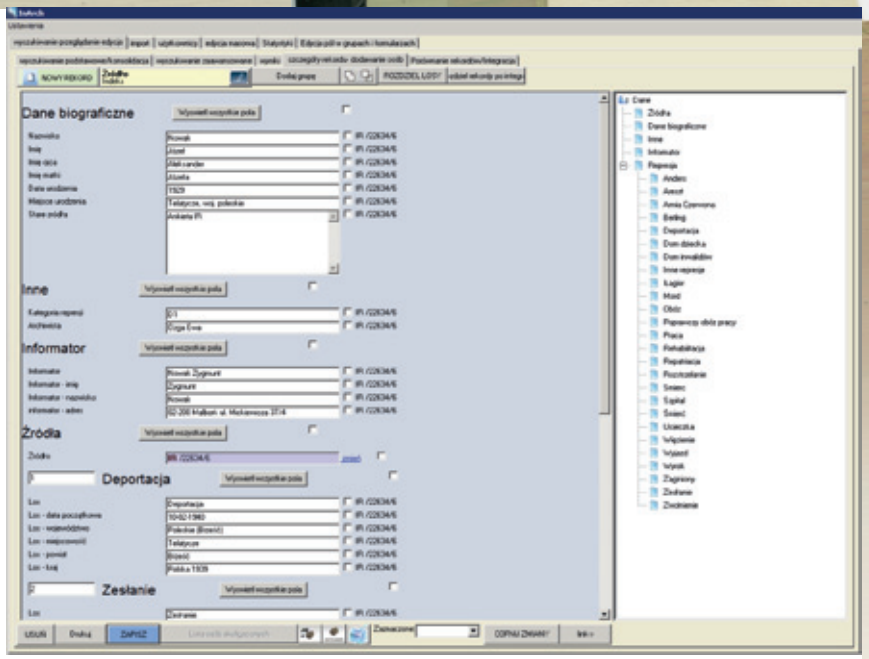

Baza danych „Indeks represjonowanych”

Pracownicy centrum mogli się o tym przekonać także podczas spotkania z mieszkańcami Płocka – w siedzibie Towarzystwa Naukowego Płockiego, najstarszej tego rodzaju organizacji w Polsce. Podczas prezentacji teczki osobowej założonej przez gestapo w Ciechanowie na przedwojennego wiceprezydenta Płocka, który niesłusznie został uwięziony w wyniku donosu sąsiada, okazało się, że na sali – pośród słuchaczy – była osoba z nim spokrewniona. Dramatyczną historię wiceprezydenta, ostatecznie uwolnionego od stawianych mu zarzutów, znała z rodzinnych opowieści, ale nie zdawała sobie sprawy z tego, że w archiwum IPN są przechowywane oryginalne, niezwykle interesujące dokumenty gestapo poświęcone jej przodkowi. Wiadomość ta bardzo ją poruszyła.

Podstawowy wniosek z przeszło rocznej pracy Centrum jest następujący: wzrasta, głównie wśród ludzi młodych, głód odkrywania losów swoich przodków, których dość często znają jedynie z rodzinnych opowieści lub pożółkłych fotografii. Instytut stara się ten głód zaspokoić, a także rozbudzić. Bo historia to nie tylko wielka polityka prowadzona na salonach czy bitwy decydujące o losach świata, lecz także – a może przede wszystkim – zwykli ludzie, których nazwisk próżno szukać w podręcznikach szkolnych i akademickich. Centrum zajmuje się odtwarzaniem ich losów – często tragicznych, ale i przepełnionych bohaterskimi czynami. Wychodzi naprzeciw tym osobom, które poszukują swoich korzeni oraz chcą zachować pamięć o swoich bliskich. I przekazać ją potomnym.

dr Mariusz Żuławnik – naczelnik Wydziału Informacji i Sprawdzeń w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

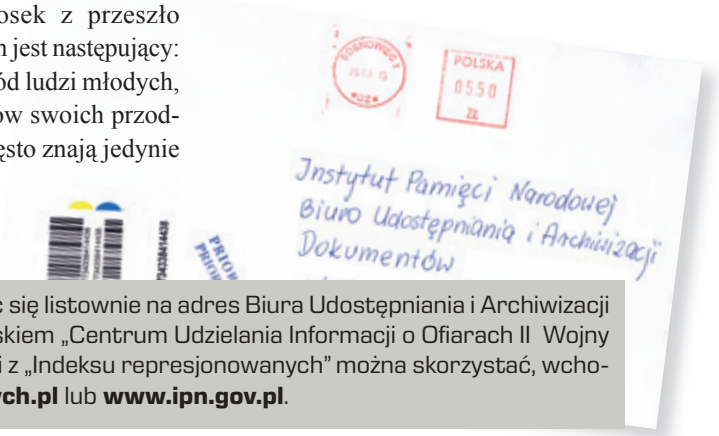

Aby przeprowadzić kwerendę w centrum, wystarczy zwrócić się listownie na adres Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN (ul. Wołoska 7, 02–675 Warszawa, z dopiskiem „Centrum Udzielania Informacji o Ofiarach II Wojny Światowej”) lub mailowo na adres: **ofiary@ipn.gov.pl**. Z kolei z „Indeksu represjonowanych” można skorzystać, wchodząc na stronę internetową: **www.indeksrepresjonowanych.pl** lub **www.ipn.gov.pl**.

Wroga pobiliśmy – relacja Bolesława Kostkiewicza

„Hej dziewczęta w górę kiecki,
jedzie ułan jazłowiecki.
Lance do boju, szable w dłoń,
bolszewika goń, goń, goń!”.

Fot. AIPN

Bolesław Jakub Kostkiewicz, ur. 25 lipca 1908 roku w Jaśle, zm. 23 marca 2011 roku w Zielonej Górze, inżynier leśnik. We wrześniu 1939 roku dowodził I plutonem 4. szwadronu w składzie 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich, który koszarował we Lwowie. Uczestnik Bitwy nad Bzurą, walk w Puszczy Kampinoskiej i w obronie Warszawy. Odznaczony Krzyżem Walecznych. Po kapitulacji stolicy jeniec stalagu II C Woldenberg. Po wojnie organizował nadleśnictwo Ołobok (z siedzibą w Złotym Potoku, obecnie woj. lubuskie), w którym przez 30 lat pracował na stanowisku nadleśniczego. Działał także w strukturach Polskiego Związku Łowieckiego.

Bolesław Kostkiewicz urodził się na początku burzliwego wieku, którego wojny ustaliły na długi czas ład w Europie i na świecie.

„Mój ojciec, Kazimierz Kostkiewicz, inżynier górniczy, natrafił na złoża węgla w okolicach Wieliczki. Po spieniężeniu terenu nabył majątek ziemski Trościaniec [obecnie wieś na Ukrainie], 60 km od Lwowa. W czasie I wojny światowej w majątku Kostkiewiczów kwatery zajmował rosyjski gubernator. Ojciec wraz z braćmi schronili się u stryja w Permie. Wrócili po zakończeniu działań wojennych”.

W tym czasie odrodzona Rzeczpospolita musiała się zmierzyć z konfliktami z Ukrainą i Rosją bolszewicką. Kiedy wybuchła wojna polsko-bolszewicka, rodzina, poza matką, przebywała w Trościańcu. Jedenastoletni wówczas Bolesław wraz ze swoim starszym bratem postanowili uciec z domu do wojska. W tajemnicy przed ojcem wyruszyli nocą na stację kolejową, aby udać się do Lwowa. Ojciec jednak zawrócił ich z dworca. W roku 1919 Bolesław Kostkiewicz rozpoczął naukę w gimnazjum we Lwowie, a w 1922 roku przeniósł się do Państwowego Gimnazjum w Jaworowie, gdzie cztery lata później złożył egzamin dojrzałości. Kolejnym etapem edukacji miały być studia.

„Mój ojciec naciskał na mnie i moich braci, aby jeden z nas poszedł w jego ślady i został inżynierem. Za jego namową rozpocząłem studia na Akademii Górniczej w Krakowie [obecnie Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica]. Niestety byłem leniem i udało mi się zaliczyć tylko niektóre egzaminy, resztę wykpiłem. W tym czasie zachorowałem też na zapalenie płuc. Lekarz stanowczo doradził mi zmianę otoczenia. Utarło się takie powiedzenie, że najgorszymi miastami pod względem zanieczyszczeń był[y] Madryt i Kraków. W taki oto sposób przeniosłem się do Lwowa. Nie udało mi się jednak dostać na studia, dlatego rozpocząłem praktykę w majątku ziemskim Uwin [gmina Sieńków, powiat radziechowski, województwo tarnopolskie – na zachód od Beresteczka]. Wreszcie dostałem się na wydział leśno-rolniczy Politechniki Lwowskiej. Przy odrobinie szczęścia zdałem wszystkie potrzebne egzaminy i ukończyłem studia w roku 1935. Jednak w momencie wybuchu II wojny światowej nie posiadałem jeszcze dyplomu ukończenia. Starałem się o ten dyplom po wojnie, ale nigdy mi się to nie udało”.

W roku 1931 jako kolejny z rodzeństwa – w armii służyło już dwóch starszych braci – Bolesław Kostkiewicz rozpoczął przygodę z wojskiem.

„Otrzymałem przydział do odbycia służby w lotnictwie. Wtem moja mama zaczęła lamentować, że jestem jeszcze za młody, nieopierzony i że na pewno zrobię sobie tam krzywdę. Dlatego też mój brat wstawił się za mną i na jednym z polowań po rozmowie z gen. [Kazimierzem] Sosnkowskim zmieniono mój przydział z lotnictwa na kawalerię. Tak się stało, choć początkowo żałowałem. Lotnictwo czy marynarka wojenna to były rodzaje broni, można powiedzieć, prestiżowe, były oknem na świat. Trafiłem do 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich, pułku, który związany był z naszą rodzi-

ną, ponieważ służyli w nim wcześniej moi bracia. Staszek, młodszy z braci, walczył w szefostwie sztabu brygady nowogródzkiej [Nowogródzka Brygada Kawalerii, przemianowana 1 kwietnia 1937 roku z Brygady Kawalerii „Baranowicze"]. Ja ukończyłem roczny kurs podchorążówki rezerwy w Grudziądzu [Centrum Wyszkolenia Kawalerii, w którego skład wchodziła m.in. Szkoła Podchorążych Rezerwy Kawalerii]. Później, w 1937 roku, ukończyłem jeszcze kurs zwiadowców konnych kawalerii. Wtedy już ze stopniem podporucznika rezerwy pełniłem funkcję dowódcy plutonu. I, co zadziwiające, miałem dobre opinie u moich przełożonych, co też przejawiało się we wpisach do akt. W podchorążówce ćwiczyliśmy dużo jazdy konnej oraz władania bronią białą. W tym ostatnim zresztą byłem bardzo dobry. Moim zdaniem jednak za mało praktykowaliśmy zachowań bojowych. Sposób dowodzenia plutonem, szwadronem w boju, na co składa się zaopatrzenie w amunicję, w wodę i w żywność".

Chrzest bojowy miał jednak dopiero nadejść. 27 sierpnia 1939 roku ogłoszono mobilizację.

„Informację o mobilizacji otrzymałem późnym wieczorem od gońca z gminy. Rano udałem się do macierzystego 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich, który koszarował we Lwowie [koszary przy ul. Łyczakowskiej 76]. Mój przydział to 4. szwadron, którym dowodził kawaler Orderu Virtuti Militari z roku 1920, rotmistrz Józef Bokota".

Początkowo 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich został skierowany do działań w okolicach Poznania w ramach Podolskiej Brygady Kawalerii. Do 8 września pułk nie zetknął się bojowo z przeciwnikiem. Tego dnia utworzono Grupę Operacyjną Kawalerii, dowodzoną przez gen. Stanisława Grzmota-Skotnickiego, do której włączono także ułanów jazłowieckich. 9 i 10 września toczyły się walki pod Wartkowicami. Kolejne dni to dla pułku mniejsze potyczki z nieprzyjacielem w czasie osłaniania przeprawy większych jednostek Armii „Poznań" w kierunku Bzury. 15 września powołano Grupę Operacyjną Kawalerii pod dowództwem gen. Romana Abrahama. W nocy z 16 na 17 września 14. pułk przeprawił się przez Bzurę. Tu ułanom przyszło stoczyć ciężkie walki pod miejscowością Górki pod intensywnym ostrzałem ze strony wojska i lotnictwa niemieckiego.

„W tej bitwie pod Górkami zginęli m.in. dowódca szwadronu, por. [Alfred] Godlewski, ppor. Zygmunt Kostiuk i inni [ppor. rez. Roman Izierski, plut. pchor. Tadeusz Uramowski]. Na koniec tego wszystkiego przybył goniec

4. Szwadron 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich, 1920 rok

Fot. ze zbiorów Jacka Skoczylasa

z nakazem przejęcia przeze mnie dowództwa nad szwadronem [4. szwadron 14. pułku] z powodu śmierci dowódcy [dowódca 4. szwadronu, rtm. Józef Bokota, złamał nogę, a dowodzenie przejął por. rez. Alfred Godlewski, który zginął 17 września w bitwie pod Górkami].

Nagle w tym całym ferworze walki następuje jakby umówiona cisza – odpoczywamy. Szwadrony wymieszane miedzy sobą, zarządzam przegrupowanie i wysyłam gońca do dowódcy sąsiedniego szwadronu".

Po ciężkich bojach pod Górkami (17–18 września) Grupa Operacyjna Kawalerii, do której włączono 14. pułk, została skierowana w stronę Modlina. Dowódca jednak zmienił trasę przemarszu i zdecydował się skierować siły ku Warszawie.

„W tym czasie nie funkcjonowała już łączność telefoniczna. Wiadomo, telefonów komórkowych wtedy jeszcze nie było, natomiast dotychczasowe łącza zostały zerwane. Komunikacja była utrudniona. Dowiedzieliśmy się także, że 17 września do Polski wkroczyli Sowieci. Wszyscy wiedzieli, czym to pachnie. Z trwogą wyczekiwaliśmy informacji od naszych rodzin, które zostały na wschodzie. Wielu myślało, że to już koniec. Dopóki się biliśmy, czuliśmy, że może być jeszcze lepiej. Naraz ci Sowieci, potem kapitulacja... Wtedy mogło być już tylko gorzej. Ktoś może powiedzieć, że przemawia przeze mnie zgorzkniałość. Ale to prawda, mieliśmy poczucie bezsilności".

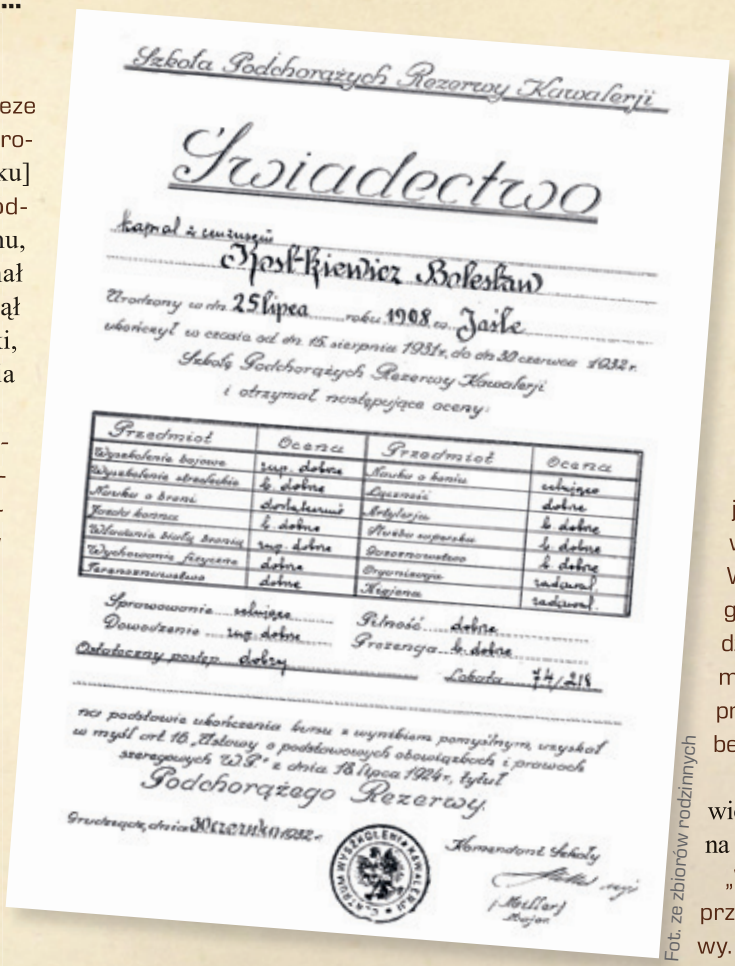

Szkoła Podchorążych Rezerwy Kawalerii

Świadectwo

kapral z uczniowski Kostkiewicz Bolesław

Urodzony w dn. 25 lipca roku 1908 w Jaśle

uczęszczał w czasie od dn. 15 sierpnia 1931 r. do dn. 30 czerwca 1932 r.

Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii

i otrzymał następujące oceny:

Przedmiot	Ocena	Przedmiot	Ocena
Wyszkolenie bojowe	rap. dobre	Nauka o koniu	celujące
Wyszkolenie strzeleckie	b. dobre	Ujeżdżenie	dobre
Nauka o broni	dostatecznie	Artyleria	b. dobre
Nauka konia	b. dobre	Nauka wojenna	b. dobre
Wyszkolenie broni	rap. dobre	Służba wewnętrzna	b. dobre
Wychowanie fizyczne	dobre	Organizacja	radzono
Taktyka	dobre	Higiena	radzono

Sprawowanie celujące Pilność dobre

Dowodzenie rap. dobre Prezencja b. dobre

Ostateczny postęp dobry Lokata 74/218

na podstawie ukończenia kursu z wynikiem pomyślnym, uzyskał w myśl art. 16 „Ustawy o podstawowych obowiązkach i prawach szeregowych W.P." z dnia 18 lipca 1924 r. tytuł

Podchorążego Rezerwy.

Grudziądz, dnia 30 czerwca 1932 r.

Komendant Szkoły

Fot. ze zbiorów rodzinnych

19 września pułk Kostkiewicza brał udział w natarciu na Sieraków i na Laski.

„Wracając do naszego przebijania się do Warszawy. Było to 19 września, ciężki bój o Laski. Co było dla nas najgorsze – Niemcy wysłali przeciw nam brygadę pancerną. Generał Abraham rozkazał ostrzał z dział przeciwpancernych. Tu wsławił się ppor. Wiktor Ziemiński [późniejszy generał dywizji ludowego WP], kierujący ogniem dział [dowódca plutonu ppanc. w szwadronie ckm 14. Pułku UJ]. Ganiał po lesie ze swoim plutonem dział i siekał niemieckie czołgi. Przemieszczając się po tym terenie, widzieliśmy wiele owoców jego pracy. Opiszę jedną sytuację. Wypalony niemiecki czołg, wyglądał jak po uderzeniu tylko jednego pocisku. Z włazu zwisające ciało żołnierza. Za czołgiem natomiast na skrzynkach amunicyjnych zwłoki pozostałych trzech członków załogi. Konsumowali w najlepsze ogórki, i to polskiej firmy. Ale niedane było im dokończyć posiłku.

Kolejne wydarzenie, które zapamiętałem, miało miejsce już po bitwie. Na skraju pola wypatrzono czterech jeźdźców, ale nawet patrząc przez lornetkę, trudno było rozpoznać, czy to wróg,

Początki 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich stanowił zorganizowany w Rumunii szwadron, który walczył z bolszewikami na Kubaniu w składzie Armii Ochotniczej gen. Michaiła Aleksiejewa. Po przetransportowaniu drogą morską do Odessy w drugiej połowie 1919 roku wziął udział – wówczas już jako Pułk Ułanów 1. Dywizji Jazdy pod dowództwem mjr. Konstantego Plisowskiego – w walkach z bolszewikami pod Odessą i Tyraspolem. Po wycofaniu się pułk przekroczył w połowie czerwca 1919 roku granicę odrodzonej Polski. Z końcem miesiąca uczestniczył w działaniach zbrojnych przeciwko Ukraińcom. Między 11 a 13 lipca zatrzymał znaczne siły ukraińskie w bitwie pod Jazłowcem, broniąc m.in. klasztoru sióstr niepokalanek. 12 sierpnia 1919 roku, na mocy rozkazu Naczelnego Wodza, pułk otrzymał numer 14 oraz nazwę wyróżniającą „Jazłowiecki" na pamiątkę bohaterskiej bitwy pod Jazłowcem. Ułani jazłowieccy wzięli także udział w wojnie polsko-bolszewickiej, tocząc boje m.in. pod Jaruniem, Brodami i Komarowem. „Za krew przelaną, za trudy i cierpienia, za to, że w chwilach ogólnego zwątpienia pułk nie zwątpił o zwycięstwie i śmiało idąc ku niemu, pociągnął innych", 20 marca 1921 roku 14. pułk otrzymał z rąk marsz. Józefa Piłsudskiego sztandar oraz krzyż srebrny Orderu Virtuti Militari. Po zakończeniu działań wojennych ułani jazłowieccy zostali ulokowani w koszarach we Lwowie. We wrześniu 1939 roku pułk brał udział w bitwie nad Bzurą, bitwie pod Górkami Kampinoskimi i Sierakowem, w walkach o Laski oraz w szarży pod Wólką Węglową, w której przebijając pierścień wojsk niemieckich, umożliwiono dotarcie oddziałów polskich do broniącej się stolicy. Do 28 września zdziesiątkowany 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich prowadził walki w Warszawie, m.in. w rejonie Czerniakowa. Po kapitulacji oficerowie pułku trafili do niewoli niemieckiej.

czy nie. […] Porucznik [Marian] Walicki wraz z kilkoma podkomendnymi został wyznaczony do przeprowadzenia zwiadu. Wyrwał się jednak na czoło i teraz oto przed całym pułkiem rozgrywa się taka historia. Porucznik Walicki dociera po kolei do każdego konnego i kropi ich z pistoletu. Z ostatnim miał trochę więcej pracy, ale z nim ta sztuka także się udała. […] Działo się to na łące, na której niedawno odnowiono i pogłębiono rowy nawadniające. Jeźdźcy – Niemcy – nie mogli uciec, ponieważ ich konie bały się przeskoczyć przez owe przekopy. Sztuka w wyszkoleniu koni. Dla nas to było moralne zwycięstwo!"

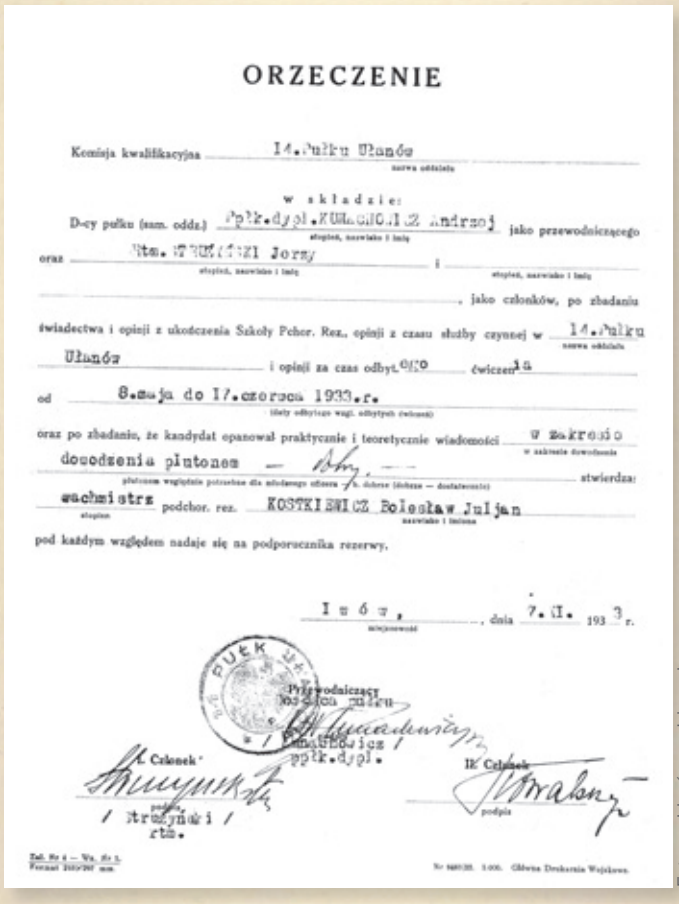

ORZECZENIE

Komisja kwalifikacyjna 14. Pułku Ułanów
nazwa oddziału

w składzie:

D-cy pułku (sam. oddz.) Ppłk.dypl. KUMACHOWICZ Andrzej jako przewodniczącego
stopień, nazwisko i imię

oraz Rtm. STRUŻYŃSKI Jerzy i
stopień, nazwisko i imię — stopień, nazwisko i imię

, jako członków, po zbadaniu świadectwa i opinji z ukończenia Szkoły Pchor. Rez., opinji z czasu służby czynnej w 14. Pułku Ułanów i opinji za czas odbytego ćwiczenia
nazwa oddziału

od 8. maja do 17. czerwca 1933. r.
(daty odbytego wzgl. odbytych ćwiczeń)

oraz po zbadaniu, że kandydat opanował praktycznie i teoretycznie wiadomości w zakresie dowodzenia plutonem — stwierdza:
w zakresie dowodzenia
plutonem względnie potrzebne dla młodszego oficera — b. dobrze (dobrze — dostatecznie)

wachmistrz podchor. rez. KOSTKIEWICZ Bolesław Juljan
stopień — nazwisko i imiona

pod każdym względem nadaje się na podporucznika rezerwy.

Lwów, dnia 7. XI. 1933 r.
miejscowość

Przewodniczący
Dowódca pułku
/ Kumachowicz /
ppłk.dypl.

I. Członek
podpis
/ Strużyński /
rtm.

II. Członek
podpis

Fot. ze zbiorów rodzinnych

Najbardziej znaną bitwę we wrześniu 1939 roku 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich stoczył w czasie szarży pod Wólką Węglową na przedpolach Warszawy. Szarża, wraz z działaniami innych jednostek, umożliwiła przedostanie się części Grupy Operacyjnej Kawalerii oraz oddziałów Armii „Poznań" do Warszawy.

„Dowództwo wydzieliło z Grupy Operacyjnej resztę naszego 14. pułku. Następnie narada dowódców szwadronów z płk. [Edwardem] Godlewskim, omawiamy szarżę. Wtem nowa historia. Konie, nierozkulbaczone, niedokarmione i niedostatecznie pojone, wściekały się na siebie w czasie nocnych popasów. W trakcie jednej z nocnych końskich awantur uszkodzeniu uległa moja szabla – nie dało się jej wyciągnąć z pochwy. Takie były realia. Na szczęścia miałem ze sobą dwa pistolety, w tym jeden wyniesiony z domu.

Wreszcie ruszamy w możliwie zwartym szyku konnym przez wysoki las. Prowadzi 3. szwadron pod dowództwem por. Walickiego. Mój 4. szwadron na prawej flance, 2. i 1. na lewej. Wokoło huk dział i odgłosy walki, Warszawa w oblężeniu. Nad naszymi głowami stale krążyło niemieckie lotnictwo, obrzucając nas bombami, w większości bez efektu. Docieramy jakoś do granicy lasu, przed nami pola i dalej zabudowania gospodarcze. Rozkaz: szable w dłoń – i ruszamy. […] Nie wiem dlaczego, ale dowódca niemieckiego oddziału nie rozstawił swoich żołnierzy w opłotkach, ale nakazał okopać się im na tych polach. Przypuszczając atak, byliśmy na tyle blisko, że przeciwnik, nie wiedząc, co ma robić, rzucił się z krzykiem do panicznej ucieczki. Nam to było tylko na rękę. Po prawej stronie sterta warzyw – nie wiem, czy to była brukiew, buraki czy ziemniaki. Za tą stertą schroniła się niemiecka obsługa z karabinem i chyba dowództwo. Zamiast uciekać, szykują się do ataku. Wraz z ułanem [Franciszkiem] Potworowskim skręcamy w ich stronę i kropimy z pistoletów. Niemcy, zamiast strzelać, z okrutnym wrzaskiem rzucają się do ucieczki, a my za nimi, uganiając się za pojedynczymi żołnierzami. Strzelanina na wszystkie fronty. Ale udało się, wroga pobiliśmy, przedarliśmy się. Wszelka duma niemiecka ➤

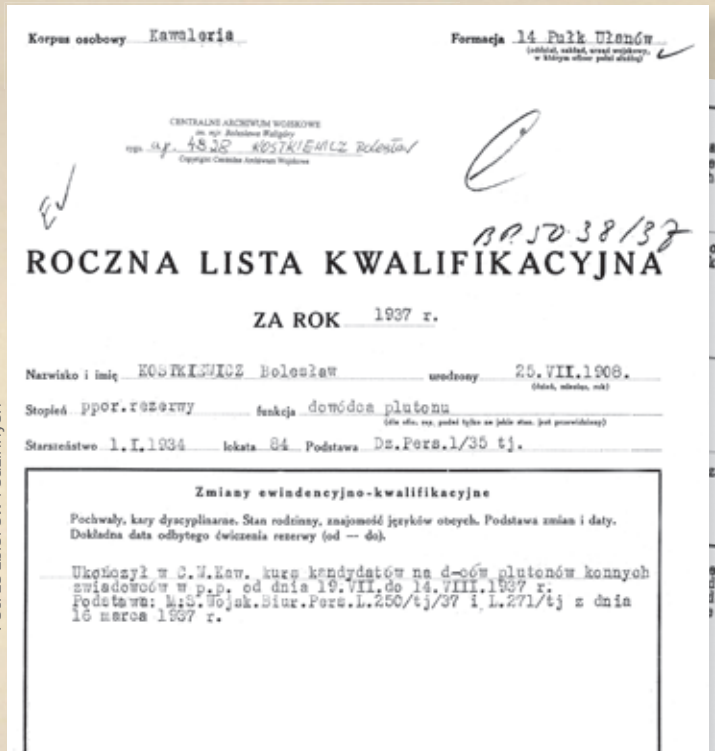

Korpus osobowy Kawaleria — Formacja 14 Pułk Ułanów
(oddział, zakład, urząd wojskowy, w którym oficer pełni służbę)

CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE
im. mjr. Bolesława Waligóry
rzgs. ap. 4838 KOSTKIEWICZ Bolesław
Copyright Centralne Archiwum Wojskowe

BP 50 38/37

ROCZNA LISTA KWALIFIKACYJNA

ZA ROK 1937 r.

Nazwisko i imię KOSTKIEWICZ Bolesław urodzony 25.VII.1908.
(dzień, miesiąc, rok)

Stopień ppor.rezerwy funkcja dowódca plutonu
(dla ofic. rez., podać tylko za jakie stan. jest przewidziany)

Starszeństwo 1.I.1934 lokata 84 Podstawa Dz.Pers.1/35 tj.

Zmiany ewindencyjno-kwalifikacyjne

Pochwały, kary dyscyplinarne. Stan rodzinny, znajomość języków obcych. Podstawa zmian i daty. Dokładna data odbytego ćwiczenia rezerwy (od — do).

Ukończył w C.W.Kaw. kurs kandydatów na d-ców plutonów konnych zwiadowców w p.p. od dnia 19.VII.do 14.VIII.1937 r. Podstawa: M.S.Wojsk.Biur.Pers.L.250/tj/37 i L.271/tj z dnia 16 marca 1937 r.

Fot. ze zbiorów rodzinnych

Fot. ze zbiorów rodzinnych

Budynek nadleśnictwa Obołok w Złotym Potoku

została pod Wólką Węglową podeptana [bitwa ta jest znana także jako szarża pod Dąbrową Leśną]".

Ułańską relikwią był sztandar pułku, wyhaftowany przez wychowanki sióstr niepokalanek z klasztoru w Jazłowcu.

„W czasie jednej z szarż w kampanii 1939 roku [zapewne chodzi o szarżę pod Wólką Węglową] tzw. chorągiewny został poważnie raniony w rękę. Po czym dało się słyszeć krzyk: »Ratować sztandar! Ratować sztandar!«. Jeden z kolegów, który był najbliżej, rzucił się, aby ten sztandar ratować. A trzeba wiedzieć, że sztandar na dole drzewca posiadał szpikulec, który wpasowywano do tulei przymocowanej do puśliska [paski skórzane, do których są przymocowane strzemiona] i strzemienia. W opisach książkowych tej sytuacji można znaleźć informację, że sztandar upadł na ziemię i był wleczony za koniem. Otóż jest to informacja nieprawdziwa. Sztandar nawet przez sekundę nie dotknął ziemi. Zawisł na grzywie konia i wtedy został podniesiony przez wspomnianego kolegę ułana. Są to zatem opisy krzywdzące dla naszych kawalerzystów".

14. Pułk Ułanów Jazłowieckich uczestniczył w ciężkich walkach w obronie Warszawy na odcinku przy ul. Czerniakowskiej. 28 września, w dniu kapitulacji stolicy, ułani uderzyli na siły nieprzyjaciela w celu ich rozpoznania, jednak oddział został zawrócony.

„Wtedy jeszcze Warszawa istniała, później to już same gruzy. Stolica była potwornie znękana bombardowaniami i ostrzałem. Bardzo intensywne naloty prowadzono 25 września [tzw. lany poniedziałek].

28 września otrzymaliśmy meldunek o kapitulacji. Stolica została poddana m.in. z powodu trudnej sytuacji ludności cywilnej. W ramach rozmów kapitulacyjnych dowództwo zapewniło także, że oficerowie nie będą uciekać i poddadzą się. Szeregowi żołnierze mieli zostać zwolnieni do domów".

W swoim ostatnim przemówieniu do ułanów rtm. Andrzej Sozański miał powiedzieć: „Pamiętajcie chłopcy, że dla nas wojna się jeszcze nie skończyła, myśmy nie skapitulowali, walczymy w dalszym ciągu, czy to w kraju, czy za granicą. Polska żyć będzie!".

„Tak trafiłem do stalagu w Woldenbergu [stalag II C Woldenberg, obecnie woj. lubuskie], do słynnego Dobiegniewa. Tam żyliśmy jak pod kloszem, Niemcy bardzo skrupulatnie przestrzegali przepisów. Do tego bombardowali nas informacjami o sukcesach swojej armii: zajęcie kolejnych krajów, wojna na morzu i zatapianie kolejnych tonaży. Z radością przyjęliśmy informację o wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Szerokim echem odbiła się także wieść o śmierci gen. [Władysława] Sikorskiego, a w końcu Katyń.

W sumie powstało tam małe miasto – sześć tysięcy ludzi na jednym terenie. Wśród jeńców przedstawiciele wszystkich zawodów – profesorowie, studenci, lekarze i inni. Staraliśmy się odrywać od tej obozowej rzeczywistości, organizując sobie m.in. życie kulturalne, kursy, lekcje i wykłady.

Nie chcę uchodzić tutaj za poetę, ale muszę powiedzieć, że człowiek na wojnie robił się mniej wrażliwy. Jeńcy, ranni, makabryczne przeżycia. Jedno, co w sobie cenię, to że nie wpadłem w tym czasie w przerażenie. Owszem, bałem się, ale nie panikowałem. Było mi także przykro na wieść o tym, że mój ojciec był wzburzony faktem, że poszedłem do niewoli. Nie wiedział, w jakich okolicznościach się to stało, a mi nie dane było się z nim spotkać i wyjaśnić całej sprawy".

Za swoje zasługi w kampanii wrześniowej Bolesław Kostkiewicz otrzymał Krzyż Walecznych. W roku 2008 został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a rok później awansowany do stopnia pułkownika.

oprac. Piotr Wiejak

Bolesław Kostkiewicz
Sygnatura: N-0281
Czas nagrania: 5 godzin
Archiwum Historii Mówionej BEP IPN, Michał Kurkiewicz
Współpraca: Olga Ciemnoczołowska (Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Zielonej Górze), Tomasz Sudoł (IPN)

Sklep komercyjny

Jerzy Kochanowski

System stałych, niskich, regulowanych cen, niemających żadnego związku z realnymi kosztami produkcji, był jednym z powodów chronicznych niedoborów, typowych dla gospodarki socjalistycznej. A ponieważ podwyżki zawsze wywoływały sprzeciw społeczny, nieraz tak gwałtowny, że doprowadzał do zmian politycznych, władze uciekały się do rozwiązań pośrednich lub kamuflowały wzrost cen, m.in. tworząc tzw. sklepy komercyjne.

Fot. PAP/Stanisław Dąbrowiecki

Towar do wyboru, do koloru – w PRL takie rzeczy tylko w sklepach dewizowych, komercyjnych i za żółtymi firankami; na zdjęciu warszawski sklep banku PeKaO, 1969 rok

W sklepach tych sprzedawano deficytowe towary po cenach wyższych (nieraz wielokrotnie) aniżeli te, które obowiązywały w pozostałych sklepach. Drogę wytyczył handel radziecki już w latach trzydziestych, wprowadzając tzw. torgsiny, w których za dewizy i złoto sprzedawano artykuły niewystępujące w zwykłych sklepach. Klientów nie brakowało.

W powojennej Polsce sklepy komercyjne miały za zadanie nie tyle ściągnięcie od ludzi dewiz (temu służył najpierw bank PeKaO, a potem Pewex), ile przygotowanie społeczeństwa do wyższych cen, pokazanie związku między nimi a pełnymi półkami, brakiem kolejek i milszą obsługą. Jednocześnie zdawano sobie sprawę z tego, że takie rozwiązanie może wywołać bunt, dlatego o sięgnięciu po ten środek decydowały – nieczęsto zresztą – najwyższe gremia partyjne i państwowe. Na przykład już na początku 1952 roku zastanawiano się nad wprowadzeniem cen komercyjnych mięsa, mających pomóc w likwidacji reglamentacji, wprowadzonej w poprzednim roku. Jednak Biuro Polityczne KC PZPR zdecydowało się na taki krok dopiero po uchwaleniu konstytucji w lipcu 1952 roku. Trudno powiedzieć, czy wprowadzona wtedy w około stu sklepach sprzedaż mięsa za podwójną cenę odegrała spodziewaną rolę, już bowiem na początku stycznia 1953 roku wszystkie ceny (w tym mięsa) podwyższono tak bardzo, że dorównały poziomowi na czarnym rynku.

Na kolejny „komercyjny" krok poważono się dopiero w 1976 roku, kiedy po odwołanych – wskutek protestu robotniczego – podwyżkach cen wprowadzono reglamentację cukru. Na osobę przypadały 2 kg sprzedawane po urzędowej cenie 10,50 zł. Jednocześnie dopuszczano swobodną sprzedaż po cenach komercyjnych (26 złotych za kilogram). Nie zdecydowano się wtedy jeszcze na reglamentację mięsa, powrócono natomiast do pomysłu sprzed ćwierćwiecza i na mocy decyzji Prezydium Rządu z 16 września 1976 roku dopuszczono „komercyjną" sprzedaż po znacznie wyższych cenach. Sklepów takich, mających w założeniu sprzedawać mięso i wędliny lepszych gatunków, nie było początkowo dużo: w połowie 1977 roku w całym kraju zaledwie siedemnaście w piętnastu największych miastach. Sprzedawano w nich też tylko niewielką część (ok. 0,2 proc.) całej tzw. masy mięsnej „rzucanej" na oficjalny rynek.

Dopóki ze sklepów komercyjnych korzystała garstka zamożniejszych mieszkańców dużych ośrodków, nie budziły specjalnej krytyki. Jednak w miarę jak zaostrzał się kryzys zaopatrzeniowy i pustoszały zwykłe sklepy, władze coraz bardziej przywiązywały się do pomysłu, aby przez zwiększenie liczby takich punktów przyzwyczaić społeczeństwo do wyższych cen. I chociaż przez ten rodzaj sklepów nie przepływało więcej niż 10 proc. mięsa, to lądowały w nich gatunki najlepsze. W rezultacie, zamiast zrównoważyć rynek, decydenci wyprowadzili z równowagi społeczeństwo, pod koniec dekady już otwarcie krytykujące jego podział na „lepszych", których stać na odwiedzanie sklepów komercyjnych, i „gorszych", skazanych na długie czekanie po ochłapy w ogólnodostępnych sklepach. „To jest draństwo najwyższej klasy – pisał w 1978 roku do KC PZPR rencista z Tarnowa – żeby w Polsce Ludowej oszukiwać naród. W sklepie komercyjnym bajońskie ceny, wyroby smaczne, mięso pierwszej jakości – nie brakuje niczego. W normalnych sklepach mięsnych wędliny psu szkoda rzucić, bo nie jadłby". „Negatywne oceny sklepów komercyjnych, a także sklepów »Pewex« – informowało MSW na początku sierpnia 1978 roku – stanowią asumpt do stwierdzeń, że jest to podział społeczeństwa na »kategorie«, »kasty«, »posiadających i biednych« itp., że są to sklepy dla prywaciarzy, złodziei i paserów. Stwierdza się, że sytuacja jest zaprzeczeniem socjalistycznych zasad...". Sklepy komercyjne stały się przedmiotem dowcipów, odpowiednio zaadaptowano nawet stary, patriotyczny wierszyk: „Kto ty jesteś?/ Polak mały!/ Jaki znak twój?/ Orzeł Biały!", zmieniając na: „Kto ty jesteś?/ Komercjuszek! /Jaki znak twój?/ Pusty brzuszek!".

Mimo to w 1980 roku system jeszcze rozszerzono. W takich stopniu, że przed świętami wielkanocnymi, połączonymi w Polsce z dużym spożyciem mięsa i wędlin, ich lepsze, „świąteczne" gatunki można było dostać wyłącznie po cenach komercyjnych. Nic też dziwnego, że sklepy komercyjne stały się przedmiotem ważnej społecznej krytyki. Objęcie na początku lipca 1980 roku cenami komercyjnymi również tanich wędlin, kupowanych głównie przez robotników, stało się jednym z katalizatorów fali strajków, a całkowite zniesienie takich cen włączono do 21 postulatów zgłoszonych władzom przez protestujących w Stoczni Gdańskiej. Historyczne porozumienie z 31 sierpnia 1980 roku przewidywało likwidację sklepów komercyjnych.

Chociaż zniknęły, z samego pomysłu nie zrezygnowano. Nie zaryzykowano co prawda jego ponownego zastosowania wobec mięsa, pozostawiając prywatnym handlowcom informowanie społeczeństwa o realnych cenach. Od lat 1986–1987 można było bowiem oficjalnie i poza reglamentacją sprzedawać – oczywiście po wyższych cenach – mięso z tzw. uboju gospodarczego. Ideę cen komercyjnych zastosowano tym razem wobec innego strategicznego produktu, reglamentowanego prawie tak samo długo jak mięso – benzyny. Pierwsze, rzucone już w 1983 roku, propozycje wprowadzenia ceny komercyjnej wywołały jednak ostre sprzeciwy („benzyna dla bogatych"). Dopiero w lipcu 1988 roku poczyniono nieco odważniejszy krok, dopuszczając na 64 stacjach (na 1300 istniejących!) sprzedaż benzyny bez kartek, ale po bardzo wysokich cenach, zbliżonych do czarnorynkowych. „Dla obywatela nie zmienia się nic – komentowano w prasie – poza tym, że będzie mógł oficjalnie kupić paliwo za cenę, którą do tej pory płacił nieoficjalnie" (Jerzy Baczyński, *Przelewanie z pustego*, „Polityka", 9 lipca 1988 roku). Zmiana nastąpiła rok później, kiedy wraz z upadkiem całego systemu wszystkie ceny stały się „komercyjne".

prof. Jerzy Kochanowski – pracownik Zakładu Historii XX Wieku Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, autor m.in. *Tylnymi drzwiami. „Czarny Rynek" w Polsce 1944–1989* (2010)

Popiół i diament

Jerzy Eisler

Łatwo o krzywdzącą ocenę filmu o Maćku Chełmickim, jeśli dokonuje się jej przez pryzmat dzisiejszej wiedzy historycznej. Wyrabiając sobie zdanie na temat *Popiołu i diamentu*, warto wziąć pod uwagę to, jaka była świadomość pod koniec lat pięćdziesiątych.

W 1995 roku w jednym ze sporych sieciowych sklepów samoobsługowych w Paryżu przeglądałem kasety wideo wydane w ramach serii zawierającej dzieła najwybitniejszych mistrzów X Muzy. Były tam więc filmy zrealizowane przez takie znakomitości światowego kina jak: Michelangelo Antonioni, Ingmar Bergman, Luis Buñuel, Federico Fellini, Akira Kurosawa. Oczywiście kasety te przeglądałem z ciekawości, aby zorientować się, czy wśród tych niekwestionowanych wielkości będzie choć jeden Polak, a jeżeli tak, to kto to będzie i jaki film wybrano do tej kolekcji konesera. Po pewnej chwili natrafiłem na kasetę zawierającą *Popiół i diament* w reżyserii Andrzeja Wajdy. Pomyślałem, że jakkolwiek krytycznie ten film i jego twórca byliby w Polsce oceniani (a w następnym dwudziestoleciu – w związku z rozmaitymi deklaracjami publicznymi Andrzeja Wajdy na współczesne nam tematy – głosów takich było coraz więcej), to na świecie Wajda pozostaje klasykiem kina, a niektóre jego filmy należą do światowego kanonu. Wyrazem tego było uhonorowanie go w 2000 roku Oscarem za całokształt twórczości.

Wydaje się, że przynajmniej w wypadku *Popiołu i diamentu* źródłem tak rozbieżnych niekiedy ocen jest zdecydowanie odmienne podejście do tego obrazu w Polsce i na świecie, gdzie traktowany on często bywa jako – zawieszone poza miejscem i czasem (Polska w maju 1945 roku) – samoistne arcydzieło filmowe. W tym filmie, nagradzanym i wyróżnianym na różnych międzynarodowych przeglądach i festiwalach, podziwia się na ogół znakomitą reżyserię Wajdy, piękne zdjęcia Jerzego Wójcika, oprawę muzyczną, a może przede wszystkim wspaniałe kreacje aktorskie Zbigniewa Cybulskiego w roli Maćka Chełmickiego, a także – wyróżnionej w 1962 roku przyznaną jej przez Francuską Akademię Filmową Nagrodą Kryształowej Gwiazdy – pięknej Ewy Krzyżewskiej jako barmanki Krystyny.

Ahistoryczne oceny

Tymczasem w naszym kraju film ten bodaj w coraz większym stopniu jest oceniany przez pryzmat aktualnej wiedzy historycznej. Padają więc – zresztą przynajmniej częściowo uzasadnione – zarzuty jeżeli nawet nie o fałszerstwa historyczne, to o dalekie niekiedy odchodzenie nie tylko od naszych dzisiejszych

„Chodziło nam o to, by film nie był odczytany tylko na zasadzie wydarzeń historycznych, ale by był adresowany do współczesnych" – tak Zbigniew Cybulski wyjaśniał wybór stylizacji do filmu

Fot. Filmoteka Narodowa

wyobrażeń o okresie przełomu wojny i pokoju, ale w ogóle od polskich realiów z maja 1945 roku. Przypomina się często i chętnie „grzech pierworodny" *Popiołu i diamentu*, czyli to, że jest on ekranizacją wydanej po raz pierwszy w 1947 roku powieści Jerzego Andrzejewskiego (wraz z Andrzejem Wajdą był zresztą współautorem scenariusza filmu) *Zaraz po wojnie*. W następnym roku książka ukazała się w zmienionej wersji już pod tytułem *Popiół i diament*. W PRL była lekturą szkolną i doczekała się ponad dwudziestu wydań. Stosunkowo długo przez wielu specjalistów była uważana za jedną z najlepszych polskich powieści współczesnych, wydanych drukiem w Polsce Ludowej.

Ocenom takim na pewno sprzyjało także i to, że jej autor w okresie stalinowskim był mocno zaangażowany w socrealizm i tworzenie świetlanego „nowego jutra". W 1957 roku

Fot. Filmoteka Narodowa

Maciek Chełmicki (Zbigniew Cybulski) ze swoim dowódcą (Adam Pawlikowski)

wystąpił jednak z PZPR, a w latach sześćdziesiątych stał się jednym z jej najzagorzalszych przeciwników w środowisku literackim. W następnej dekadzie Jerzy Andrzejewski był współzałożycielem Komitetu Obrony Robotników, działał w opozycji antykomunistycznej i publikował w drugim obiegu. Niemniej niemała część jego krytyków do dziś pamięta mu wyłącznie komunistyczne zaangażowanie i zwykle nie wspomina o jego późniejszych wyborach politycznych i artystycznych. Co ciekawe, rzadko zwraca się też uwagę na to, że zarówno książka Andrzejewskiego, jak i film Wajdy powstały w okresach relatywnie większej (jak na standardy Polski Ludowej) swobody twórczej. Pracę nad *Popiołem i diamentem* Jerzy Andrzejewski rozpoczął w grudniu 1946 roku, a ukończył w czerwcu następnego roku. Wolno przypuszczać, że gdyby książka powstała dwa lata później, to raczej nie zostałaby opublikowana.

Wydaje się, że słuszność tego poglądu potwierdzają perypetie młodego wówczas reżysera teatralnego Erwina Axera oraz reżysera i wykładowcy Antoniego Bohdziewicza, którzy w latach 1948–1950 bez powodzenia pracowali nad scenariuszem ekranizacji *Popiołu i diamentu*. Dopiero w atmosferze popaździernikowej, późną jesienią 1957 roku, Wajda zaproponował Andrzejewskiemu wspólne przygotowanie scenariusza, który powstał w ekspresowym tempie jednego miesiąca. W odróżnieniu od powieści, w której akcja toczy się w ciągu kilku dni, w filmie skomasowano narrację i cała historia rozgrywa się zaledwie w kilkanaście godzin od południa 8 maja do ranka 9 maja 1945 roku. Filmoznawca Stanisław Ozimek trafnie zwracał też uwagę na to, że – w odróżnieniu od książki, której akcja toczy się głównie na dworze (w plenerach) – w filmie (właściwie z wyjątkiem tylko początkowej sekwencji zamachu oraz ostatnich kilkunastu minut) wydarzenia rozgrywają się niemal wyłącznie wewnątrz hotelu „Monopol", o scenerii i architekturze wnętrza „bardzo zbliżonej do tej z kart powieści".

Wąskie spodnie Cybulskiego

Autorzy scenariusza postarali się też o to, żeby zdecydowanie na plan pierwszy wydobyć te wątki powieści, które dotyczą młodego akowca i byłego powstańca, Maćka Chełmickiego, i jego protagonisty, starszego już sekretarza Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Partii Robotniczej – Szczuki. Jednak tak naprawdę bohater w filmie jest tylko jeden: Maciek. Na pewno wpływ na to miała siła gry Zbigniewa Cybulskiego i zarazem – co może zakrawać na pewien paradoks – jego zewnętrzny wygląd, tak bardzo różny od wyglądu prawdziwych „chłopców z lasu". Ciemne okulary i „wąski spodzień" zdenerwowały wielu krytyków; bodaj najgłośniej zżymał się na to Zygmunt Kałużyński. W rzeczywistości Cybulski wyglądał tak, że mogła go pokochać przynajmniej część „młodzieży akowskiej", ale przede wszystkim współczesna filmowi „młodzież październikowa". W jego straceńczej kreacji dopatrywano się zresztą analogii do takich ówczesnych gigantów zbuntowanego kina amerykańskiego, jak Marlon Brando, Montgomery Clift czy – może zwłaszcza – James Dean.

Ciekawe jest to, co sam Zbigniew Cybulski mówił na temat swojego wyglądu w tym filmie niedługo po jego premierze, która miała miejsce 3 października 1958 roku: „Kiedy zaczynaliśmy film, ubraliśmy się tak, jak się chodziło w 1945 r., włożyłem wysokie buty z cholewami, bryczesy, trencz typowy dla tego okresu, kapelusik z małym rondem. Krystynę uczesano w wałek nad czołem, włożyła spódnicę powyżej kolan. Buty na wysokich drewnianych koturnach. To wszystko razem oczywiście siedziało w epoce. Popatrzyliśmy na siebie i parsknęliśmy śmiechem. Byliśmy figurkami z szopki na temat roku 1945. […] Chodziło nam o to, by film nie był odczytany tylko na zasadzie wydarzeń historycznych, ale by był adresowany do współczesnych. […] Dlatego ten kostium, ta pewna stylizacja". Zbigniew Cybulski wymusił też na Andrzeju Wajdzie zgodę na to, żeby mógł grać

w czarnych wąskich spodniach i ciemnych okularach. W tym ostatnim wypadku – jak utrzymywał sam zainteresowany – nie chodziło jednak o ówczesną modę i nie był to – jak sugerował Zygmunt Kałużyński – atrybut „zbuntowanego egzystencjalisty". W cytowanym powyżej wywiadzie aktor mówił na ten temat: „Jestem krótkowidzem i lepiej się czuję w okularach, a od 7 lat noszę ciemne, więc reżyser zdecydował się na grę w okularach". W filmie zostało to jednak wytłumaczone zupełnie inaczej i zręcznie wplecione w dramat młodego akowca, który ustami Maćka Chełmickiego mówi o ciemnych okularach, że jest to „pamiątka nieodwzajemnionej miłości do ojczyzny".

Policzkujący ubek

Wspomniałem już, że Andrzej Wajda dość często bywa krytykowany za to, że *Popiół i diament* nie odtwarza wiernie bardzo skomplikowanej w Polsce atmosfery dni przełomu wojny i pokoju. Oczywiście, jeżeli patrzeć na to z dzisiejszego punktu widzenia oraz obecnego stanu wiedzy historycznej, to zarzut ten przynajmniej częściowo jest zasadny. Rzecz w tym, że stan naszej wiedzy w tym zakresie, głównie (choć nie wyłącznie) ma prawie nic wspólnego z naszymi dzisiejszymi wyobrażeniami, naszą wiedzą na ten temat, a przede wszystkim z realiami lat czterdziestych, ale bodaj po raz pierwszy pokazane jest w filmie, jak przesłuchujący oficer UB policzkuje młodego akowca. Dzisiaj właściwie na nikim nie zrobiłoby to żadnego wrażenia, ale dla widzów w 1958 roku było to niemało. Na marginesie wypada dodać, że kiedyś w filmach fabularnych na ogół nie epatowano naturalistycznymi scenami przesłuchań, nawet w wypadku osób zatrzymanych przez gestapo.

Fot. Filmoteka Narodowa

Francuska Akademia Filmowa doceniła Ewę Krzyżewską za rolę barmanki Krystyny, przyznając jej w 1962 roku Nagrodę Kryształowej Gwiazdy

za sprawą badań nad powojennym podziemiem niepodległościowym, w ostatnim ćwierćwieczu powiększył się w stopniu niewyobrażalnym. Natomiast porównywanie go z ogólnym poziomem wiedzy historycznej na ten temat z 1958 roku nie ma większego sensu, zwłaszcza gdy ma się świadomość świeżej jeszcze wtedy społecznej pamięci o stalinizmie i będącej tego następstwem wymuszonej specyficznej amnezji społecznej oraz istnienia cenzury prewencyjnej, stojącej na straży takiej, a nie innej wizji przeszłości.

Andrzej Wajda zrealizował taki film, jaki w ogóle mógł być wówczas w Polsce nakręcony. Kilka razy pokazuje maszerujące ulicami polskich miast kolumny radzieckich żołnierzy; ukazuje także przejazdy radzieckich kolumn pancernych. Kto chce, może więc zobaczyć, że – zgodnie z realiami, w oczach twórców filmu – w maju 1945 roku Polacy nie byli samodzielnymi gospodarzami we własnym kraju. Dzisiaj jest to stwierdzenie banalne, ale w 1958 roku nie było dla wszystkich takie oczywiste. Wajda przypomina także (jako jeden z pierwszych), że było coś takiego jak bezpieka. Naturalnie obraz przesłuchiwania przez funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa zatrzymanych partyzantów nie

Popiół i diament to jednak nie tylko dramatyczna historia narodzin Polski Ludowej. Jest to również w jakimś sensie film o rodzącej się miłości. To także hołd złożony pokoleniu, które swoje najlepsze lata życia, a nierzadko właśnie i samo życie, złożyło na ołtarzu ojczyzny. Jest to wreszcie obraz pełen symboli. Końcową scenę śmierci Maćka na śmietniku wymyślił sam Andrzej Wajda, który chciał w ten sposób nawiązać do „śmietnika historii", na którym mieliby się znaleźć przegrani. Z kolei sławną sekwencję palenia w kieliszkach spirytusu i wspominania przez Maćka i jego dowódcę Andrzeja (życiowa rola Adama Pawlikowskiego) poległych koleżanek i kolegów, wymyślił drugi reżyser, Janusz Morgenstern. Ciekawe, że na zasadzie swoistego autocytatu Andrzej Wajda przywołał ją w zupełnie innym kontekście dziesięć lat później w filmie *Wszystko na sprzedaż*.

prof. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL oraz najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące", czyli kryzys(y) w PRL* (2008), *Siedmiu „wspaniałych". Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)

Z kadeckim półsłońcem na furażerce

Tomasz Zawistowski

„Pamiętaj, żeś miał honor być kadetem”. Te słowa, wypowiedziane w 1766 roku przez księcia Adama Czartoryskiego, komendanta Szkoły Rycerskiej, stały się mottem dla ponad 4 tys. kadetów II Rzeczypospolitej. Istnienie przedwojennych korpusów kadetów zostało przerwane wybuchem II wojny światowej. Po blisko dwóch latach od tego momentu na rozkaz gen. Władysława Andersa została powołana Junacka Szkoła Kadetów, kontynuatorka osiemnastowiecznej i przedwojennej tradycji wojskowego kształcenia młodzieży. Kadeckie nakrycia głowy znowu ozdobił symbol półsłońca.

Fot. ze zbiorów Krzysztofa Barbarskiego

Półsłońce Junackiej Szkoły Kadetów

„Przy bramie wjazdowej do obozu stał na warcie chłopak uzbrojony w karabin. Był w naszym wieku i uśmiechał się do nas. Wyglądał imponująco – mundur miał dopasowany, wyprasowany, a na naramiennikach, które były granatowe z żółtą obwódką, litery JSK (Junacka Szkoła Kadetów). Na furażerce zamiast orzełka – błyszczące niklowane słońce. Tak więc byliśmy już u siebie. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że w tym obozie spędzę całe cztery lata”. Tak chwilę dotarcia do obozu w palestyńskiej miejscowości Barbara wspominał Stefan Wojsznarowicz, przyszły kadet, a w owym momencie cywilny, nieletni uchodźca z ZSRR, dokąd został wywieziony wraz z matką.

Umowa Sikorski–Majski, zawarta 30 lipca 1941 roku, dała podstawę utworzenia Armii Polskiej w ZSRR. Do miejsc jej formowania ciągnęły rzesze więźniów, zesłańców i jeńców wojennych. Wraz z żołnierzami przybywały ich rodziny: rodzice, żony, a także dzieci, które – nie bacząc na ich wiek – wywieziono z Polski. Polskie wojsko było dla nich jedyną nadzieją otrzymania żywności i odzieży, a co za tym idzie – przetrwania nadchodzącej rosyjskiej zimy. Generał Anders, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że armia nie może odmówić pomocy polskim cywilom, walczył z władzami radzieckimi o dodatkowe zaopatrzenie dla nich. Od początku było oczywiste, że szansą ocalenia kobiet i dzieci może być albo ich ewakuacja, albo wcielenie na jakiejkolwiek podstawie do wojska. Z tego względu, na mocy decyzji gen. Andersa, zostały utworzone Pomocnicza Służba Kobiet oraz oddziały junaków i junaczek, nazwanych później młodszymi ochotniczkami. Przyjęci do nich ochotnicy stawali się żołnierzami i zyskiwali szansę opuszczenia w mundurach nieludzkiej ziemi. W uzbeckiej miejscowości Wrewskoje, gdzie umieszczono Centrum Wyszkolenia Armii, założono w jego ramach obóz junaków, nazwany Szkołą Orląt, którego komendantem został ppor. Walenty Lesław Wiśniewski.

W ramach obu ewakuacji z ZSRR do Persji przybyło ponad 4,6 tys. junaków i junaczek. Obecność tak dużej liczby młodzieży wymagała stworzenia warunków umożliwiających jej edukację. Powstały liczne szkoły ogólnokształcące i specjalistyczne. Niektóre z nich miały profil wojskowy, ale miano „królowej szkół junackich” przypadło utworzonej w sierpniu 1942 roku Junackiej Szkole Kadetów, nawiązującej do tradycji wychowania młodzieży przez korpusy kadetów. Szkoła, zorganizowana w miejscowości Bash-Shid, została z czasem przeniesiona do Quastiny, a docelowo do miejscowości Barbara, gdzie pozostała już do końca pobytu polskich wojsk w Palestynie. W latach 1942–1947 w szkole uczyło się w sumie 1632 uczniów.

Najtrudniejszy pierwszy rok szkolny 1942/43 zaczął się 21 sierpnia. Stan Ju-

nackiej Szkoły Kadetów wynosił 342 junaków w czterech kompaniach. Wprost z niczego stworzono wstępny program nauczania i rozpoczęto drukowanie podręczników. Kadeci byli zakwaterowani w namiotach postawionych na piasku; w taki sam sposób powstały klasy szkolne. Ławki, stoły i nauczycielskie biurka zbudowano z piasku umocnionego tym, co było pod ręką: blachą z konserw i fragmentami skrzyń. Profesjonalne programy edukacji otrzymano z polskiej szkoły w Tel Awiwie. Przy Dyrekcji Nauk utworzono centralną bibliotekę, wyposażoną w polskie książki otrzymywane z Jerozolimy i z Tel Awiwu, gdzie działało sześć drukarń wyposażonych w polskie czcionki, a także z Wielkiej Brytanii.

Sytuacja poprawiała się z roku na rok. W roku szkolnym do dyspozycji uczniów szkół junackich było blisko 18 tys. książek w dziewięciu bibliotekach, a uczniowie mogli korzystać z blisko 40 tys. podręczników, co pokrywało 84 proc. ówczesnego zapotrzebowania. W nakładzie 2,5 tys. egzemplarzy wychodziło czasopismo „Junak", oprócz niego „Kadet" o winiecie ozdobionej półsłońcem oraz harcerskie pismo „Na Tropie".

Obóz JSK w miejscowości Quastina w Palestynie podczas wizyty Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego; wojskowy orzeł na panopliach i kadeckie półsłońce ponad flagą biało-czerwoną jako elementy dekoracji jednego z namiotów

Fot. ze zbiorów autora

Błyszczące półsłońce

Umundurowanie wychowanków JSK było typu brytyjskiego przyjętego dla armii polskiej. Specjalnymi oznakami, zatwierdzonymi przez gen. Andersa w rozkazie z 26 lipca 1942 roku (czyli miesiąc przed oficjalnym zatwierdzeniem bytu JSK), były granatowe naramienniki z żółtymi wypustkami i monogramem szkoły oraz półsłońca kadeckie. Półsłońca z racji rozmiarów nie mieściły się z przodu furażerki, noszono je więc po jej lewej stronie. JSK była jedyną szkołą mającą własną oznakę czapkową, w pozostałych szkołach używano ogólnowojskowych orłów na tarczach amazonek. Nie od razu młodzi ludzie wstępujący do szkoły otrzymywali prawo noszenia insygniów kadeckich. Jak zanotował po otrzymaniu sortów mundurowych cytowany już Stefan Wojsznarowicz: „Najbardziej radowały moje chłopięce serce: stalowy hełm z polskim orłem i masywny wojskowy scyzoryk, z powodu swojej

wagi zwany był Churchillem. Nie otrzymaliśmy tylko kadeckich naramienników i słońca na furażerkę. W zamian wydano normalne nasze orzełki. Na nasze pytania w tej sprawie szef Maniecki odpowiedział krótko, że na te emblematy trzeba sobie zasłużyć i nikt nie wie, jakie z nas ptaszki, a noszenie odznak zobowiązuje". Faktem jest, że i przed wojną uczniowie korpusów kadetów otrzymywali prawo zakładania galowego munduru z półsłońcem dopiero po pewnym czasie służby.

Prawo noszenia półsłońca na furażerce oraz naramienników z monogramami było zaszczytnym przywilejem, przyznawanym dopiero w chwili pasowania na kadeta, co dokonywało się w sposób uroczysty w dniu Święta Kadeta, 29 listopada. Przed pasowaniem obowiązywało noszenie orła ogólnowojskowego. Zawieszano prawo noszenia oznak kadetom podlegającym karze porządkowej bądź karze aresztu, co było ogłaszane w rozkazie dziennym. Prymusi klas otrzymywali oznaki kadeckie jako nagrodę, pozostali kadeci musieli nabywać je za własne pieniądze.

„Po kilkumiesięcznym pobycie w szkole, którejś niedzieli po defiladzie, która tradycyjnie odbywała się przed dowódcą, po zakończonym nabożeństwie kompanie nie odeszły do miejsc zakwaterowania. Ustawiono je w podkowę na głównym placu apelowym. Po normalnych komendach dowódcy wywoływali przed szereg po kilku ze swoich kompanii. Kapitan Łabanowski wywołał mnie i jeszcze kilku kolegów. Ja z jeszcze jednym kolegą byliśmy wysunięci do przodu, a za każdym z nas stało po trzech innych. Odczytano rozkaz dowódcy szkół dotyczący mianowania junaków kadetami. Po odczytaniu rozkazu dwóch kolegów stojących za mną założyli [tak w oryginale] mi na bluzie kadeckie naramienniki, a trzeci w miejsce orła na berecie przykręcił kadeckie słońce. Od tej chwili mogłem używać stopnia kadet" – zanotował Wojsznarowicz.

Kadeckie półsłońca były wykonywane w warunkach warsztatowych. Biorąc pod uwagę, że działały dobrze wyposażone warsztaty szkolne, a program nauczania obejmował dużą liczbę zajęć technicznych, można przypuszczać, że oznaki wytwarzano w szkole. Półsłońca były wycinane ręcznie z blachy chromoniklowanej, a w ich centralnym punkcie przyczepiano orła państwowego wz. 27, odlewanego na podstawie wizerunku z wojskowego guzika, a następnie posrebrzanego.

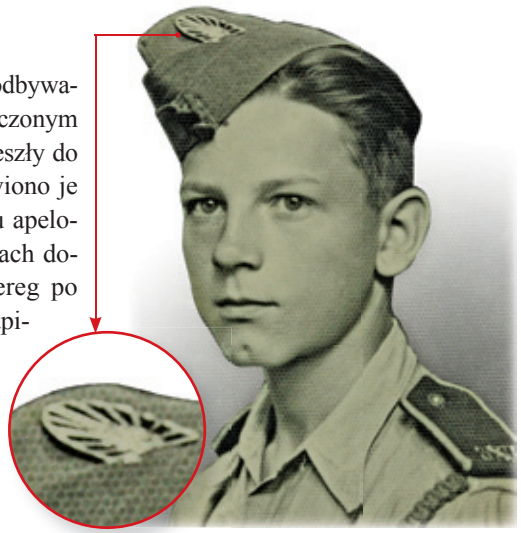

Fot. z archiwum Ireneusza Banaszkiewicza

Kadet Henryk Brągosz z oznakami JSK; Henryk Brągosz, urodzony w 1927 roku, w lutym 1940 roku został wywieziony z matką i dwoma młodszymi braćmi z powiatu kobryńskiego w rejon Archangielska; po „amnestii", w drodze na południe matka zmarła, ale chłopcom udało się dotrzeć do Pahlevi

Kadeckie życie

Mimo trudnych, wojennych warunków, mimo wojskowej dyscypliny codzienne radości i smutki kadetów były typowe dla nastoletnich uczniów. Pierwsze miłości, pokątnie palone papierosy, nauka, klasówki i ściągi, lubiani i nielubiani nauczyciele – to była kadecka codzienność, tyle tylko że w mundurach i na pustyni. Kadet Eugeniusz Korbusz wspominał: „Najłatwiej chyba było wyrwać się z kołowrotu dnia, idąc do kina na zakazany film. Dzięki zarostowi biłem dotychczas rekordy udanych wypadów. Niestety teraz, gdy odjechali starsi odkomenderowani z wojska koledzy z kursów maturalnych, trudniej było przeszmuglować się, odstawiając Anglika. Robiło się to, używając płaszcza bez »Polandów« z nastawionym wysoko

Półsłońce JSK wyhaftowane na proporczyku oddziału

Fot. IPMS

kołnierzem. Tym razem Sherlock Holmes (starszy sierżant żandarmerii) rozpoznał mnie. Po krótkim szamotaniu udało mi się wyrwać i *via* rejon czwartej kompanii wrócić do namiotu. Na nieszczęście w ręku »kanarka« pozostał płaszcz z listem od matki. Nie było więc wyboru, jak przyznać się do winy. […]

Nieproporcjonalnie do winy musiałem przez dwa tygodnie wcześnie wstawać, by podlewać ogródki, chyba tylko po to, by nie mieć za dużo energii wieczorami. W rezultacie wobec jednoczesnego zakazu opuszczania koszar boję się teraz iść do Bait Jirji po papierosy. W sklepiku bowiem kadetom nie sprzedają »cygar«, taki rozkaz wydał sam Pan Pułkownik. Cena ich na naszym czarnym rynku dochodzi do 5 milsów".

Do JSK trafiali chłopcy, którzy przeszli ciężką szkołę dwuletniego zesłania. Istniały bardzo duże obawy, podkreślane nawet przez dowódcę WP na Środkowym Wschodzie, gen. Józefa Zająca, dotyczące ich poziomu moralnego po wyjściu ze zsyłki w ZSRR, gdzie kłamstwo i kradzież były na porządku dziennym.

Okazało się wkrótce, że obawy dowódców i wychowawców były nieco na wyrost. Wśród kadetów dość szybko wytworzyły się koleżeństwo i duma z przynależności do szkoły bądź co bądź elitarnej. We wspomnieniach byłych kadetów wielokrotnie podkreślano całkowity brak kradzieży, choćby najdrobniejszych, i posuniętą aż do granic przesady dbałość o schludny wygląd mundurów, co w lokalnych warunkach klimatycznych było naprawdę poważnym wyzwaniem. Oprócz prania i prasowania mundurów i czyszczenia butów istotna była dbałość o parciane pasy i spinacze. Na co dzień noszone w regulaminowym kolorze khaki, od święta były malowane na biało zmywalną farbą wyrabianą z rozwodnionej pasty do zębów. Dziewczęta obsługujące kantynę YMCA nie mogły się nadziwić temu, jak bardzo kadeci muszą dbać o higienę zębów, skoro zużywają tak niesłychane ilości pasty. Tyleż niemiłym, ile nieoczekiwanym zgrzytem było dostarczenie pewnego razu przez YMCA… kolorowej pasty do zębów.

Fot. IPMS

Prymus JSK otrzymuje oznaki kadeckie od dowódcy Szkół Junackich, ppłk. Ignacego Bobrowskiego, i pierwszego komendanta JSK, mjr. Andrzeja Kulczyckiego; 29 listopada, Święto Kadeta

Fot. z archiwum Pawła Maciukiewicza

Junak z półsłońcem na furażerce i naramiennikami JSK, jego koleżanka ze Szkoły Młodszych Ochotniczek nosi orła ogólnowojskowego

W ciągu pięciu lat istnienia szkoły kadeci uzyskali 961 świadectw ukończenia gimnazjum oraz 339 dyplomów dojrzałości. Czterystu czterdziestu uczniów Junackiej Szkoły Kadetów odeszło po jej ukończeniu do wojska, zasilając szeregi Polskich Sił Powietrznych, Marynarki Wojennej i 2. Korpusu Polskiego. Najbliższy był im 2. Korpus, wywodzący się, tak jak i ich szkoła, z szeregów Armii Polskiej na Wschodzie. Kadeci nosili na rękawach swych mundurów jodełkę 3. Dywizji Strzelców Karpackich, wchodzącej w skład 2. KP. Do szeregów 2. Korpusu trafiło stu byłych kadetów, część z nich spoczywa na wojskowych cmentarzach we Włoszech.

Ciekawostkę dotyczącą kadeckiego półsłońca odnotował w swoich wspomnieniach Tadeusz Kernberg, żołnierz 2. Korpusu, który, ukończywszy kurs maturalny APW organizowany przy JSK w Barbarze, spotkał w obozie przejściowym w Quassasin w Egipcie grupę kadetów rozpoczynających już służbę wojskową. Kadeckie półsłońca, noszone dotąd na furażerkach, przypięli oni do kieszeni swoich battle-dressów.

Tomasz Zawistowski – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

Szable w dłoń!

Michał Mackiewicz

Nie ma broni bardziej związanej z polską tradycją orężną niż szabla. Już w drugiej połowie XVI wieku, za sprawą Węgrów, zdobyła sobie wielką popularność, stając się ostatecznie znakiem firmowym staropolskiej wojskowości i symbolem militarnej odmienności od Zachodu. Polska szabla święciła triumfy w wieku XVII, a pod koniec tegoż stulecia doszło do wykształcenia się najdoskonalszego oręża epoki – tzw. szabli husarskiej. To właśnie ona stała się inspiracją dla ostatniej w dziejach świata szabli bojowej – wzoru 34.

Truizmem jest twierdzenie, że uzbrojenie odrodzonego w 1918 roku Wojska Polskiego przedstawiało niespotykaną mozaikę wzorów odziedziczonych po zaborcach, zdobytych w walce lub przywiezionych przez powracające z zagranicy formacje. Kawaleria nie była tutaj wyjątkiem, a spośród szabel używano najczęściej niemieckich artyleryjskich wz. 1896 (zwanych popularnie blicherówkami), stosowanych zwłaszcza w pułkach wielkopolskich, austriackich wz. 1904 (wcześniej walczyli nimi ułani Legionów Polskich) czy francuskich wz. 1822. W pułkach ułanów: 1. Krechowieckim, 6. Kaniowskim i 14. Ułanów Jazłowieckich walczono rosyjskimi dragonkami, czyli szablami wz. 1881, niezwykle u nas cenionymi.

Fot. ze zbiorów MWP

Obraz Wojciecha Kossaka *Szarża pod Rokitną*; w rękach ułanów z 2. szwadronu II Brygady Legionów Polskich austriackie szable wz. 1869 lub 1904

Rodzynek wśród „międzynarodówki”

W tym zalewie obcych wzorów prawdziwym rodzynkiem była szabla wz. 17, pierwsza po ponadstudwudziestoletniej niewoli regulaminowa broń rodzimej proweniencji. Występowała w dwóch zasadniczych wersjach: dla piechoty i kawalerii. Punktem wyjścia był projekt oprawy rękojeści, z jelcem krzyżowo-kabłąkowym, z wąsami, opracowany na przełomie 1915 i 1916 roku w Karasinie na Wołyniu, gdzie stacjonowała I Brygada Legionów. Twórcą projektu był albo por. Kazimierz Młodzianowski, albo Wojciech Jastrzębski, a sama rękojeść została wykonana w Zakładach Zieleniewskiego w Krakowie. Jelec nawiązywał w formie do kawaleryjskich szabel francuskich. Od głównego kabłąka odchodziły w połowie jego długości dwa boczne, które łączyły się następnie z masywnym krzyżem jelca. Cechą charakterystyczną oficerskiej szabli piechoty, która pozwalała ją łatwo odróżnić od nieco późniejszego modelu kawaleryjskiego, była forma głównego kabłąka, mającą postać strzemienia (czy raczej półstrzemienia), zaczerpnięta z niemieckich blicherówek; w kawaleryjskiej „siedemnastce” kabłąk był owalny. Trzon rękojeści wykonywano z drewna i obciągano skórą, a następnie oplatano wzdłuż karbów mosiężnym drucikiem. Na kapturku zamykającym grzbiet trzonu rękojeści tłoczono orła na tarczy amazonek. Pierwsze polskie szable miały rozmaite głownie, najczęściej austriackie. W broń tego wzoru żołnierze zaopatrywali się prywatnie, poszczególne egzemplarze znacznie się od siebie różniły; bywało, że użytkownicy

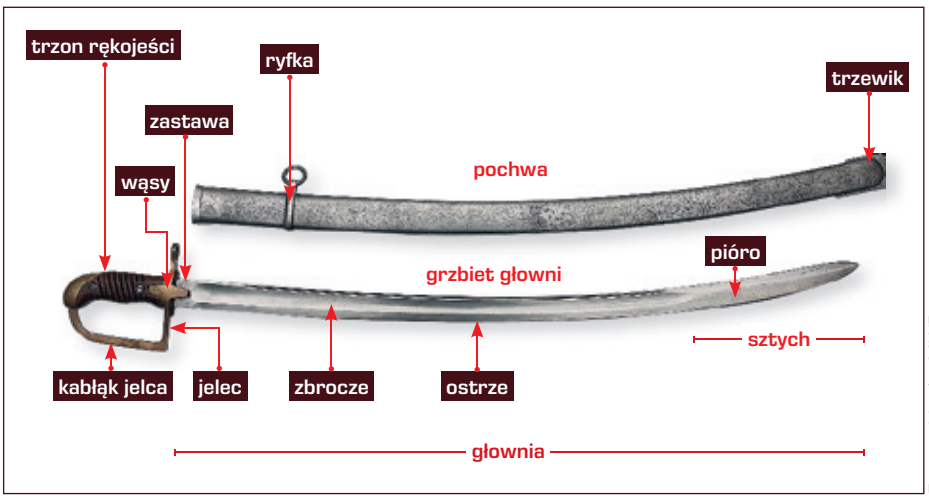

Fot. ze zbiorów MWP

Szabla wz. 34

usuwali np. boczne kabłąki, a na jelcu i głowni pojawiały się okolicznościowe daty i napisy.

Nieudany model

Po zakończeniu walk o granice pojawił się problem ujednolicenia uzbrojenia, także broni siecznej. Prace nad nową szablą były podyktowane chęcią wprowadzenia rodzimego wzoru, który zastąpiłby dotychczasową mozaikę i spełnił wszelkie wymagania na podstawie nowo zdobytych doświadczeń (wymagań owych nie spełniała szabla wz. 17). Nowa polska szabla, przeznaczona dla wszystkich rodzajów wojsk, została zatwierdzona w rozkazie z kwietnia 1921 roku: „Głownia lekka, długości 80 cm, szerokości u nasady (przy jelcu) 3,4 cm, z lekka stopniowo zwęża się do 2,5 cm, w odległości 5 cm do zaostrzonego końca, cokolwiek krzywa, o największym odchyleniu grzbietu od linii pionowej 3,1 cm, z obu stron głowni, bliżej ku grzbietowi w jednej bruździe szerokości 1,2 cm i długości 50 cm, poczynającej się w odległości 3,5 cm od nasady. Grubość grzbietu przy nasadzie 0,5 cm, ostrze przy końcu zachodzi na grzbiet pióra na 20 cm. Głownia nie powinna być niklowana. Rękojeść krzyżowo-kabłąkowa z kabłąkiem gładkim, cokolwiek rozszerzanym ku górze i łukowato zgiętym przy połączeniu z kapturkiem, tworzą natomiast kąt prosty z jelcem. Kapturek okrywa szczyt rękojeści i z przodu dochodzi do jelca. Oprawa rękojeści drewniana, w płytkie i drobne karbiki poprzecznie wyrobione. Uwaga: wysokość rękojeści wewnątrz szabli oficerskiej – 11 cm, szabli szeregowych – 12 cm. Jelec, kabłąk i kapturek w szablach oficerskich mosiężne, w szablach szeregowych – stalowe, oksydowane. Pochwa blaszana, przy oficerskich niklowana, przy szablach szeregowych polerowana z jednym pierścieniem i ogniwkiem. Dolny koniec pochwy opatrzony występującą piętką". Szabla wraz pochwą ważyła ok. 1,5 kg. Kilka miesięcy później dokonano korekty w wersji dla oficerów. W rezultacie powstały w zasadzie dwa wzory – żołnierski (wz. 21) i oficerski (wz. 21/22). Ten drugi różnił się od pierwowzoru m.in. trzonem rękojeści, który w szabli szeregowych i podoficerów pozostał drewniany, natomiast tutaj obciągano go dodatkowo czarną cielęcą skórą. Głównymi producentami szabli wz. 21 i 21/22 były warszawskie firmy Borowskiego oraz Manna. Szablę opracowano pospiesznie i dlatego nie spełniła pokładanych w niej nadziei; oceniono ją negatywnie. Największą wadą była niska jakość użytej stali, co powodowało częste uszkodzenia głowni. Krytykowano także nie najlepsze wyważenie, odczuwane zwłaszcza w trakcie walki konnej, oraz estetykę broni. Pod koniec lat dwudziestych zdecydowano się opracować nowy wzór.

Fot. ze zbiorów MWP

Polscy kawalerzyści uzbrojeni w austriackie szable wz. 1904; lata dwudzieste

Rękojeść szabli wz. 17 (w wersji dla piechoty) należącej do Edwarda Śmigłego-Rydza

Ostatnia w dziejach

Jako początek prac nad nową szablą przyjmuje się rok 1928, wtedy bowiem na mocy uchwały Komitetu ds. Uzbrojenia i Sprzętu została powołana specjalna komisja, w której skład weszli: przedstawiciel Sztabu Głównego, oficerowie reprezentujący poszczególne departamenty Ministerstwa Spraw Wojskowych (MSWojsk.) oraz specjaliści z Instytutu Badań Materiałów Uzbrojenia (IBMU). Z czasem komisja została powiększona – włączono do niej m.in. Bronisława Gembarzewskiego, pułkownika w stanie spoczynku i dyrektora warszawskiego Muzeum Wojska. Obecność tego wybitnego znawcy oręża i polskiego munduru wojskowego

Fot. ze zbiorów MWP

Oddział polskiej żandarmerii w Szumieliszkach na Grodzieńszczyźnie w 1920 roku; żołnierze są uzbrojeni we francuskie szable lekkiej kawalerii wz. 1822

świadczyła o dużej wadze, jaką przywiązywano do walorów estetycznych. W wyniku rozpisanego konkursu zgłoszono siedem modeli szabel, w różnych zresztą wersjach, z których żadna nie spełniła oczekiwań (sposobna do kłucia i rąbania, dobrze wyważona, o odpowiedniej wytrzymałości głowni i rękojeści etc.). Część z nich odrzucono, jednak kilka, uznanych za perspektywiczne, postanowiono wykonać w kilkudziesięciu egzemplarzach i skierować do pułków kawalerii w celu przetestowania. Tę pierwszą próbną partię wykonała warszawska wytwórnia „Perkun" do marca 1933 roku. To właśnie m.in. na podstawie sprawozdań z jednostek, w których testowe szable przeszły trudny „żywot bojowy", w IBMU przystąpiono do opracowania prototypu, zaaprobowanego ostatecznie przez komisję, której przewodniczył gen. bryg. Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Minister spraw wojskowych zatwierdził do uzbrojenia nową szablę, oznaczoną jako wz. 34, w sierpniu 1935 roku. Próbna seria „trzydziestek czwórek" została skierowana na testy do pułków kawalerii, w czego rezultacie dokonano drobnych poprawek, i ostatecznie, najprawdopodobniej w pierwszej połowie 1936 roku, w Hucie „Ludwików" została uruchomiona produkcja seryjna.

Szabla wz. 34, podobnie jak jej poprzedniczka, kształtem głowni nawiązywała do polskich szabel husarskich. Oprawa rękojeści była mosiężna. Krzyżowy jelec załamywał się w przedniej części pod kątem prostym i przechodził w kabłąk dochodzący do głowicy i łączący się z trzpieniem głowni. Jelec miał obustronne wąsy. Trzon, wykonany z drewna i karbowany po bokach, był nakładany na trzpień głowni i mocowany dwiema śrubami. Długość uchwytu rękojeści wynosiła 10,5 cm. Stalowa, polerowana głownia miała długość 82,5 cm (krzywizna głowni wynosiła 3 cm) i była obustronnie szlifowana w bruzdę (zbrocze) ze żłobkiem na przygrzbieciu. Pióro było obosieczne, ze sztychem decentrycznym. Na grzbiecie u nasady głowni wybijano znak kontrolny wojskowego rzeczoznawcy z Centrali Odbioru Materiału Uzbrojenia i numer seryjny danego egzemplarza. Na zewnętrznym płazie głowni, u nasady, znajdowało się oznaczenie wzoru „S. wz. 34", na wewnętrznym zaś nazwa wytwórni „H. Ludwików/Kielce". Stalową pochwę oksydowano; miała jedną ryfkę z koluszkiem i była zakończona ostrogą.

Szablę wykonywano ze stali sprężystej najwyższej jakości, dostarczanej z Huty „Baildon" z Katowic (należała do tego samego koncernu co Huta „Ludwików"). Rygory odbiorcze, cechujące zresztą całą polską zbrojeniówkę, były nad wyraz wysokie. Aby szabla została odebrana przez wojsko, musiała spełnić następujące warunki: przebić sztychem dwumilimetrową blachę przy spuszczeniu szabli z 2 m, pięciokrotnie przebić (bez jakichkolwiek uszkodzeń) pręt stalowy o średnicy 5 mm na podkładzie ołowianym, przejść próbę uderzenia grzbietem i płazem w drewniany pień, także bez żadnych uszkodzeń, a następnie, przy oparciu głowni na podkładzie drewnianym, nie ulec odkształceniom wskutek obustronnego naciskania (zginania). Również pochwa podlegała próbom – oparta oboma końcami na dwóch podkładkach i z zawieszonym obciążeniem wynoszącym 120 kg, nie mogła się odkształcić ani pęknąć.

Szacuje się, że do września 1939 roku wyprodukowano ok. 40 tys. szabel wz. 34. Były one troczone do sideł. Szabla wz. 34 okazała się orężem wręcz doskonałym, choć epoka broni siecznej bezpowrotnie skończyła się kilkadziesiąt lat wcześniej.

Ludwikówka – marzenie kolekcjonerów

Militaria związane z II Rzecząpospolitą cieszą się na rynku kolekcjonerskim największą estymą. Pistolety VIS wz. 35 czy też ludwikówki, bo tak popularnie są nazywane szable wz. 34, osiągają na aukcjach kwoty astronomiczne, które szokują, tym bardziej że mamy do czynienia ze zwykłą bronią bojową produkowaną w tysiącach egzemplarzy. Oczywiście, ten wyjątkowy popyt sprawia, że szable są od wielu lat bezczelnie podrabiane przez oszustów, którzy sprzedają je jako oryginały.

Do polskich szabel przywiązali się także filmowcy, co widać na przykładzie, koszmarnego skądinąd, filmu Jerzego Hoffmana *1920 Bitwa Warszawska*, w którym dumnie paradują z nimi… kawalerzyści Budionnego!

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kircholm–Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

Planszowa trylogia

Bartosz Odorowicz

Wraz z premierą gry planszowej *7. W obronie Lwowa* Instytut Pamięci Narodowej dorobił się pełnoprawnej trylogii planszowej. „Siódemka", razem z wcześniejszymi grami *111* i *303*, tworzą udaną serię prostych gier o historii polskich formacji myśliwskich spod znaku kościuszkowskiego.

Niegdyś te produkcje oceniałem wyłącznie z punktu widzenia miłośnika gier planszowych, który – wraz ze wzrostem doświadczenia – szuka dla siebie pozycji coraz trudniejszych, coraz bardziej skomplikowanych. Z tej perspektywy gry IPN, jakkolwiek dobrze zaprojektowane, jawiły mi się jako nieco zbyt proste. Ot, przerywnik – uzupełnienie planszówkowych wieczorów z poważniejszymi, bardziej wymagającymi tytułami. Od pewnego czasu zyskałem jednak perspektywę zupełnie nową. Przyszło mi bowiem pracować z grami autorstwa Karola Madaja i Tomasza Gintera, wykorzystując je jako narzędzie edukacyjne w projektach realizowanych przez Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. W tej roli sprawdzają się one wręcz doskonale.

Obronić stolicę

Wypada opisać pokrótce system, stanowiący wspólny mianownik całej trylogii. W *303* i *111* obaj gracze przesuwają na heksagonalnej planszy siły powietrzne będące pod ich dowództwem. Jeden dowodzi samolotami Luftwaffe (bombowce w myśliwskiej eskorcie messerschmittów), zamierzającymi zbombardować – odpowiednio – Londyn i Warszawę. Drugi gracz bierze zaś na siebie ciężar obrony stolicy, w *303* kierując dywizjonami słynnych spitfire'ów, a w *111* dowodząc polskimi eskadrami Brygady Pościgowej, wyposażonymi w PZL P.11c. Intelektualne wyzwanie dla graczy zostało zawarte w zasadach ruchu i strzału samolotów. O skuteczności prowadzonego ognia decydują specjalne kostki sześciościenne (z symbolami niemieckimi i polskimi/alianckimi). Można strzelać tylko do sąsiadujących żetonów przeciwnika, maksymalnie z siłą trzech kości. Ta siła strzału jest jednak odwrotnie proporcjonalna do liczby pól przebytych w danej kolejce przez samolot. Im dalej poruszy się dany żeton, tym mniej kostek zostaje do dyspozycji. Aby zestrzelić samolot, potrzeba dwóch trafień, czyli takiej sytuacji, w której sukcesy (własne znaki) wypadają na dwóch kostkach. Pojedyncze trafienie oznacza zaledwie uszkodzenie, możliwe do naprawy na lotniskach. Ta bardzo prosta zależność między ruchem a siłą strzału decyduje o sporej atrakcyjności rozgrywki – intuicyjnej, prostej do zapamiętania, lecz generującej jednocześnie wiele dylematów taktycznych. Latać indywidualnie czy w formacjach kilku żetonów obok siebie? A jeśli w formacji, to w jakim kształcie? O ile pól się poruszyć, aby – nie wystawiając maszyny na silny ogień przeciwnika – samemu ostrzelać go jak największą liczbą kości? Oto dylematy graczy w *303* i *111*. Dodajmy do tego jeszcze zasadę nakazującą przesunięcie się na pole za ostrzelanym właśnie samolotem, konieczność osłaniania przez Luftwaffe bombowców (wolniejszych, słabiej strzelających), limit ośmiu kolejek na doprowadzenie wyprawy bombowej nad Londyn/Warszawę, a w *111* jeszcze żetony chmur (umoż-

HISTORIA NA PLANSZY

liwiają ukrycie się) i artylerię przeciwlotniczą – i dostajemy naprawdę sprytnie pomyślaną, prostą grę, wzbudzającą wiele emocji w trakcie półgodzinnej rozgrywki.

Powstrzymać Konarmię

Najnowsza w serii „siódemka" twórczo rozwija opisany system, pokazując tkwiące w nim rezerwy. Oto tym razem przeciwnikiem gracza polskiego, dowodzącego eskadrą myśliwskich dwupłatów, będą nie flota powietrzna przeciwnika, lecz... siły lądowe, a konkretnie pułki osławionej 1. Armii Konnej Siemiona Budionnego, kierujące się na Lwów w sierpniu 1920 roku. Polskie aeroplany starają się maksymalnie opóźnić natarcie Konarmii, atakując i rozpraszając pułki czerwonej kawalerii. Ta nie jest bezbronna – kosztem jednego punktu ruchu (z dwóch) może ostrzelać atakujące samoloty. To jednak oznacza wolniejsze natarcie, a bolszewikom zależy przecież na jak najszybszym zdobyciu Lwowa. Mają na to osiem tur, a po drodze czeka ich jeszcze trudna przeprawa przez Bug, kanalizująca ruch oddziałów. Znów mamy heksagonalną planszę i kostki rozstrzygające wynik starcia, za to w wariancie zaawansowanym pojawia się nowość w serii – czynnik blefu i dedukcji. W jednym z dziesięciu pułków przebywa ukryty sztab Budionnego. Trafienie go osłabia spójność Konarmii i umożliwia Polakom od tego momentu niszczenie (zdejmowanie z planszy), a nie tylko rozpraszanie żetonów kawalerii.

Charakterystyczną cechą serii kościuszkowskiej jest ciekawe powiązanie historycznych aspektów starć z mechaniką, nawet mimo zastosowania rozwiązań abstrakcyjnych. Przykładowo: w prosty sposób zostały oddane właściwości sprzętu. Polskie P.11c poruszają się wolniej i są słabiej uzbrojone (tylko dwa pola, a więc i dwie kostki) od niemieckich Bf 109 czy brytyjskich spitfire'ów (trzy pola/kostki). Istotna, zwłaszcza w kontekście przebiegu Bitwy o Anglię, jest kwestia ograniczonego zapasu paliwa niemieckich samolotów. W „siódemce" podkreślono z kolei awaryjność dwupłatowych aeroplanów. Oddano również naturę Konarmii, formacji błyskawicznie poruszającej się w ofensywie, ale też podatnej na rozproszenie i dezorganizację.

O dużej wartości edukacyjnej decyduje również świetnie przygotowana instrukcja, a właściwie cała książeczka dołączona do każdej z gier, w której opis zasad jest zaledwie jedną z części składowych. Książeczka stanowi zwięzłą pigułkę edukacyjną, przybliżającą wydarzenia zaprezentowane w grze. Znajdziemy więc w niej krótką historię bitew i jednostek, opis sprzętu z najważniejszymi danymi, statystykę strat i zestrzeleń, a także – co najciekawsze – biogramy bohaterów, wraz z ich wspomnieniami jako tekstem źródłowym.

Zabawa i nauka

Dzięki uprzejmości autorów gier i dyrektora Biura Edukacji Publicznej IPN, Andrzeja Zawistowskiego, w Muzeum II Wojny Światowej możemy się cieszyć wielkoformatowymi egzemplarzami *303* i *111*. Intensywnie wykorzystywane w ramach stref edukacyjnych organizowanych przez Muzeum przy okazji różnego rodzaju wydarzeń i imprez, spotykają się z ogromnym zainteresowaniem. To właśnie w takich sytuacjach ujawniają się zalety systemu: prostota, przystępność, jawność wszelkich informacji w trakcie rozgrywki i jej krótki czas. Każdy, kogo w naszej strefie zainteresuje *111* czy *303*, bardzo szybko może przyswoić zasady, grać świadomie o zwycięstwo i po prostu dobrze się bawić. Oczywiście, sama rozgrywka to zaledwie sprytny pretekst do tego, aby prowadzący grę edukator przemycał graczom (i kibicom – bo ci zawsze licznie gromadzą się wokół plansz) kolejne porcje wiedzy. Najmłodszym z ła-

Fot. Piotr Wiejak

Fot. Piotr Wiejak

twością tłumaczy się kwestie podstawowe, odwołując się do wizualizacji na planszy. Z kolei starsi chętnie dają się wciągnąć w dyskusję o wrześniu 1939 roku i polskim wysiłku wojennym na Zachodzie. Rozmowa często zmierza w stronę problematyki bombardowań, zniszczeń miejskich czy wrześniowych mitów. Zresztą jeden z nich – ten o zdziesiątkowaniu polskiego lotnictwa na ziemi w pierwszym dniu wojny – *111* skutecznie obala swoją tematyką walk powietrznych nad Warszawą. To także duża zaleta gier serii, że z racji nieskomplikowania umożliwiają dodatkową interakcję z edukatorem w trakcie rozgrywki.

Oprócz wersji wielkoformatowych wykorzystujemy w muzeum również normalne, pudełkowe wersje, choćby w ramach realizowanych warsztatów dla młodzieży, uczących projektowania planszowych gier historycznych. Seria kościuszkowska IPN jest prezentowana uczestnikom warsztatów jako swoisty wzór gry prostej, ale też ciekawej i ze świetnie przygotowaną pomocą historyczną (wspomniana książeczka). W trakcie warsztatów młodzież poznaje współczesne planszówki, zagłębia się w ich mechanikę, by następnie już razem, w grupach, tworzyć własne wariacje, oczywiście na temat wydarzeń z polskiej historii.

Jestem wielkim zwolennikiem wykorzystania gier planszowych w edukacji. Planszówki rozwijają liczne umiejętności (zarówno społeczne, jak i matematyczne), a coraz częściej – zwłaszcza produkcje polskie – prezentują na planszy także wydarzenia i procesy historyczne. Wykorzystując mechanizm popularnej we współczesnym świecie „grywalizacji", uczą przez zabawę. Najłatwiej o to, rzecz jasna, w ramach szkolnych kółek zainteresowań albo osobnych projektów, realizowanych przez instytucje edukacji pozaszkolnej, jak IPN czy Muzeum II Wojny Światowej. Krótki czas rozgrywki i przystępność zasad predestynują jednak serię kościuszkowską do wykorzystania także podczas normalnych lekcji. Nie musi to polegać wyłącznie na graniu. Młodzież może pracować z tekstem książeczki, wyszukując konkretnych informacji, odnajdując powiązania mechaniki z historią, wynotowując wszystkie aspekty edukacyjne zawarte w pudełku czy pracując z tekstami źródłowymi. Można zajęcia wzbogacić prezentacją multimedialną i kartą pracy dla uczniów, tak jak to ma miejsce w muzealnym projekcie „Historia na planszy: Alarm dla miasta!". Interesującym wyzwaniem może być próba stworzenia na użytek wewnątrzszkolny wariacji *303*/*111* na podstawie walk słynnego „cyrku Skalskiego" w Afryce Północnej. O tyle ważna, że przez pryzmat losów Stanisława Skalskiego (wrzesień '39, migracja, powrót do Polski, prześladowania) można bardzo przejrzyście zaprezentować uczniom trudne wojenne i powojenne dzieje Polaków. Zresztą wcale nie trzeba się ograniczać do wydarzeń drugowojennych. Skoro autorom udało się w „siódemce" przełożyć mechanikę systemu także na działania lądowe, warto eksperymentować. Kampania Władysława Jagiełły przeciwko zakonowi krzyżackiemu? Czemu nie! A może potop szwedzki albo Powstanie Listopadowe? Warto próbować, bo dla uczniów tworzenie takiej gry będzie ciekawą, pouczającą przygodą.

Entuzjastycznie wypowiadam się o planszowej trylogii IPN, ale dyskutować z faktami zwyczajnie nie sposób: gry *303. Bitwa o Wielką Brytanię*, *111. Alarm dla Warszawy* oraz *7. W obronie Lwowa* stanowią doskonałe narzędzie pracy dla edukatora czy nauczyciela. Cechy, które być może nie każdemu planszówkowiczowi przypadną do gustu (prostota, krótki czas trwania rozgrywki, asymetria stron), przesądzają o dopasowaniu tych gier do potrzeb edukacyjnych. O czym, mam wielką nadzieję, postanowi się wkrótce przekonać osobiście wielu czytelników „Pamięci.pl".

dr Bartosz Odorowicz – pracownik Działu Edukacyjnego w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, członek redakcji GamesFanatic.pl, serwisu internetowego poświęconego grom planszowym

„Za to, że byli Polakami…”

Sylwia Krzyżanowska, Wojciech Trębacz

Fot. Przemysław Skrzek

Finał „Kamieni pamięci” poświęconych niepokornym nauczycielom historii; Warszawa, czerwiec 2013 roku

Ofiary komunistycznych zbrodni sądowych, których miejsca pochówku miały pozostać tajne – to bohaterowie tegorocznej, siódmej już, edycji projektu edukacyjnego „Kamienie pamięci”.

Chcemy zachęcić uczestników – uczniów, harcerzy, członków kół naukowych, grup rekonstrukcyjnych lub kół kombatantów oraz indywidualnych pasjonatów historii najnowszej – do odszukania i upamiętnienia bohaterów, którzy za działalność, postawę i walkę o wyznawane wartości złożyli najwyższą ofiarę – ofiarę życia. Ich nazwiska komunistyczna propaganda chciała wymazać z pamięci przyszłych pokoleń, zacierając ślady zbrodni m.in. przez utajnianie miejsc pochówku.

Zasadą „Kamieni pamięci” jest wskazanie konkretnych osób i upamiętnienie ich. Każdej z postaci, podobnie jak w poprzednich edycjach, zostanie poświęcony wirtualny kamień na mapie przygotowanej na stronie www.pamiec.pl/kamienie_pamieci.

Uczestnicy wybierają postać:

- która za działalność, postawę i walkę o wyznawane wartości została przez totalitarny reżim pozbawiona życia;
- której szczątki pochowano w jednym z nieoznaczonych miejsc na terenie całego kraju;
- która nie została zapisana w zbiorowej pamięci, a na to zasługuje.

Kolejny etap to opracowanie portfolio tej osoby, upowszechnienie wiedzy o niej, zgłoszenie projektu upamiętnienia postaci

lokalnym władzom samorządowym. Następnie należy przesłać organizatorom projektu materiały na stronę internetową i raport końcowy ze wskazaniem wykorzystanych źródeł. Mamy nadzieję, że rezultatem projektu będzie uhonorowanie bohaterów oraz upowszechnienie wiedzy o nich w artykułach, filmach, na stronach internetowych, wystawach bądź tablicach pamiątkowych.

Biuro Edukacji Publicznej IPN i jego oddziały regionalne pomogą uczestnikom projektu w:

- merytorycznej ocenie zgromadzonego materiału i odnalezieniu dodatkowych informacji;
- eksponowaniu prac projektowych na naszej stronie internetowej;
- tworzeniu i dostarczaniu materiałów pomocniczych.

Każdy uczestnik projektu otrzyma dyplom poświadczający udział w akcji upamiętniania bohaterów, których za działalność, postawę i walkę o wyznawane wartości reżim totalitarny pozbawił życia, oraz kamienną statuetkę.

Do tej pory odbyło się sześć edycji projektu, każdy z innym podtytułem: „Znajdź Bohatera Września ’39”; „Sierpień ’80”; „Historie Żołnierzy Wyklętych”; „Nauczyciele historii prawdziwej; „Żołnierze Burzy ’44” oraz „Z modlitwą Ojczyźnie”. Ostatnia, szósta edycja była pod wieloma względami wyjątkowa. Wzięła w niej udział rekordowa liczba grup projektowych (89), nie tylko szkolnych. Po raz pierwszy program był koordynowany nie przez centralę IPN, lecz przez jedno z oddziałowych biur edukacji publicznej – białostockie.

Koordynacja i organizacja siódmej edycji nieprzypadkowo jest zaszczytnym zadaniem Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN we Wrocławiu. Jeszcze zanim w warszawskiej kwaterze „Ł” ruszyły poszukiwania miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego, podobne prace były prowadzone na wrocławskim cmentarzu Osobowickim. Ich kierownikiem był od początku dr hab. Krzysztof Szwagrzyk. Tytuł obecnej edycji projektu również ma bezpośredni związek z Wrocławiem. Jest to parafraza słów zapisanych na kartce zostawionej w butelce znalezionej przy szczątkach Mieczysława Bujaka, żołnierza Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Rodzina doprowadziła, tuż po śmierci ukochanego syna i brata, do pierwszej potajemnej ekshumacji. Siostra napisała kartę ze słowami o bracie i umieściła ją w zalakowanej butelce. Ostatnie zdanie brzmiało: „Aresztowany dnia 10 września 1950 r. w czasie powrotu z poligonu i rozstrzelany dnia 30 sierpnia 1951 r. za to, że był Polakiem”. Butelka ta została odnaleziona w jamie grobowej podczas wrocławskich prac ekshumacyjnych w 2006 roku.

Fot. Piotr Życieński

Mottem tegorocznej edycji projektu są słowa Cycerona: *Cum tacent, clamant* („Milcząc, wołają”), jakże wymowne wobec działań podjętych przez stalinowski reżim w celu wymazania losów bohaterów z pamięci potomnych. Słowa te stały się także tytułem wystawy Instytutu Pamięci Narodowej, która pokazuje fotografie Piotra Życieńskiego, dokumentujące poszukiwania szczątków ofiar systemu komunistycznego, prowadzonych przez IPN w kwaterze „Ł” na warszawskich Powązkach w latach 2012 i 2013. Była to część projektu „Poszukiwania nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956”. Na poświęconej mu stronie www.poszukiwania.ipn.gov.pl czytamy: „W latach 1944–1956 wskutek terroru komunistycznego w Polsce śmierć poniosło ponad pięćdziesiąt tysięcy osób, straconych na mocy wyroków sądowych, zamordowanych i zmarłych w siedzibach Urzędów Bezpieczeństwa i Informacji Wojskowej, więzieniach i obozach, zabitych w walce lub w trakcie działań pacyfikacyjnych. Znaczną część ofiar stanowili członkowie antykomunistycznego ruchu oporu, kontynuujący walkę zbrojną do początku lat pięćdziesiątych. Ich ciała grzebano w utajnionych i w większości nieznanych do dziś miejscach: na i w pobliżu cmentarzy, w pobliżu siedzib aparatu bezpieczeństwa, w lasach i na poligonach wojskowych. Niektóre przekazywano także do zakładów anatomii. Dla szybszego zatarcia śladów stosowano niekiedy środki chemiczne przyspieszające rozkład szczątków. Do lat osiemdziesiątych włącznie zlikwidowano prawie wszystkie kwatery ze szczątkami więźniów okresu stalinowskiego”.

Istotą projektu poszukiwań jest odnalezienie i identyfikacja ofiar komunizmu, które miały na zawsze pozostać nieznane i zapomniane. Mamy nadzieję, że tegoroczne „Kamienie… ” przyczynią się do przywrócenia pamięci o niektórych z nich.

Sylwia Krzyżanowska, Wojciech Trębacz
– pracownicy Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN we Wrocławiu

KALENDARIUM PROJEKTU

Termin nadsyłania zgłoszeń: **30 stycznia 2016 roku**
Termin wykonania zadań oraz przesłania wymaganej dokumentacji: **31 marca 2016 roku**
Finał projektu we Wrocławiu: **maj 2016 roku**
Szczegółowe informacje i materiały dla uczestników do pobrania ze strony: **www.pamiec.pl/kamienie_pamieci**
Kontakt: **Sylwia Krzyżanowska** (tel. 71 326 97 37, e-mail: sylwia.krzyzanowska@ipn.gov.pl),
Wojciech Trębacz (tel. 71 326 97 35, e-mail: wojciech.trebacz@ipn.gov.pl)

Zapalmy światło wolności

Po ogłoszeniu w Polsce stanu wojennego symbolem solidarności z Polakami stała się świeca zapalona w oknie Białego Domu przez Ronalda Reagana i w oknie Pałacu Apostolskiego przez Jana Pawła II. Dziś przez taki sam gest możemy pokazać, że pamiętamy o ofiarach reżimu Jaruzelskiego.

W 34. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego Polacy w kraju i za granicą, którym drogie są ideały wolności, demokracji i prawdy, postawią w oknach symboliczne świece. IPN zaapelował do ważnych osobistości świata polityki i kultury, a także przedstawicieli Kościoła o dołączenie do akcji. Światło Wolności, tak jak we wcześniejszych odsłonach akcji (zorganizowanej po raz pierwszy w 2012 roku), będzie można zapalić również wirtualnie na stronach Instytutu Pamięci Narodowej.

Akcji „Zapal Światło Wolności" będą towarzyszyć liczne atrakcje: historyczne przeglądy filmowe, koncerty, konkursy oraz wystawy. Dzięki specjalnie przygotowanym przez pracowników Biura Edukacji Publicznej IPN materiałom edukacyjnym, które pojawią się na stronie www.pamiec.pl, w szkołach zostaną zrealizowane rocznicowe lekcje. Na tej samej stronie można znaleźć szczegółowe informacje o programie obchodów w całym kraju.

Ulicami stolicy w niedzielę 13 grudnia – tak jak rok i dwa lata temu – przejedzie zabytkowy ikarus linii 13XII. Przewodnikami po miejscach związanych ze stanem wojennym będą najwybitniejsi historycy zajmujący się dziejami najnowszymi. Na pokładzie będzie można również wspólnie śpiewać – wraz z Piotrem Kajetanem Matczukiem – piosenki opozycyjne. Podróżni zetkną się ponadto z grupą rekonstrukcyjną, która zainscenizuje sytuacje rodem z wczesnych lat osiemdziesiątych. Autobus przejedzie przez pl. Zamkowy, gdzie pasażerowie będą mogli wziąć udział w uroczystym otwarciu plenerowej wystawy IPN, poświęconej ofiarom stanu wojennego.

Ostatnim kursem autobusu linii 13XII będzie można dojechać do Centrum Edukacyjnego im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia" przy ul. Marszałkowskiej 21/25. Tam o 19.30 rozpocznie się koncert Wojciecha Wysockiego z zespołem „Piramidy". Muzycy przeprowadzą widzów przez wydarzenia historyczne, w czasie których uniwersalne wartości humanistyczne, takie jak pokój, wolność, demokracja i prawa człowieka, były zagrożone – przedstawią historię od wybuchu II wojny światowej, przez czasy żelaznej kurtyny, Okrągłego Stołu, aż po ataki terrorystyczne na World Trade Center i wybuch wojny na Ukrainie. Wśród tekstów znajdą się wiersze autorstwa Stanisława Barańczaka, Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta. Wstęp jest wolny.

Wszystkich zainteresowanych zapraszamy także do facebookowej Strefy Edukacyjnej IPN, gdzie przez cały dzień będzie można wziąć udział w quizach i konkursach z atrakcyjnymi nagrodami. Do niniejszego numeru miesięcznika „Pamięć.pl" dołączamy nalepkę i plakat promujący naszą akcję. Włączcie się i zapalcie z nami Światło Wolności!

Anna Brojer – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN

Ludzkie historie w nieludzkich czasach

Konrad Rokicki

„Boże! Tyleśmy przeżyły, a nie ma komu opowiedzieć” – stwierdza jedna z rozmówczyń Swietłany Aleksijewicz w jej najnowszej książce *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka*. A właśnie białoruska pisarka – laureatka tegorocznej literackiej Nagrody Nobla – jest tym człowiekiem, który umie słuchać, chce słuchać i przekazuje opowieść dalej.

Obok twórczości Swietłany Aleksijewicz nie da się przejść obojętnie (teraz to już nawet nie wypada – w końcu noblistka!). Jej książki to kolaże z relacji świadków historii, relacje osobiste, emocjonalne, indywidualne bądź zbiorowe. Ich cechą wspólną – i największą wartością – jest zupełnie inne spojrzenie na opisywane wydarzenia niż to, które zdominowało nurt historii politycznej. Przykładem, który notabene zrobił na mnie największe wrażenie, może być książka *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* (napisana w 1983 roku), w której autorka przedstawiła relacje weteranek Armii Czerwonej, tak różniące się od męskiego postrzegania wojny i zarazem jej oficjalnego obrazu, w którym ważne są bitwy, armie, bohaterskie czyny i ordery. Każda książka Aleksijewicz porusza wielkie tematy: historie sierot wojennych, reakcje ludzi i władz na katastrofę w Czarnobylu, radziecką interwencję w Afganistanie. Jednak porusza w kontrze do historii oficjalnej, „urzędowej”, którą w szkołach przedstawia się dzieciom, czci na akademiach i podczas państwowych rocznic. Są to zawsze dziesiątki ludzkich opowieści o nieludzkim systemie, o nieludzkich czasach. „Pani jest inżynierem ludzkich dusz. Chce mnie pani pocieszyć? U nas pisarz to więcej niż pisarz. To nauczyciel. Spowiednik” – odwołuje się do tradycyjnych ról społecznych pisarza w Związku Radzieckim jedna z rozmówczyń Swietłany Aleksijewicz. Ale reportażystka nie leczy traum, rzadko komentuje wypowiedzi świadków, opatruje je tylko minimalistycznymi informacjami. Imię, nazwisko, wiek, zawód, miejsce zamieszkania rozmówcy. Wszystko. Reszta jest w relacji.

Również w *Czasach secondhand* – najważniejsi są tu człowiek i jego opowieść. Tym razem w okresie rozpadu ZSRR. Runęło imperium, najlepszy ze światów – jak wmawiała pokoleniom władza sowiecka – a na jego gruzach rodzi się drapieżny kapitalizm, na który mało kto był przygotowany. Na pewno nie „sowek” – człowiek ukształtowany przez komunistyczną propagandę, warunki materialne i system wartości, w którym posiadanie dóbr i obrót nimi nie były w cenie; człowiek wierzący w to, że żyje w państwie równości, jakiej nie ma nigdzie

Fot. East News/Jan Graczyński

indziej na świecie, i w mocarstwie, które walczy o tę równość na całym globie; państwie niepokonanym nawet przez faszyzm.

Tymczasem to państwo upada! Nadszedł czas zmian – z jednej strony przede wszystkim bogacenia się jednych, bardziej przedsiębiorczych lub po prostu uprzywilejowanych dzięki osobistym znajomościom, z drugiej zaś ubożenia innych, czasem idealistów, a w ogromnej większości obywateli mniej światłych i mniej zaradnych życiowo (w dużej mierze nie z własnej winy). Z dnia na dzień zmieniły się system wartości i hierarchia społeczna, a o miejscu w niej zaczęły decydować nie wykształcenie, zawód, wypracowany autorytet, dyplomy nadane przez partię albo zakład pracy – lecz pieniądze. Pieniądze, których już nikt nie daje, lecz o które trzeba walczyć. Władza nie mówi już, jak żyć i co myśleć (choć oczywiście są tacy, którzy mówią – tylko nie wiadomo, komu wierzyć).

To jednak tylko jeden z wątków poruszanych w *Czasach secondhand*. Bo mamy i rozpad państwa, i doświadczenie wojen etnicznych, wypędzeń i migracji. Rodzącej się rosyjskiej demokracji i zawodu, który przyniosła jej zwolennikom. Jest i zderzenie światów – konsumpcyjnego zachodu z „szeroką rosyjską duszą". I ogromna miejscami tęsknota za tym, co było: „Może i to było więzienie, ale ja w tym więzieniu czułam się lepiej. Tak byliśmy przyzwyczajeni… Do tej pory w kolejce stoimy bardzo blisko, jeden tuż za drugim, żeby być razem. Zauważyła pani?".

Dla historyka rarytasem będą na pewno relacje dotyczące pamięci – czy też może raczej świadomości – historycznej. Z jednej strony mamy ludzi, dla których ZSRR zawsze będzie ojczyzną, niemal rajem utraconym albo po prostu zmarnotrawionym mocarstwem, z drugiej tych, którzy odkrywają także jego ciemną historię. „Niech pani zapyta… – kusi jedna z rozmówczyń Swietłany Aleksijewicz. – Powinna pani zapytać, jak to się dało połączyć: nasze szczęście i to, że po kogoś przychodzili w nocy, kogoś zabierali? Ktoś znikał, ktoś szlochał pod drzwiami. Ja tego jakoś nie pamiętam. Nie pamiętam! Pamiętam za to, że wiosną kwitły bzy, pamiętam tłumy spacerujących ludzi, drewniane chodniki, które ogrzało słońce. Zapach słońca. Olśniewające parady gimnastyków, splecione z żywych ciał i kwiatów nazwiska na placu Czerwonym: Lenin – Stalin".

Nie wiem, czy Aleksijewicz musiała o to pytać. W jej książkach rzadko występuje forma wywiadu. Najczęściej ludzie sami czuli potrzebę mówienia o tym, co dla nich najważniejsze. Wielu z nich po raz pierwszy miało okazję podzielić się swym bólem po stracie bliskich, wątpliwościami co do sensu ofiary, krzywdą, która ich spotkała, opowiedzieć o swoim ciężkim życiu, niesprawiedliwościach społecznych w „najsprawiedliwszym z państw" – jak przedstawiano Związek Radziecki. (Niektórzy przestraszyli się później własnych słów. Na przykład po publikacji *Cynkowych chłopców* – opowieści o ofiarach i weteranach wojny w Afganistanie – kilkoro rozmówców wytoczyło autorce proces, żądając sprostowań lub… wypłaty honorarium). Dzięki relacjom poznajemy warunki życia obywateli ZSRR, ich aspiracje, ich widzenie świata, tak mocno ukształtowane przez propagandę i wychowanie. Mechanizmy systemu zostają odsłonięte tylko nieznacznie. Korupcja urzędników, kradzieże mienia społecznego, prymat partii nad wszelkimi dziedzinami zycia, kłamstwa propagandy itd. W żadnej książce Aleksijewicz nie ma wielkiej polityki, historia też dzieje się jakby na marginesie, jest pretekstem do rozmowy. Najistotniejszy jest los człowieka.

Dla odbiorcy z zachodniego kręgu cywilizacyjnego historie zebrane przez pisarkę są trudne w odbiorze, często wręcz niewyobrażalne w swym okrucieństwie, bo i wartość ludzkiego życia inaczej się mierzyło w „imperium zła".

„Człowiek – to brzmi dumnie"? Mimo wszystko Aleksijewicz udowadnia, że tak… Chociaż w Związku Sowieckim na pewno było to trudniejsze.

dr Konrad Rokicki – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie

Tajemnice archidiecezji wileńskiej

Ks. Tadeusz Krahel, *Archidiecezja wileńska w latach II wojny światowej. Studia i szkice*, IPN, Białystok 2014, 320 s.

***„Nie umieram bohatersko, ale żyję w pracy i trudzie". Listy ks. Stanisława Żuka z lat 1944–1983. Wybór źródeł*, wstęp, wybór i oprac. E. Chrzanowska, ks. A. Szot, IPN, Białystok 2014, 760 s.**

Przez wiele powojennych lat Wileńszczyzna, jak całe Kresy Wschodnie, była tematem tabu. Owszem, po 1989 roku – po odzyskaniu przez Polskę, Litwę, a potem Białoruś niepodległości – sytuacja się zmieniła, ale ciągle były inne, bieżące zadania i wiele wycinków niezwykle ciekawej, choć skomplikowanej historii tych ziem wciąż czeka na zbadanie i opisanie. Jednym z takich zagadnień jest życie religijne, zwłaszcza to z okresu II wojny światowej i po jej zakończeniu. Na przykład, co wiemy na temat pomocy udzielanej przez ludzi Kościoła ukrywającym się i prześladowanym Żydom? Ogólnikowo sporo, gorzej ze szczegółami, czyli np. relacjami świadków. Spośród kapłanów archidiecezji wileńskiej lub zakonników pracujących na tym terenie zaledwie trzech zostało odznaczonych przez Instytut Yad Vashem medalami „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata". Czy wobec tego pomoc udzielana Żydom przez duchownych na terenie ogromnej archidiecezji wileńskiej, sięgającej od Białegostoku i Grodna, przez Wilno aż po granice z Łotwą i stolicę Białorusi Mińsk, była tak skromna? Odpowiedzi udziela w swojej nowej publikacji ks. prof. Tadeusz Krahel, opisujący kilkadziesiąt przypadków zaangażowania, ryzykowania życia, a nade wszystko systematycznej, wieloletniej pomocy udzielanej licznym osobom narodowości żydowskiej. Różne były jej formy: udzielanie schronienia, zapewnianie pobytu u zaufanych osób, masowe wystawianie metryk chrztu ukrywającym się Żydom. Całą akcję koordynował metropolita wileński, abp Romuald Jałbrzykowski, przez wielu uważany za zwolennika przedwojennej narodowej demokracji. Należy dodać, że przynajmniej kilku kapłanów Niemcy zamordowali właśnie za taką pomoc.

Archidiecezja wileńska już przed wojną była niezwykle skomplikowanym organizmem. Największa terytorialnie jednostka administracyjna Kościoła katolickiego w Polsce, wielowyznaniowy i wielonarodowy skład ludności na tym terenie, wreszcie, z wyjątkiem Łotwy, sąsiedzi nieprzyjaźnie nastawieni do Polski. Poskutkowało to tragicznie w czasie II wojny światowej. Polscy katolicy musieli stawiać opór nie tylko jawnym agresorom – Niemcom i Związkowi Sowieckiemu – lecz także Republice Litewskiej i samym Litwinom, narodowcom białoruskim, komunistom, często narodowości białoruskiej i żydowskiej, partyzantce sowieckiej, a także współpracującym z Niemcami oddziałom rosyjskich własowców, litewskim i białoruskim oddziałom policji i innych formacji (przy tym, to trzeba wyraźnie podkreślić, część ludności żydowskiej czy białoruskiej była spolonizowana i lojalna wobec Polski). Zarówno kler, jak i osoby świeckie związane z Kościołem padały ofiarą każdej z wymienionych stron konfliktu, przy czym im bliżej końca wojny i im bardziej stawało się oczywiste, że Wileńszczyzna znajdzie się poza granicami Polski, tym tragiczniejsze były te losy. Trzeba dodać, że na skutek ataku Rzeszy na Związek Sowiecki w 1941 roku i klęsk Armii Czerwonej na zdobywanych przez Niemców terenach wschodniej Białorusi powstała dla Kościoła nowa sytuacja – odradzanie zniszczonych struktur i gwałtowna potrzeba wysyłania tam duchownych. Była to samodzielna inicjatywa tamtejszej ludności, która przez kilkanaście lat sowieckich prześladowań ukrywałs monstrancje, kielichy, chorągwie kościelne z pozamykanych świątyń. Arcybiskup Jałbrzykowski rychło uzyskał jurysdykcję apostolską na administrowanie tamtejszymi terenami. Już jednak po kilku miesiącach na przybyłych misjonarzy spadły represje, zazwyczaj aresztowania i śmierć, wywołane głównie przez zaniepokojonych rozwojem sytuacji białoruskich narodowców i duchownych prawosławnych, współpracujących z Niemcami.

Dobrze, że archidiecezja wileńska ma w ks. prof. Tadeuszu Krahelu historyka, który od lat, mimo różnych przeszkód, bada ten temat, wciąż poszukując nowych źródeł (bezcenne są zebrane przez niego liczne relacje świadków wydarzeń). Jednocześnie ks. Krahel przyznaje, że jego *Archidiecezja wileńska w latach II wojny światowej* to tylko studia i szkice, nie całościowa monografia, bo do napisania takowej potrzebne są dalsze badania. Warto dodać, że publikacja została wzbogacona ciekawymi fotografiami i mapami, które znacznie ułatwiają poruszanie się po tym ciągle zbyt słabo znanym terenie.

Losów powojennego Kościoła na Białorusi i Litwie dotyczy też kolejna publikacja białostockiego IPN – wybór 242 listów ks. Stanisława Żuka, proboszcza z Kościeniewicz w latach 1946–1983. Ten obszerny zbiór korespondencji po raz kolejny pokazuje, że wciąż możemy pozyskiwać źródła, choć upłynęły lata od wydarzeń, których dotyczą. Są tu szczegółowe opisy, daty, emocje wiążące się życiem religijnym, ale też sytuacją polityczną; jest też swoista kronika Kościoła katolickiego tej części dawnej Wileńszczyzny. Dochodzi do tego bardzo staranna praca redaktorów wydania, a zatem obszerne przypisy, indeksy, fotografie i szczegółowe biogramy osób, z którymi wymieniał swe listy proboszcz z Kościeniewicz.

Dobrze, że białostocki IPN i badacze związani z Wileńszczyzną nie zapominają o dziedzictwie tego regionu, mimo zmienionej sytuacji politycznej, innego kształtu granic i wszelkich trudności związanych z prowadzeniem poszukiwań.

Adam Hlebowicz

Getto okiem nastolatka

Na rynku ukazała się nowa edycja *Dziennika* Dawida Sierakowiaka, uznawanego za jednego z najważniejszych świadków Zagłady. Po raz pierwszy w polskim wydaniu zebrano wszystkie zapiski sporządzone przez tego wnikliwego obserwatora życia w getcie łódzkim. Przyjęta przez redaktorów metoda edycji budzi jednak wiele wątpliwości, które skłaniają do pytań o celowość wydania *Dziennika*, a przede wszystkim jego przydatność dla badaczy tematu.

Wśród tekstów ocalałych z Zagłady dzienniki autorstwa dzieci i nastolatków są grupą szczególną. Pisarz Henryk Grynberg twierdził, że najmłodsi to najbardziej wiarygodni świadkowie Holokaustu. *Dziennik* Dawida Sierakowiaka wpisuje się w kanon dziecięcych świadectw tamtego czasu – obok zapisków Anny Frank, Mary Berg czy Dawida Rubinowicza.

Urodzony w 1924 roku Sierakowiak rozpoczął pisanie jeszcze przed wybuchem wojny – w końcu czerwca 1939 roku. Na kolejnych kartach zeszytów przedstawiał wrażenia z obozu letniego, atmosferę ostatnich dni pokoju, a po wybuchu wojny – kolejne etapy niemieckiej polityki antyżydowskiej, codzienność w getcie i walkę z głodem. W zeszytach nie brakuje przemyśleń na temat kondycji człowieka w skrajnej sytuacji getta, opisów czytanej przez chłopca literatury czy odniesień do spraw politycznych – Dawid był bowiem zaangażowany w działalność młodzieżowej organizacji lewicowej. Notatki prowadził do połowy kwietnia 1943 roku. Niespełna cztery miesiące później – 8 sierpnia – dziewiętnastoletni wówczas chłopak zmarł na gruźlicę.

Lektura tekstu potwierdza niezwykły dar obserwacji nastoletniego autora oraz jego wyjątkową wrażliwość. Dawid sugestywnie oddaje atmosferę niepokoju pierwszych miesięcy wojny i stosunku miejscowej ludności oraz władz niemieckich do Żydów. Opisuje próby zorganizowania w miarę normalnego życia w anormalnej sytuacji getta: aktywność w szkole, działalność w organizacji młodzieżowej oraz dramatyczną sytuację człowieka coraz dotkliwiej odczuwającego głód. Wyraźnie krytycznie wypowiada się na temat uprzywilejowanej sytuacji najwyższych warstw ludności getta. Spragniony informacji z zewnątrz, skrupulatnie odnotowuje wszystkie wieści o sytuacji na frontach, pochodzące z prasy nielegalnie docierającej do getta i tajnych nasłuchów radiowych.

Opisywana na kartach zeszytów coraz trudniejsza sytuacja materialna, w której znalazła się rodzina Sierakowiaków, pozwala dostrzec głównego bohatera zapisków, czyli żywność. Dawid skrupulatnie odnotowuje każdy przydział produktów, opisując kondycję zdrowotną i psychiczną członków rodziny. Żywność staje się przyczyną narastającego konfliktu wewnątrz rodziny. Chłopiec, nie potrafiąc przeciwstawić się ojcu podkradającemu jedzenie, przelewa swoją złość na karty *Dziennika*. Deportacja matki z getta pogłębia dramatyczną sytuację, która doprowadza do rozpadu więzi rodzinnych w domu Sierakowiaków.

Zapiski młodego Dawida cudem przetrwały lata okupacji. Pięć zeszytów zostało odnalezionych na terenie byłego getta w latach tużpowojennych. Dwa z nich trafiły do Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, który w latach 1958–1959 opublikował je w częściach na łamach „Biuletynu ŻIH", zaopatrując tekst w aparat naukowy. Praca ta stała się podstawą popularnego wydania z roku 1960, które przez ponad pół wieku funkcjonowało jako jedyne książkowe wydanie *Dziennika* w języku polskim. Pozostałe trzy zachowane zeszyty zostały opublikowane we fragmentach w żydowskim tygodniku „Fołks Sztyme" w 1972 roku, a następnie w niejasnych okolicznościach wywiezione do Nowego Jorku. Pełne wydanie pięciu zeszytów ukazało się dopiero w 1996 roku w Stanach Zjednoczonych. Właśnie ta amerykańska edycja, zaopatrzona m.in. w przedmowę badacza literatury Holokaustu, Lawrence'a Langera, stała się podstawą wydania polskiego z 2015 roku.

Już na wstępie rodzi się więc pierwsza poważna wątpliwość: teksty przygotowane dla amerykańskiego odbiorcy A.D. 1996 straciły aktualność. Przez ostatnie dwie dekady nastąpił bowiem przełom w badaniach Zagłady, a polski odbiorca zdecydowanie różni się od czytelnika amerykańskiego, czego niestety wydawcy *Dziennika* nie dostrzegli. *Novum* w polskim wydaniu stanowią bogaty materiał ikonograficzny oraz kalendarium wydarzeń z życia autora *Dziennika* i dziejów getta łódzkiego. O ile zamieszczenie kalendarium można ocenić pozytywnie – lokuje bowiem opisywane przez nastolatka wydarzenia w pewnym kontekście i ciągu chronologicznym – o tyle dobór fotografii w wielu wypadkach wydaje się chybiony. Przykładem może być umieszczenie jako ilustracji do wstępu panoramicznego zdjęcia ruin getta... warszawskiego. Jest to o tyle zastanawiające, że we wstępie getto w Warszawie nie zostało wspomniane ani razu.

Tekst *Dziennika* jest podzielony tak, jak zrobił to sam autor w poszczególnych zeszytach swoich zapisków. Już lektura pierwszych stron wzbudza jednak duży niepokój. Sierakowiak rozpoczął pisanie dziennika 28 czerwca 1939 roku. Następny dzień, 29 czerwca, z niewiadomych powodów nie znalazł się w edycji. Brak drugiego z kolei zapisu w „pierwszym w Polsce pełnym wydaniu ocalałego dziennika", jak zapewniają wydawcy, stawia pod znakiem zapytania naukową wartość publikacji. Tym bardziej że brakuje też zapisów z sześciu innych dni (9, 10, 17 i 22 lipca oraz 1 i 14 sierpnia 1939 roku). Nie jest to niestety jedyna trudna do wyjaśnienia ingerencja wydawcy. W wielu miejscach pojawiają się opuszczenia całych akapitów lub pojedynczych zdań.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że wydawcy – mimo odważnych zapowiedzi – nie do końca sprostali wyzwaniu, przed którym stanęli. Zebranie wszystkich pięciu zeszytów zapisanych przez nastolatka z łódzkiego getta – dotychczas niepublikowanych w jednym tomie – zasługuje na uznanie. Nie zmienia to jednak faktu, że najnowsze wydanie *Dziennika* Dawida Sierakowiaka z uwagi na popełnione w nim błędy i zaniechania nie jest do końca wiarygodnym materiałem dla dalszych badań nad łódzkim gettem czy szerzej Holocaustem. Szkoda straconej szansy.

Adam Sitarek

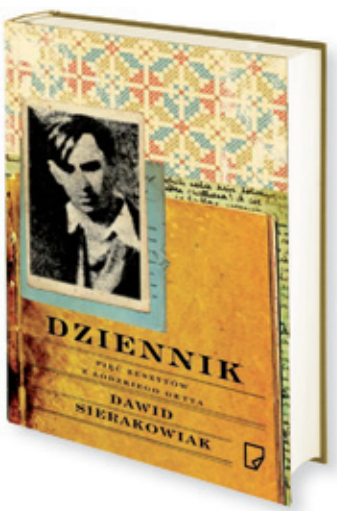

Dawid Sierakowiak, *Dziennik. Pięć zeszytów z łódzkiego getta*, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2015, 400 s.

Pseudonaukowo o pogromach

Mirosław Tryczyk, *Miasta śmierci. Sąsiedzkie pogromy Żydów*, Wydawnictwo RM, Warszawa 2015, 460 s.

Eksterminacja ludności żydowskiej w okresie II wojny światowej to, po długich latach zaniechania, wreszcie jeden z najważniejszych tematów współczesnej polskiej historiografii. Rezultatem takiego stanu rzeczy jest jednak nie tylko coraz większa liczba publikacji, lecz także (naturalne poniekąd) obniżenie dotychczasowego ich poziomu. W coraz liczniejszym gronie autorów zdarzają się bowiem osoby nieznające podstawowych zasad warsztatu historyka, mało obyte z literaturą i źródłami, piszące w sposób imitujący pracę naukową, zastępujące samodzielne badania wnioskami innych autorów, a treść – przepisywanymi dokumentami. Modelowym przykładem piśmiennictwa tego rodzaju może być wydana w tym roku książka Mirosława Tryczyka *Miasta śmierci. Sąsiedzkie pogromy Żydów*. Nie jest to publikacja naukowa, choć może sprawiać takie wrażenie. Autor mimo wielkiej liczby deklarowanych źródeł nie umie ich odpowiednio wykorzystać; nie uwzględnia dorobku dotychczasowej historiografii, choć ją zna i częściowo przywołuje; nie informuje o alternatywnych hipotezach, mimo że dokumenty i literatura o nich mówią; głosi jedną tezę, choć nawet przytaczany materiał archiwalny nie zawsze ją potwierdza, a czasami wręcz jej zaprzecza; nie martwi się sprzecznościami, bo sam ich nie dostrzega albo wierzy w niską inteligencję czytelnika (nie wiadomo, co gorsze). Około 80 proc. tekstu to relacje świadków. Z blisko pięciuset stron zaledwie 46 można interpretować jako tekst pochodzący od Mirosława Tryczyka, 27 zaś jako teksty dotyczące spraw technicznych, jak np. bibliografia czy źródła zdjęć. Reszta materiału to źródła, niejednokrotnie cytowane w sposób ciągły, na kilku, kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu stronach, przetykane dłuższymi lub krótszymi komentarzami. W sumie, zarówno pod względem merytorycznym, konstrukcyjnym, jak i źródłoznawczym, publikacja ta jest jednym wielkim nieporozumieniem.

Podejmuje ona temat udziału Polaków w pogromach ludności żydowskiej latem 1941 roku na ziemiach Białostocczyzny, po wybuchu wojny miedzy III Rzeszą a Związkiem Sowieckim oraz po wkroczeniu na ten teren Wehrmachtu. Jak wskazuje podtytuł, książka nawiązuje do publikacji Jana Tomasza Grossa *Sąsiedzi* (2000), która wywołała swego czasu długotrwałą dyskusję naukową i publicystyczną oraz zainspirowała już niejedną publikację.

Autor (choć należałoby raczej mówić o osobie opracowującej lub redagującej wybrane źródła) forsuje tezę o samorzutnej i masowej akcji eksterminacyjnej z udziałem szerokich rzesz ludności polskiej, wymierzonej w ich sąsiadów narodowości żydowskiej, u której podstaw w pierwszej kolejności leżała ideologia antysemicka, a przy okazji, choć nie zawsze, także chęć rabunku. Dopasowane do tezy materiały źródłowe nie zostały poddane jakiejkolwiek krytyce, a ich treść nie jest konfrontowana z informacjami z innych źródeł. Zabieg taki, konieczny z punktu widzenia standardów naukowych, ujawniłby bowiem sporo wątpliwości i obnażył słabość argumentacji. Ale nawet bez tego prezentowana teza jest trudna do podtrzymania. I tak np. wielokrotnie mówi się o bandach czy grupach tych samych ludzi mordujących w kolejnych miejscowościach, podkreśla się zastraszenie, a nawet sterroryzowanie przeciętnych Polaków, mieszkańców tych terenów. Przeciekają informacje o życzliwie nastawionych Polakach, którzy ostrzegają swych żydowskich sąsiadów, pomagają oraz są z tego powodu, przez wyżej wymienione bandy, zabijani. Dokumentacja potwierdza też udział Niemców w zbrodniach, wykorzystywanie przez nich grup miejscowej ludności do akcji antyżydowskich, m.in. dla celów propagandowych, oraz otrzymanie przez Niemców rozkazu niepozostawiania żadnych śladów, „aby lokalne koła samoobrony nie mogły później powoływać się na [niemieckie] zarządzenia lub dane im polityczne zapewnienia".

Uwiarygodnienie tezy o powszechnym, masowym i ideowym udziale ludności polskiej w eksterminowaniu żydowskich sąsiadów wymagało odpowiedniej konstrukcji przygotowującej czytelnika na takie wieści. Miały temu służyć dwa początkowe rozdziały mówiące o tym, jak pisano niegdyś historię, oraz o nacjonalizmie w przedwojennej Polsce, a także komentarze wprowadzające do każdego rozdziału poświęconego historii danego miasteczka (w sumie dziesięć miejscowości głównych plus okolice Szczuczyna). Także tutaj jednak mało udana kompilacja myśli innych autorów miesza się z konkluzjami, których materiał źródłowy nie udowadniał, lub takimi, które są zaprzeczeniem całego dotychczasowego dorobku naukowego. Przykładem jest oryginalna myśl, jakoby Niemcy decydowali się na tzw. akcje oczyszczające (*Reinigungsaktionen*) z uwagi na zachętę ze strony Polaków. To dzięki entuzjastycznemu przyjęciu – jak twierdzi Tryczyk – uwierzyli oni w możność wykorzystania ludności polskiej do akcji eksterminacyjnych. Sam Reinhard Heydrich, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, na wieść o antysemickiej postawie Polaków miał wydać zgodę na podjęcie tych akcji. Niemcy, jak sugeruje autor, mieli wręcz występować w roli obrońców Żydów, a do mordów dochodziło tam, gdzie zastraszona żandarmeria niemiecka nie mogła powstrzymać wielokrotnie liczniejszych od niej zastępów ludności polskiej.

Taka publikacja nie powinna była się ukazać. Autor, zamiast iść na skróty po monografię, której nie był w stanie napisać, winien był zająć się rzetelnym opracowaniem źródeł. Nawet gdyby były to jedynie dokumenty koncentrujące się na udziale Polaków w pogromach antyżydowskich, stanowiłoby to nadal cenny wkład w historiografię, a przy okazji ciekawą lekturę dla wszystkich zainteresowanych. Bez wątpienia bowiem głosy świadków i uczestników tamtych tragicznych wydarzeń powinny być lepiej znane, a ich punkt widzenia i osobiste doświadczenie bardziej zrozumiałe. Taki zbiór, poprzedzony wstępem i opatrzony aparatem naukowym uwzględniającym dotychczasowy stan badań, mógłby być pomocny w nauczaniu o zagładzie trzech milionów polskich obywateli. Powstała zaś książka nie tylko nikomu się nie przyda, ale też będzie szerzyć wypaczony obraz przeszłości.

Marcin Urynowicz

Kontrowersje wokół Wolnego Miasta

Dieter Schenk to ceniony aktywista Amnesty International oraz autor licznych książek poświęconych narodowemu socjalizmowi i zbrodniom niemieckim w Polsce. Jest laureatem przyznawanej przez IPN nagrody Kustosz Pamięci Narodowej i honorowym obywatelem Gdańska. Wycinkowi dziejów tego miasta jest poświęcona jego najnowsza książka, wydana w Polsce: *Gdańsk 1930–1945. Koniec pewnego Wolnego Miasta*. Niespodziewanie okazuje się, że dzieło to, promowane zresztą przez władze Gdańska, tamtejszy Konsulat Generalny RFN i Pocztę Polską, może uchodzić za kontrowersyjne.

Niezaprzeczalną zaletą książki jest bogata ikonografia. Dominują zdjęcia wykonywane przez profesjonalnych fotografów przy różnych oficjalnych okazjach, znajdziemy też panoramy, portrety oraz reprodukcje map, plakatów, wycinków prasowych czy dokumentów urzędowych i partyjnych (NSDAP). Nie można mieć zastrzeżeń także do większości podpisów pod fotografiami, choć tu pojawiają się pierwsze pomyłki, np. na zdjęciu z pogrzebu Ernsta Ludwiga błędnie rozpoznano Heinricha Himmlera.

Niestety w tekście odnajdujemy wiele błędów merytorycznych, często rażących, i to w partiach dotykających spraw najdelikatniejszych. Nie sposób omówić ich wszystkich, warto jednak przyjrzeć się kilku z nich.

Szczególne nagromadzenie błędów i nieścisłości odnajdzie czytelnik na stronach poświęconych wydarzeniom z września 1939 roku. Opisując pierwsze godziny walk o Westerplatte, autor stwierdził m.in.: „nawałę ogniową [prowadzoną przez pancernik „Schleswig-Holstein", w tekście uporczywie nazywany krążownikiem] wytrzymały przede wszystkim umocowane w betonowych osłonach działa kalibru 88 mm". Tymczasem dział kal. 88 mm w Wojsku Polskim nigdy nie wykorzystywano – były to parametry charakterystyczne dla uzbrojenia niemieckich sił zbrojnych i to właśnie po ich stronie zostały użyte w boju o Westerplatte. Ponadto żadne z dział, którymi dysponowała strona polska, nie było zamontowane w betonowym schronie.

Schenk pisze, że w trakcie walk „musiano ewakuować ludność cywilną z Nowego Portu, ponieważ polscy obrońcy Westerplatte zaczęli ostrzeliwać dzielnicę Gdańska-Wrzeszcza". Nic podobnego nie miało oczywiście miejsca, a budynki położone bliżej kanału portowego znacznie ucierpiały... na skutek podmuchów powodowanych przez kolejne wystrzały z dział pancernika „Schleswig-Holstein".

Pewne zdziwienie może również budzić w książce poświęconej Wolnemu Miastu Gdańskowi podrozdział omawiający wydarzenia z 3 i 4 września 1939 roku w Bydgoszczy. Niestety, przy opracowaniu tej partii tekstu autor nie wykorzystał fundamentalnego dla owego zagadnienia wydawnictwa polskiego *Bydgoszcz 3–4 września 1939* ani niemieckiej monografii Güntera Schuberta *Das Unternehmen „Bromberger Blutsonntag". Tod einer Legende*. Wbrew temu, co twierdzi autor, działalność niemieckich dywersantów w Bydgoszczy w pierwszych dniach września 1939 roku nie budzi już dziś u większości badaczy wątpliwości. Oprócz tego podana w tekście liczba 300–400 ofiar jest bliska ustaleniom Pawła Kosińskiego (365 osób), ale nie były to wyłącznie ofiary niemieckie (jak chce autor), lecz w niemałej części (do 25 proc.) także polskie. Natomiast za kuriozalną należy uznać zamieszczoną na sąsiedniej stronie informację, że „dzisiaj liczbę ofiar po stronie mniejszości według badań polskich i niemieckich ocenia się zgodnie na mniej więcej 4500".

Kontrowersyjne są niektóre twierdzenia autora wygłaszane niemal *ex cathedra*, a mające swoje źródło w stereotypach, jak chociażby opinia, że Polacy mieszkający w Gdańsku dystansowali się od Niemców, ponieważ „zamiłowanie do porządku i perfekcjonizmu [tych drugich] budziło zarówno podziw, jak i irytację". Autor zapomniał chyba o szykanach (często brutalnych), na które byli narażeni gdańscy Polacy, szczególnie w latach trzydziestych, oraz o nielicujących z niemieckim „umiłowaniem porządku" burdach politycznych (także rasistowskich – antypolskich i antyżydowskich), których sceną bywały w tym czasie zarówno gdańska ulica, jak i gmach Volkstagu.

Mimo wszystko książka Dietera Schenka w żadnym wypadku nie może być określona mianem antypolskiej czy rewizjonistycznej. Autor podkreślił, że „pamiętając o Gdańsku jako niegdyś niemieckim mieście, należy zawsze brać pod uwagę, że to Niemcy byli odpowiedzialni za jego zniszczenie. I że powstały z ruin nowy Gdańsk jest polskim miastem i nikt nie może rościć sobie do niego praw ani z powodów politycznych, ani prawnych, o moralnych nie wspominając". Opinii w podobnym duchu na kartach książki znajdziemy niemało, trzeba jednak zaznaczyć, że uogólnienia te są z punktu widzenia warsztatu historycznego bardzo kontrowersyjne.

Skąd więc tak rażące błędy? Przede wszystkim z braku konsultacji z profesjonalnymi historykami badającymi dzieje Gdańska. Nie chodzi o to, by niehistorycy nie brali się za badanie przeszłości, lecz o to, by nie wzdragali się przed szukaniem merytorycznego wsparcia. Nie najlepszy dobór literatury przedmiotu, i to wyłącznie niemieckojęzycznej (czasami przestarzałej i tendencyjnej), bezkrytyczne przytaczanie doniesień gdańskiej (także niemieckojęzycznej) prasy sprzed osiemdziesięciu lat, brak porządku w narracji i selekcji podawanych informacji – to tylko kilka najważniejszych problemów, których w konsekwencji nie udało się uniknąć.

Błędy popełnił więc autor, ale zawiodło także wydawnictwo, które nie zdecydowało się na zamówienie recenzji wydawniczych. Nie mamy zresztą pewności, ile spośród lapsusów należy przypisać autorowi, a ile tłumaczowi czy korekcie. Wobec popełnionych błędów blednie niestety najciekawsza nawet ikonografia.

Książkę warto przejrzeć. Zdecydowanie nie warto jej czytać.

Paweł Niziołek

Dieter Schenk, *Gdańsk 1930–1945. Koniec pewnego Wolnego Miasta*, Wydawnictwo Oskar, Gdańsk 2014, 288 s.

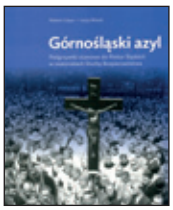

■ Robert Ciupa, Łucja Marek, *Górnośląski azyl. Pielgrzymki stanowe do Piekar Śląskich w materiałach Służby Bezpieczeństwa. Katalog wystawy*, IPN, Drukpol sp.j., Katowice 2015, 80 s.

■ „CzasyPismo", IPN, Katowice 2015, nr 1 (7), 208 s.

■ *Drogi do „Solidarności"*, red. F. Musiał, t. 23 seria „Z archiwów bezpieki – nieznane karty PRL", t. 23, IPN, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2015, 165 s.

■ Sylwia Galij-Skarbińska, Wojciech Polak, *„Nigdy przed przemocą nie ugniemy szyi". Obóz internowania w Potulicach 1981–1982*, IPN, Bydgoszcz – Gdańsk 2015, 260 s. + 48 s. wkł. zdj.

■ *Granice kompromisu. Naukowcy wobec aparatu władzy ludowej*, red. P. Franaszek, IPN, Warszawa 2015, 343 s.

■ Andrzej Grajewski, Michał Skwara, *Agca nie był sam. Wokół udziału komunistycznych służb specjalnych w zamachu na Jana Pawła II*, IPN, Instytut Gość Media, Katowice 2015, 440 s.

■ Wojciech Hausner, Marek Wierzbicki, *Sto lat harcerstwa*, IPN, Warszawa 2015, 343 s.

■ *Inwazja na Czechosłowację 1968. Perspektywa rosyjska*, red. J. Pazderka, przełożył i przypisy uzupełnił A. Kaczorowski, Ústav pro studium totalitních režimů, IPN, Warszawa 2015, 295 s.

■ Jan Krawiec, *Od Bachórca do Chicago. Wspomnienia*, wstęp, oprac. J. Wojdon, IPN, Warszawa 2015, 381 s. + 16 s. wkł. ilustr.

■ *Memoriał Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość" do Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych*, oprac. W. Frazik, T. Łabuszewski, IPN, Warszawa 2015, 90 s.

■ Łukasz Michalski, *Świadomość historyczna uczniów szkół ponadpodstawowych w aglomeracji warszawskiej. Raport z badań*, IPN, Warszawa 2015, 480 s.

■ *Mój Sierpień '80. Pomorze Zachodnie na drodze do wolności*, oprac. P. Benken, M. Dźwigał, A. Kubaj, M. Marcinkiewicz, M. Siedziako, red. M. Dźwigał, A. Kubaj, M. Siedziako, IPN, Szczecin 2015, 296 s.

■ *Polska pod okupacją 1939–1945*, t. 1, IPN, Warszawa 2015, 488 s. + 16 s. wkł. zdj.

■ *Польща – нарис історії*, ред. Влодзімєж Менджецький та Єжи Брацисевич, переклад з польської Івана Сварника, Інститут національної пам'яті, Варшава 2015, 368 с., 20 карт, 170 ілюстрацій (*Polska – zarys dziejów*, red. W. Mędrzecki, J. Bracisiewicz, przekład I. Swarnyk, IPN, Warszawa 2015, 368 s., 20 map, 170 ilustracji; publikacja nie jest przeznaczona do sprzedaży).

■ *Polskie drogi przez Szwajcarię. Losy żołnierzy 2. Dywizji Strzelców Pieszych 1940–1945 na fotografiach ze zbiorów Muzeum Polskiego w Rapperswilu / Auf Polenwegen durch die Schweiz. Die Schicksalsjahre 1940–1945 im Leben der Soldaten der 2. Schützendivision, dargestellt in den Fotografien aus den Beständen des Polenmuseums in Rapperswil*, wybór, oprac. T. Stempowski, IPN, Muzeum Polskie w Rapperswilu, Warszawa – Rapperswil 2015, 480 s.

■ Karolina Wichowska, *„Łączka". Poszukiwania i identyfikacja ofiar terroru komunistycznego na warszawskich Powązkach*, IPN, Warszawa 2015, 173 s.

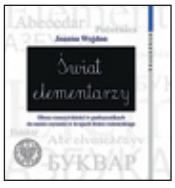

■ Joanna Wojdon, *Świat elementarzy. Obraz rzeczywistości w podręcznikach do nauki czytania w krajach bloku radzieckiego*, IPN, Warszawa 2015, 246 s.

■ *Z dziejów walk o niepodległość*, t. 3, red. M. Gałęzowski, S. Kalbarczyk, J. Kirszak, D. Koreś, IPN, Warszawa 2015, 680 s.

Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki PRZYSTANEK HISTORIA, ul. Marszałkowska 21/25, 00-628 Warszawa, tel. 22 576 30 05
i w księgarni IPN, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa, tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79.

Prenumerata „Pamięci.pl"
Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji
zamówienia można składać telefonicznie:
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79;
22 581 86 96; faks 22 581 89 40
pocztą zwykłą na adres IPN
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.poczytaj.pl

Nowa gra planszowa IPN

7 W OBRONIE LWOWA

Rok 1920
to nie tylko Bitwa Warszawska

16 kontra 17000

Niezwykłe starcie polskiego lotnictwa z bolszewicką kawalerią

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Patron medialny:

pamięć.pl

pamiec.pl/gra7

Gra „7. W obronie Lwowa" do nabycia w punktach sprzedaży IPN oraz w dobrych sklepach z grami planszowymi.